

dłuższego pobytu w tym domu, dawniej pałacu rodziny Potulickich. Będąc w Oborach, przystąpiłem do działania w innej redakcji, znacznie mniej zaprzyjaźnionej niż „Współczesność”. Odegrałem cały monodram. Wyraziłem gorącą chęć napisania reportażu o mirkowskiej fabryce papieru. Temat atrakcyjny. W czasach lansowanego niedawno socrealizmu pewien literat popchnął powieść produkcyjną *Mirków ruszył*. Była to pozycja klasyczna, przez pewien czas stanowiła wzorzec i stała na półkach bibliotek obok *Nr 16 produkuje*, *Kampania znaczy walka*, *Na przykład Plewa*, *Traktory zdobędą wiosnę*. Ośmieszana później i parodiowana jako karykatura prawdziwej literatury. Wyraziłem intencję napisania o tym, jak ta powieść funkcjonuje w pamięci robotników fabryki papieru i co o niej myślą. Przecież niektórzy z nich mogli być prototypami bohaterów czarno-białego schematu. Przynęta okazała się skuteczna i otrzymałem delegację. Przez tydzień stemplowałem formularz w pobliskiej Jeziornie. Wybie-rałem się na spacer łąkami z Obór i urzędnik przybijał pieczęć. Sprawa szczęśliwie zakończyła się niczym, zmieniło skład personalny redakcji i po tej reorganizacji z powodów ideologicznych wcale nie oczekiwano reportażu mojego pióra.

„Współczesność” również była reorganizowana w tym czasie i Andrzej Chaciński przestał być sekretarzem – z powodu bezpartyjności i słabej ideowości. Długo nie mógł znaleźć dziennikarskiej roboty. Zajmował się dorywczo pracą w warsztacie samochodowym. Samochody to była jego pasja, znał się na naprawach i remontach, latami jeździł starą, rozpadającą się cytryną. Wreszcie udało mu

się; został sekretarzem redakcji tygodnika „Nasz Sklep”, organu państwowego handlu detalicznego. Raz wyłudziłem od niego delegację i jako podkładkę dałem mu tekst zastępczy. Opisałem jakieś zdarzenie w sklepie, kłótnie sprzedawcy z klientem, czy coś podobnego. W daleki sposób zgodnie z profilem pisma. Był kryty i żadna kontrola nie mogła się do niego przyczepić. „Nasz Sklep” nie stwarzał jednak długofalowych możliwości.

Przypadkiem spotkałem się z życzliwością w „Tygodniku Kulturalnym”, z którym miałem luźne związki od początku pracy pisarskiej. Jeszcze wtedy nazywał się „Orka” i redakcja mieściła się na Lwowskiej; poezją i prozą zajmował się Stanisław Pięta. Później nazwa została zmieniona i redakcja przeniosła się na Grzybowską, gdzie siedzibę miały władze naczelne ZSL-u.

Tygodnik wydawany był pod auspicjami partii ludowców, stanowiącej wraz z SD pozory systemu wielopartyjnego. ZSL miał swoją prasę i „Tygodnik Kulturalny” zamieszczał również poezję i prozę, dobrze była widziana tematyka wiejska w szerokim zakresie. Redaktorem naczelnym był Stanisław Adamczyk, bystry, wesoły, w moim wieku, rodem z Otwocka. Mało miał wspólnego z ruchem ludowym. Po prostu zapisał się do ZSL-u i jako rzutki, sprawny dziennikarz młodego pokolenia przejął paleczkę naczelnego po odchodzącym na emeryturę poprzedniku. Dział prozy prowadził Marian Pilot, obaj wydaliśmy debiutanckie tomy opowiadań w Czytelniku i zaprzyjaźnił się. Delegację na wyjazd w teren dostawałem od nich bez trudności. Czasem nawet z góry zaliczki na reportaż. Staszek Adamczyk pojął w lot, w czym tkwi istota pro-

Delegacja dawała nam możliwość zwrotu kosztów podróży, kilku diet dziennych, ewentualnie można było dołączyć rachunek za hotel. Jeździłem na delegację do Krakowa, Wrocławia. Miło wspominać podróże do Nowego Targu, zaplanowałem wtedy z kolegą wędrowkę po Gorcach. Nawet pojechałem nad morze. W tym wypadku nie należało wybierać renomowanych kurortów, takich jak Sopot, Międzyzdroje, raczej ruszyć do Ustki, Pucka, Świnoujścia. Te miejscowości nie budziły niepotrzebnych skojarzeń. Puck to rybaki porcik, zbierany materiał do reportażu o Kaszubach i wio!

Floty mieliśmy niewiele i była to forma pomocy kolegów redaktorów na etacie dla nas, golasów, adeptów piarskiego stanu. Andrzej Chaćniński w lot odczytywał intencję petenta, choć na jego poważnej, odpowiedzialnej twarzy pojawiał się nieokreślony uśmieszek, ale z dociekliwością dopytywał się o pomysł reportażu, termin złożenia, ilość stron. Wreszcie następował pomyślny finał, szedł na koniec po podpis do naczelnego. Niekiedy jednak stawiał opór, nie należało też przesadzać z nadmierną częstotliwością wypadów w teren. Pozostawał oczywiście problem napisania, wywiązania się z obowiązku.

Przypominam sobie mgliście, że owocem mego wyjazdu do Wrocławia miał być tekst o małym miasteczku na Ziemiach Odzyskanych: jak to tętni życiem, polskość wróciła do prastarej, piastowskiej dominy. W tym czasie Włochy pod Warszawą stanowiły kopie mego literackiego tworzywa i aku... daniem... szku Koziku, zabijając... u, kto... ypoczywa... ce przed bufetem kolejowym i zastanawia się nad dalszą czę-

ścią dnia. Po powrocie z Wrocławia wręczyłem Andrzejowi opowiadanie, objaśniając, iż jest to reporterska próba uchwylenia klimatu małego miasteczka na Dolnym Śląsku. Andrzej przeczytał i skrzywił się, jakby rozboleł go ząb. Nie odezwał się słowem, położył maszynopis na stole innych papierów zalegających biurko. Miał podkładkę.

W taki sposób występowaliśmy jako reporterzy, którzy penetrują kraj i przywożą stamtąd drapieżne, odkrywczym tematy. Pośród tych peregrynacji utrwaliła mi się wyprawa do Kazimierza. Wcześniej poznałem starszego pana z Nałęczowa, który zajmując opowiadał o tym kurorcie z czasów Żeromskiego dla sercowców, o teatryku amatorskim, salonach tamtejszej inteligencji, spotkaniach pisarzy, aktorów, malarzy, romansach sprzed pierwszej wojny światowej. Wybierałem się do Kazimierza i wyłudziłem od Andrzeja delegację dziennikarską do Nałęczowa. To bardzo blisko i stemplowałem dni pobytu w Kazimierzu w Radzie Narodowej w Nałęczowie. Przez bezpośrednią obserwację jednak pogłębiłem znacznie opowieści słyszane od starszego pana i nadałem im charakter na poły reportażu. Andrzej po przeczytaniu tekstu odetchnął z ulgą.

Niewątpliwie uprawialiśmy na małą skalę oszustwo, lewiznę, jak wtedy mówiło się o zarobkach z nieuczciwego źródła. Może nie całkiem. Wymuszaliśmy mizerny mecenat od państwa dla początkujących literatów.

Ważną rolę w naszym życiu odgrywał dom pracy twórczej w Oborach. Związek Literatów mógł przydzielić młodemu pisarzowi stypendium w postaci tygodniowego lub

mu doniosłem, że Słojewski będzie pisał o jego Końcu Zgody Narodów. Zapomniałem dodać w swym liście, że Zbyszek bardzo sobie cenił Pamickiego.

Słojewski podchodził do świata z szyderczym uśmiechem świadomy wyżyn swego intelektu. Bawiły go jego własne zmyślane historie. Nabrał mnie swym sfingowanym wywiadem z księdzem Pirozyskim "Boyowej" renomy. Powinienem był to sprawdzić, ale zaufałem zdrajcy, który chyba przez tydzień nie mógł się powstrzymać od śmiechu na mój widok. Nabrać nie tylko naiwną publikę, ale własnego naczelnego, chyba to nie często się zdarza. K.C. trochę się krzywiło, bo były jakieś protesty ze strony kościelnej. Nie bardzo chcieli wierzyć w mą niewinność, ale przebaczyli. Większa pretensję mieli, że Czajkowski i Ośnialowski drukowali u Grydzewskiego. Był także donos, że Roman Śliwonik kontaktuje się, ze szpiegami angielskimi. Chodziło o to, że w "Kameralnej" Romek spotkał grupę kapitana Tadeusza Kutka, który korzystając z październikowej odwilży, nawiązał kontakty turystyczno handlowe z PRL. Romek zapraszał mnie do ich stolika. Musiałem odmówić. Tadeusz Kutek odgryzł się wiele lat później, gdy mu reagowałem "Fregatę". Z perspektywy czasu wydaje mi się dziwne, że tolerowano mą znajomość z Edwardem Symons'em, attache kulturalnym ambasady USA i autentycznym agentem wywiadu. Być może zbierano materiały do mego przyszłego procesu? W każdym razie ja brałem wścibską ciekawość Symons'a za dobrą monetę.

Wracając do Zbyszka Słojewskiego. Pamiętam, że jakimś piśmie krajowym przytoczył anegdotkę o Karolu Zbyszewskim, który w owym czasie był redaktorem naczelnym londyńskiego "Dziennika".

"Skąd on to wie o mnie," dopytywał się Zbyszewski. "Ja zupełnie sobie tego nie przypominam."

"Panie Karolu, "uspakajalem go, "niech się Pan tym nie przejmuj. Jeśli nawet tak nie było, to Zbyszek to stworzył i tak to przejdzie do potomności.

Zbyszek Irzyk niesłuchanie miły i łagodny pisywał rzetelne i dogłębne krytyki literackie. Nie dawał się ponosić fantazji jak Jan Zbigniew Słojewski. Piszze świetnie i dogłębnie do dziś. Uwielbiał spotkania z czytelnikami i rozmowy. Dziwne, że tak niewoźercze opinie wychodziły od tak dobrodusznego młodzieńca. Jego przyjaciel Jerzy Łojek odznaczał się nie mniejszym zacięciem, a prócz tego jawnie głoszona nienawiscia do komunizmu i... Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Było wielu chłopców, którzy kręcili się na perferiach "Współczesności", ale ostatecznie wybrali inne kariery niż literackie. Takim był Zdzisław Pietrzak, który został pedagogiem i polonistą, Zbigniew Boniecki - znany dziennikarz i Wojtek Albiński, który odbił od literatury na wiele lat, by ostatecznie powrócić i zostać wziętym pisarzem. Marek Piestrak jest znakomitym reżyserem filmowym o dużym i klasycznym już dorobku. Piotr Krassowski nadal świetnie fotografuje.

Tchorek wyjechał do Izraela. Iwo Plachecki, Władysław Łukomski, Jerzy Falkowski i Z.J. Bolek zginęli tragicznie.

Procz tych i wielu innych osób, istniała jeszcze grupa bardzo ważnych ludzi, o których Roman Śliwonik przypomina w swej książce. Byli to rodzice. Większość nas mieszkała z rodzicielami. Samodzielne mieszkanie w Warszawie dla młodzianów w naszym wieku było prawie niemożliwością. Rodzice pomagali nam materialnie, wspierali i dodawali otuchy. Mój ojciec Kazimierz udostępnił nam jeden pokój dwu-izbowego sublokatorskiego mieszkania. Moja matka Halina znosiła cierpliwie rozwrzeszczaną, niechlujną holotę, która ochrzciła się cyganerią; i ustawicznie dzwoniący telefon, wielki rarytas w owych czasach, przyznany nie nam, a mojemu ojcu - wyższemu urzędnikowi Ministerstwa Poczty i Telegrafów, autorowi fachowych książek, których do dziś nie potrafię zrozumieć.

## SYLWETKI Z ZESPOŁU

- (rozmawiałam z Nowakowskim wyraził zgodę na przedruk) p. Marek Jarniedziak, że zgodę Tobie się należy!!!

Marek Nowakowski, Nekropolis  
Warszawa 2005

wyd. „Reportery”, s. 189-193

We „Współczesności” sekretarzem redakcji był Andrzej Chąciński i z nim łączyły nas, początkujących pisarzy, bliskie stosunki. Był jednym z założycieli pisma jeszcze z Leszkiem Szymańskim jako naczelnym. Tak samo jak my pisał opowiadania i do nich przywiązywał największą wagę.

Pracowity i sumienny, miał w naturze silną skłonność do życia ustabilizowanego, wyznaczonego stałą miarą godzin pracy i pensją. My zaś to żywioł anarchii, bez stałego zajęcia i dochodów; fruwaliliśmy jak osy z redakcji do redakcji, z rzadka pobieraliśmy honoraria za swoje literackie pierwociny.

Andrzej był wobec nas lojalny i mogliśmy wydusić od niego przy większym lub mniejszym oporze delegację na reportaż w terenie. Podawało się jakąś miejscowość, gdzie akurat zapragnęliśmy wyjechać, wymyślało się na poczekaniu temat i Andrzej wyciągał odpowiedni formularz, podpisywał i stemplował. Robił dobrą minę do oszukańczej gry.

całej pełni. Przygoda  
historia, jest łagod-  
w trawę, w las — jak  
Miłość zanana w do-  
tarzalna. I wreszcie  
którą ma się w  
stopą, ekhlonie noz-

sprawiedliwość. To  
czytelnika, to od-  
ota do przeżyć natu-  
sh, a pięknych.

filozofem. Trudno  
pretensje, ale brak  
myślenia cechującego  
nowi granicę, której  
bell tolls" nie prze-

zaju przyjętej styl-  
posobu kształtowania  
dy z wielkich współ-  
wielkich na miarę  
Manna usiłuje przed-  
własną koncepcję  
tycznej ocenie zastana  
to wszechstronnie,  
tkanki psychicznych  
i społecznych ukła-  
unikając psychoana-  
gnawczej i odkryw-  
jologicznymi metoda-  
społecznych — wy-  
sńczoną wizję czło-  
stępują do podziemi  
najbardziej material-  
wości" jak powiada  
po to, by wydźwi-  
ciemnością na świa-  
le w pierwszym rzę-  
ły ich pomocy cały  
anizm funkcjonowa-  
nizmu, który zwie  
nsekwentni jak my-  
ni. Ale od ostatnich  
wrażliwość i uczu-  
plekt, w to cudowne  
człowieku, umozli-  
jcia w reżymie ma-  
pecha zasadnicza na-  
kich humanistów.  
ata prezentuje nam  
mandżaro". Czy w  
kolwiek?

tylko na pytanie  
musi być negatywna.  
będąc świetnym ob-  
jąc wiele istotnych  
człowieka — nie  
deń. Bardziej opisu-  
t w najlepszej swo-  
przeżycia w Kisz-  
dzwon" (For whom  
autor wstępu do  
Bronisław Zie-  
"arcydzieła", na-  
najlepszym swoim  
emingway zrelacio-  
berta i Marii prze-

iraneusz iradyński

## gdzie

Mam za sobą lata wojny gdzie  
rozbito tysiące choinkowych baniek  
wskazującymi palcami armat  
wielu ludzi zmienione ra bardzo  
[zimne ognie]

Chciałbym być przy mnie teraz  
[była Maszo]  
oglądała odchodzenie wieczorów  
Wieczorów miasta gdzie oczy  
[przechodzących ludzi]

są witrynami  
na których nie ma pomarańcz  
[czy innych słońc]  
Oczy ludzi w wytartych płaszcach  
Pokazałbym ci panoramę ulicy  
zwaliste mury jak ciężka dłoń  
na której mieszkam  
Uginające się barki kobiet  
bo w dłoni są kłopoty  
Słuchalibyśmy muzyki

[z niedalekiego lokalu]  
gdzie tańczą elfy w wąskich  
[spodniach]

Dzisiaj śmierć nie jest wojenna  
Dzisiaj śmierć jest zwyczajna  
jak wieczory  
mówiłby przejeżdżający wózkiem

[inwalida]  
My Maszo pokolenie dla których

[wojna]  
kojarzy się z dzwoniącą hulajnogą  
impotencji dramatyzmu  
w odchodzące wieczory nie wiemy  
gdzie siebie ustawić  
wobec przyszłych wieczorów



Stoisko uliczne „Współczesności”  
Na pierwszym planie: Barbara Zbrożyna.  
W głębi: E. Bryll, J. Falkowski, I. Iredyński



le pisma znacznie później, dopiero od połowy 1958, od chwili gdy „Współczesność” przestała być sięcznikiem wydawanym przez grupę literacką, a ła się dwutygodnikiem PPKPiK „Ruch”.

Jerzy  
Harasymowicz



Ir  
Ire



IRENEUSZ  
IREDYŃSKI



Józef Lenart



Ernest Bryll



Aleksander J. Wiczorkowski



Sławomir Kryśka



Od lewej:  
Włodzisław Janicki,  
Jerzy Czajkowski,  
Mirosław Malcharek

Od połowy lat sześćdziesiątych ła  
ważymy we „Współczesności” zmianę wspo  
proporcji — literatura będzie w dwutygodn  
mowała coraz mniej miejsca, to ona stanie  
poniekąd marginesem zainteresowań redakcji  
tychczasowej, eksponowanej pozycji nie zajmi  
nigdy aktualna publicystyka i reportaże —



kazała, że ma pion moralny i wyszła za mąż za wielkiego wtedy, aż przygniatającego wielkiego Gustawa Holoubka. Nie dziwię się, sam na jej miejscu wyszedłbym za Holoubka.

Świetna Barbara Wrzesińska i wiele młodych studentek ze Szkoły Teatralnej na Miodowej dawało do naszych wierszy swoją urodę i wdzięk na spotkaniach, czyli to, czego nieco brakowało naszym publicystyczno-zwalistym wierszom.

Pewnie dla nich i dla innych młodszych miłośców pisaliśmy, bo kobiety, dziewczyny wokół nas się jednak jawiły coraz częściej i coś je do nas, niebogatych artystów, przywabiało.

Nieboszczek, ale nie od tak dawno...

Maria Wachowiak  
Spotkanie  
autorskie pisarzy  
„Współczesność”.  
W lewym rogu zdjęcia  
Bohdan Drozdowski.  
Właśnie mówi. Obok  
niego z prawej strony  
Jan Młodzeniec.

wić nie mogli. W zasadzie poza badylarzami jedynie my, już zarabiający, brać artystyczną, umieliśmy się z potrzebującymi groszem podzielić. Groszem, a poeci ładnym słowem, które przyciąga ciepłem jak dobry wieczorny płomień ogniska.

W wierszach naszych, w opowiadaniach, szukać trzeba dziewcząt i kobiet tamtych lat, tam je ukryliśmy, delikatni, czasem jednak delikatni chłopcy poeci, których ma każda epoka.



Stanisław Grochowiak  
z żoną Magdą.  
Park Wiatr.

dział i zacząć wszystko od nowa, jeśli zajdzie tego potrzeba, nakaże instynkt. Potrzeba miłości. Ale ona musi być. Wtedy wszystko natychmiast przeobraża się w myślową wiotkość. Mężczyźni tego nie potrafią.

Nie było kobiet przy rozmowach, nie kokietowały, nie toczyły okiem ani biodrem, nie zaostrzały dowcipu, nie wyzwały popisów elokwencji lub erudycji. Nie było ich i coś w tym musiało być. Kobiety naszych marzeń unieruchomione zostały w wier- szach, a kobiety z naszego życia siedziały unieru- chomione w domach, piorąc, pracując, hodując dzieci, i takie kobiety do rozmów szampańskich.

wysokich, głównie męskich i pijanych, a więc bektoliwych, nadawać się nie mogły.

Myślenie młodych mężczyzn było załgane i co inteligent- niejsi wiedzieli o tym, było niepodobne do rzeczywistości, wy- prane z codzienności, było literackie, bo było ucieczką od nie- dostatku, biedy, bo oni hodowali się na literatów i luz psychiczny był do tego potrzebny.

Kobiety codzienności, kobiety naszych domów mówiłyby prawdę i całą tę operetkę wódczaną rozpędziłyby konkretem.

A przy kobietach okazjonalnie poznanych łąć można było jak z nut, fantazjować, być kimś wymyślonym na miarę talen- tu do zmyśleń i głupoty kobiet siedzących z nami czy kobiet głupotę udających.

Kilka z nich było na stałe w naszym kręgu, pozostałe poja- wiały się na dni kilka lub kilkanaście i zawsze zależało to od wielkości kasy, którą dysponowaliśmy. One albo chciały być po- etkami, albo były głodne czy niedopite. Czy przy naszych stoli- kach przewijały się jedynie sezonowe, kawiarniane panienki? Maszynistki redakcyjne i potencjalne pisarki, aktorki, piosen- karki? Nie tylko.

Wielu poetów z naszego kręgu adorowało Marię Wachowiak, znaną już z filmu *Pożegnania*. Maria uchodziła za piękność, tak podobno uważała pani Anna Iwaskiewiczowa.

Na spotkaniu autorskim Stanisława Grochowiaka i moim w akademiku przy placu Narutowicza sala nie mogła pomieścić tłum młodych mężczyzn. Patrzyłem w zdumieniu na chłop- ków uczepionych drabinek gimnastycznych, wypełniających parapety okien, siedzących na ramionach kolegów. To nie Sta- szek ani ja byliśmy wydarzeniem, tylko rudowłosa Majka Wa- chowiak.

Tak było na wszystkich spotkaniach z jej udziałem, na kier- maszach książek i przy sprzedaży ulicznej „Współczesności”, bo umieliśmy również – w pierwszym, najautentyczniejszym okre- sie wydawania gazety – nie tylko ją redagować, ale i sprzedawać.

Majka była nam przychylna, ale kiedy jeden z wybitnych po- etów, nie za bogaty, chciał wejść z nią w związek małżeński,

# For Research NASZE SALONY Kobiety Prawi autorskie Roman Ściwaniuk

Zadziwiające. Kobiet w naszych salonach prawie nie było. Pań Wereszczakówien, Kalergis, Potockich. Pewnie i olbrzymów poetyckich zabrakło, których uczucia, wielkie jak wodospady, ze szczytów dusz z hukiem spadałyby do stóp kobiet wyniesionych.

W czasach zniewolenia wielkie miłości powinny być, w tych obszarach serca płonąć mogą jawnie. Okazuje się, że każda epoka daje miłości inny kolor i jednak wymiar taki, na jaki ją stać. W naszych kolejnych epoczkach chuć gada. I to pospolicie. Bywają wyjątki, ale jakoś nie olśniewają i może przez to nie znajdują naśladowców.

Kobiet było mało, a powinny jednak być, a powinien być ich tłum, w czasach postrnych towarzysko nawet średnio oryginalny artysta może mieć wzięcie. Artyści wzięcie mieli, ale tylko u córek badylarzy.

Jadłem obiad w restauracji hotelowej „Savoy” w Łodzi i do mego stolika dosiadł się prząsny, czerstwy i w miarę obyty jego-mość. Powiedział, że podслуchał rozmowę z organizatorem moich spotkań autorskich i chciałby ze mną pogadać.

Pił i mówił. O córce, mercedesie i pieniądzach. Córkę chwalał, ale jej urodę reklamował nie zanadto, za to o białym mercedesie mówił z miłością absolutną.

– Kupilem tego mercedesa białego dlatego, że, k...a, sąsiad kupił sobie białego i ja, k...a, musiałem też mieć białego. Sąsiada nie lubię, ale mercedes jest piękny. Ożenisz się pan z moją córką? Nie pożyczasz pan. Sąsiad wziął sobie za zięcia jakiegoś artystę, to i ja muszę mieć artystę. Pracować pan nie będziesz, a robić sobie możesz, co chcesz. Jak artysta.

Mile go wspominać, bo była w nim jakaś zajaśla determinacja. A sam Jarosław Iwaszkiewicz wygłosił kiedyś tubalnie taką sentencję do młodego poety:

– Pamiętaj, że poeta przede wszystkim powinien się bogato ożenić!

Kilku, i to mało znanych artystów zapewniło sobie spokój w życiu ożenkami z pannami badylarzównymi.

Badylarzowi nie uwierzyłem. I słusznie, bo kiedyś, przejeżdżając koło Grojca, zobaczyłem w bruzdzie na polu truskawkowym młodziana pochylonego i zbierającego owoce ziemi, który przypominał mi początkującego poe, wałęsającego się niegdys po Krakowskim Przedmieściu. Pracował w ciemnych okularach.

Wysiadłem z samochodu i poszedłem kilka kroków w kierunku pola, ale zbieracz, spostrzegłszy mnie, padł nagle w truskawki, splaszczyl się i zaczął odczołgiwać w głąb pola. Jak kret. Sta nałem na wzgórku i powiedziałem głośnie w truskawkową przestrzeń:

– Chłop żywemu nie przepuści.

Artysta artystą, a truskawki z pola zebrać trzeba. Gdyby mi dawano nie wiem jaką wielką sumę, przekupił się nie dam i nigdy nie ujawnię, kto wtedy polem odpelzał. Zresztą może to nie był on, wszak peltacz krył się wśród listowia gęstego.

Może nie było wielkich miłości, może nie stać nas było na uczucia wielkie i nie powstały wielkie utwory opiewające miłość. Byliśmy zapewne pokoleniem młodzieńców wstydliwych, uczuć nie okazujących, mocnych w gębie i pozorami męskości zaslanających uczuciowość. Bo w wierszach i opowiadaniach tęsknota za miłością czystą przebijala. Ktoś powinien wyluskać z książek teksty i fragmenty ukryte i ułożyć antologię wierszy miłosnych, omijając brutalne, bo to były zapisy niespełnień. Upust po upokorzeniach nie tylko miłosnych.

Kiedyś miłość powodowała rozpacz, a w pokoleniach powojennych jakieś dziwne rozeźlenie i tandetne pyskowanie.

A kobiety wiedzą i widzą i nie obdarowywane Alpami uczuć albo chociaż zwyczajną dworskością, wiedzę, inteligencję i wrażliwość, które mogły przekazać nam, pożytkują dla siebie. Kobiety wiele rzeczy biorą dosłownie, metaforę, poswiate, przyswajają to, biorą w siebie jak pokarm i popadają w myślową otyłość. Drzemkę, z której w każdej chwili mogą się obu-

zacięciem, a prócz tego jawnie gloszona nienawiscia do komunizmu i... Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Było wielu chłopców, którzy kręcili się na perferiach "Współczesności", ale ostatecznie wybrali inne kariery niż literackie. Takim był Zdzisław Pietrzak, który został pedagogiem i polonistą, Zbigniew Boniecki - znany dziennikarz i Wojtek Albiński, który odbił od literatury na wiele lat, by ostatecznie powrócić i zostać wziętym pisarzem. Marek Piestrak jest znakomitym reżyserem filmowym o dużym i klasycznym już dorobku. Piotr Krassowski nadal świetnie fotografuje. Tchorek wyjechał do Izraela. Iwo Plachecki, Władysław Łukomski, Jerzy Falkowski i Z.J. Bolek zginęli tragicznie.

Procz tych i wielu innych osób, istniała jeszcze grupa bardzo ważnych ludzi, o których Roman Śliwonik przypomina w swej książce. Nota bene, Roman Śliwonik w swych znakomitych wspomnieniach dał znakomity obraz tamtych czasów. "Portrety z Bufetem we Tle". Byli to rodzice. Większość nas mieszkała z rodzicielami. Samodzielne mieszkanie w Warszawie dla młodzianów w naszym wieku było prawie niemożliwością. Rodzice pomagali nam materialnie. wspierali i dodawali otuchy. Mój ojciec Kazimierz udostępnił nam jeden pokój dwu-izbowego sublokatorskiego mieszkania. Moja matka Halina znosiła cierpliwie rozwrzeszczaną, niechlujną holotę, która ochrzciła się cyganerią; i ustawicznie dzwoniący telefon, wielki rarytas w owych czasach, przyznany nie nam, a mojemu ojcu - wyższemu urzędnikowi Ministerstwa Poczty i Telegrafów, autorowi fachowych książek, których do dziś nie potrafię zrozumieć.

No i były też dzielne żony, Niezbyt wiele, ale były: Ania Siewierska i Jadwiga Szymańska. Brakowało jakoś "girl friends" i żeńskiej młodzieży literackiej. Jedyna wybitniejsza osoba tego gatunku Magda Leja, nienawidziła mnie. Agnieszka Osiecka i Monika Kotowska trzymały się Marka Hłaski. Byli też i starsi przyjaciele różnych powołań i zawodów z których dobrze pamiętam tylko literatów Wyke i Sterna.

Skąd ten brak dziś tak licznych poetek, pisarek, dziennikarek itp, niech wyjaśni ktoś mądrzejszy ode mnie. Ja kobiet nie wyganiam, mogą o tym zaświadczyć z trzech kontynentów moje były małżonki.

**Leszek Szymański**

redakcyjnych. Orientował się w polityce. Starał się zaprowadzić jaki taki porządek w naszym twórczym chaosie, i nawet mu się to udawało. On to zadeponował owe słynne zezwolenie na pismo w banku, gdzie też otworzył nam konta. Do tej pory trzymałem to ważne pozwolenie w szkatułce, obok nocnika, pod łóżkiem.

Inną podporą redakcji był poeta Jerzy Czajkowski. Niesłychanie przystojny, inteligentny i obrotny prowadził dział łączności z czytelnikami, działy organizacyjne i nawet dział zagraniczny i młodzieży szkolnej. Jerzy załatwiał mi wiele spraw. Często go delegowałem jako swego przedstawiciela do załatwiania rozmaitych zawitych kwestii. Umiął przecinać węzły gordyjskie. Mogłem też na nim polegać i w sprawach prywatnych. Np. otrzymywaliśmy darmowe bilety na sztuki teatralne, opery, wystawy. Właściwie nikt poza Jerzym nie miał ochoty na te superintelektualne rozrywki. Więc by nie marnować biletów, wysyłałem Jerzego jako naszego ambasadora a zarazem i recenzenta. Wywiązywał się ze swych dobrowolnie przyjętych obowiązków dyplomatyczno literackich bez zarzutu, pod każdym względem, bo dodawałem mu dla towarzystwa moja żona Jadwiga, eks-miss piękność, której nie mogłem poświęcić należnego czasu.

Trzema zadziornymi muszkieterami - właściwie bombadierami działu krytyki byli Zbigniew Irzyk, Jerzy Łojek i Zbigniew Słojewski. Oni to nadali wysoką rangę krytyczno literacką naszemu piśmiu, a przy sposobności zasłynęli jako mordercy starych. Teodor Pamicki wystraszył się, gdy mu doniosłem, że Słojewski będzie pisał o jego Końcu Zgody Narodów. Zapomniałem dodać w swym liście, że Zbyszek bardzo sobie cenił Pamickiego.

Słojewski podchodził do świata z szyderczym uśmiechem świadomy wyżyn swego intelektu. Bawiły go jego własne zmyślane historie. Nabrał mnie swym sfingowanym wywiadem z księdzem Pirozynskim "Boyowej" renomy. Powinienem był to sprawdzić, ale zaufałem zdrajcy, który chyba przez tydzień nie mógł się powstrzymać od śmiechu na mój widok. Nabrać nie tylko naiwną publikę, ale własnego naczelnego, chyba to nie często się zdarza. K.C. trochę się krzywiło, bo były jakieś protesty ze strony kościelnej. Nie bardzo chcieli wierzyć w mą niewinność, ale przebaczyli. Większa pretensję mieli, że Czajkowski i Ośniński drukowali u Grydzewskiego. Był także donos, że Roman Śliwonik kontaktuje się, ze szpiegami angielskimi. Chodziło o to, że w "Kameralnej" Romek spotkał grupę kapitana Tadeusza Kutka, który korzystając z październikowej odwilży, nawiązał kontakty turystyczno handlowe z PRL. Romek zapraszał mnie do ich stolika. Musiałem odmówić. Tadeusz Kutek odgryzł się wiele lat później, gdy mu reagowałem "Fregatę". Z perspektywy czasu wydaje mi się dziwne, że tolerowano mą znajomość z Edwardem Symons'em, attache kulturalnym ambasady USA i autentycznym agentem wywiadu. Być może zbierano materiały do mego przyszłego procesu? W każdym razie ja brałem wścibską ciekawość Symons'a za dobrą monetę.

Wracając do Zbyszka Słojewskiego. Pamiętam, że jakimś piśmie krajowym przytoczył anegdotkę o Karolu Zbyszewskim, który w owym czasie był redaktorem naczelnym londyńskiego "Dziennika".

"Skąd on to wie o mnie," dopytywał się Zbyszewski. "Ja zupełnie sobie tego nie przypominam."

"Panie Karolu, "uspakajałem go, "niech się Pan tym nie przejmie. Jeśli nawet tak nie było, to Zbyszek to stworzył i tak to przejdzie do potomności.

Zbyszek Irzyk niesłychanie miły i łagodny pisywał rzetelne i dogłębne krytyki literackie. Nie dawał się ponosić fantazji jak Jan Zbigniew Słojewski. Píše świetnie i dogłębnie do dziś. Uwielbiał spotkania z czytelnikami i rozmowy. Dziwne, że tak krwiozercze opinie wychodziły od tak dobrodusznego młodzieńca. Jego przyjaciel Jerzy Łojek odznaczał się nie mniejszym

byłem niechlujny i nieostrzyżony w brudnej koszuli i śmierdzących skarpetkach, tłusty i obleśny, no i niepłodny pisarz. W gorszych okresach byłem sprzedajnym pismakiem, wręcz grafomanem. o moich książkach, o ile mi wiadomo, jedynie wspominał professor Marian Drozdowski.

Czasem spotykam rozmaite osoby, najczęściej poetów (rozmnożył się ten ludzki gatunek niesłuchanie) i to tak się dziwnie składa, że napotykam ich głównie w Los Angeles,], którzy mnie pamiętają z okresu redagowania pisma na ulicy Ludnej 4 m.9. Andrzeja Kaweckiego spotkałem w Chicago. Jerzego Tuszewskiego w przedsiönku polskiego radia, Jozefa Drewniaka, w Sydney. Wojtkę Siemona w londyńskiej Oficynie Bednarczyków. Parę osobistości, których nazwisk niestety nie pomnę w bibliotece POSK i w Ognisku na Cromwell w Londynie. Pamiętam natomiast dobrze mego następcę we „Współczesności” Bohdana Drozdowskiego, Stefanie Kossowska, Romka Polanskiego, dostojnego profesora Mariana Kukiela (jak dziś żaluje, że nie śmiałem go dreczyć pytaniami na temat historii!), Stahla i Chmielowca, który oddziedziczył „Wiadomości” po Grydzewskim.

Niektórych ludzi mego pokolenia, zwłaszcza związanych bezpośrednio z redakcją pamiętam dobrze, innych gorzej. W niniejszym szkicu nie pragnę nikogo lekceważyć, nikomu uwłaczać, przeprowadzać selekcji, po prostu opieram się na bardzo zawodnej pamięci.

Niektóre przyszłe wielkości jak Piotr Wierzbicki były mi mało znane. Z innymi jak z Andrzejem Doboszem i Markiem Nowakowskim nie utrzymywałem bliższej znajomości. Nawiazywał i utrzymywał kontakty z pisarzami Andrzej Chaciński, nieoceniony niesłuchanie solidny sekretarz redakcji, na którym można było polegać jak na Zawiszy, w odróżnieniu od często narwanego Andrzeja Korczaka. Andrzej Chaciński - wysoki, bardzo przystojny, spokojny opanowany i zawsze rozsądny, bywał często i mądrym doradcą. Z Andrzejem ponownie się zaprzyjaźniłem w Londynie i jeszcze raz, wiele lat później w Australii..

Chaciński w owym okresie przyjaźnił się z Romkiem Śliwonikiem i Wojtkiem Albińskim. Roman Śliwonik również wysoki i dystyngowany, cieszył się sławą przyszłego poety laureata. Na swym poetyckim polu był nie mniej znany niż Marek Hłasko w prozie. Prestiż Romka pomagał mi niesłuchanie w utrzymaniu pisma na powierzchni. Prócz tego Śliwonik był świetnym redaktorem i prowadził mnóstwo spraw administracyjnych, bardzo reprezentacyjny, błyskotliwy i wygadany nie dający się zbić z tropu, często towarzyszył mi w żmudnych wędrówkach po gabinetach różnych wysokości i w nie mniej żmudnych pertraktacjach, gdzie trzeba było uważać na każde słowo i pamiętać obustronne obietnice i zobowiązania.

Stronę techniczno-administracyjną uporządkował nam Andrzej Delinikajtis, poeta, który prócz uzdolnień swego helikońskiego urzędu odznaczał się przyziemnymi zdolnościami urzędniczymi oraz największym między nami, doświadczeniem w tej mierze. Prawnik z wykształcenia, mimo młodego wieku ze stażem w Polskim Radio, omal nie zemdlął zobaczywszy bałagan w jakim trzymałem wszelkie sprawy urzędowe. On to zaprowadził księgę korespondencji, liczbę dziennika, kartoteki personalne, zakupił słowniki ortograficzne, a przede wszystkim nadał nam osobowość prawną, bo nie mieliśmy nawet pojęcia, że taka istota posiada być poza sferą idei platońskich. Dzis jest antykwariuszem.

Andrzej przychodził do bezpłatnej pracy regularnie i punktualnie. Przypominam tu, że nikt z nas nie otrzymywał żadnego wynagrodzenia za swą pracę. Nikt tego nie zadał (z jednym wyjątkiem, który anonimowo wspominałem na innym miejscu). Jak wspomina Roman Śliwonik, o pieniądze się nie kłóciliśmy nigdy. O wszystko inne, zwłaszcza linię pisma, nałogowo.

Delinikajtis załatwiał telefony. Odpisywał na listy. Dwoił się i troił. Rozmawiał z poetami i innymi mniej lub więcej natarczymi młodymi twórcami. Dawał cenne uwagi na zebraniach

Zapanowała konsternacja w dostojnym gronie paxowskim, które zapraszało nagminnie zagraniczne znakomitości nie marksistowskiego kroju, ale dwuznacznego oblicza politycznego.

Przez Kedar poznałem George Vourgisa, małego Hindusa, ze stanu Kerala. Vourgise, który choć pigmejskich wymiarów posiadał nader okazały mózg i był znakomitym ekonomistą. Już wtedy miał doktorat z USA. W Polsce udało mi się załatwić dla niego stypendium na dodatkowe studia, dzięki prof. Oskarowi Lange. Vourgise również nauczył się po polsku i także przyjaźniłem się z nim w Londynie.

Kiedyś Vourgise który był delikatnego zdrowia wylądował w szpitalu. Odwiedzając go spotkałem Jana Bieleckiego, który też był tam pacjentem. Bielecki jako kuriozum poinformował mnie, że na sali znajduje się Hindus mówiący po polsku i w dodatku Katolik! Podobnie Krystyna Bednarczykowa oznajmiła mi, że na jej wieczorze autorskim w Ognisku, był Hindus, który mówił po polsku. Kedar stał się stałym gościem Oficyny, znajdującej się pod wiaduktem mostu kolejowego, w pobliżu stacji Victoria. Zaprzyjaźnił się z innymi częstymi bywalcami drukarni i redakcji, Feliksem Topolskim i Czesławem Miłoszem. Zaczął bywać w salonach emigracyjnych. Kedar w końcu został wydany z Polski pod zarzutem szpiegostwa. Następnie wyrzucono go pod tym samym zarzutem z Anglii. Ożenił się z Niemką, redaktorką i osiadł w Berlinie. Podobno w Polsce jest jego syn, z eks-zony Krystyny Kobylinskiej.

Vourgise wrócił do stanu Kerala, gdzie został profesorem ekonomii. Jego małżeństwo z Polką o kształtach Junony też nie wypaliło.

Inny Hindus - Sonny, który nie zdradzał zainteresowań literaturą, lecz Polkami, też ożenił się z jedną z nich i po skończeniu studiów prawniczych w Polsce, kontynuował je w Londynie i po powrocie do Indii został wziętym adwokatem oraz politykiem. Podobno faszystowskim. To małżeństwo zdaje się, przetrwało.

W Polsce Vourgise i Kedar bywali częstymi gośćmi w redakcji "Współczesności". Pamiętam, że mały Vourgise zaprzyjaźnił się nieoczekiwanie z olbrzymem Andrzejem Brychtem, eks mistrzem bokserskim ciężkiej wagi. Brycht zwykle szorstki obdarzony tubalnym głosem, w obecności Vourgisa jakos łagodniał, robił się miły i grzeczny. Czym rozmawiali nie wiem. Coś tam długo szeptali. Dziwna i urocza to była przyjaźń. Złośliwi przezywali ich kornak i jego słon, ale tylko za plecami Brychta, który miał skłonności do rękoczynów.

Andrzej Brycht był talentem na miarę Marka Hłaski, ale jak to powiedział Kwiryn w dość niefortunnym kontekście; Marek był zjawiskiem politycznym. Gdyby Brycht otrzymał tyle uwagi i poparcia co Hłasko, jego sława byłaby nie mniejsza.

Brycht miał jednak swe dni w słońcu. Skończyło się to, gdy zdecydował się wybrać wolność. Okazało się, że "Zachód" był nie tyle zainteresowany wartościami literackimi polskich pisarzy, ile ich wartością propagandową. Brycht usiłował pisać po angielsku. Nic mu z tego nie wyszło. Wrócił do Kraju. Nie odzyskał jednak utraconej popularności. Zapomniano go. A raczej Cenzura zapoznała go w czasie jego nieobecności, zakazując druku jego książek. Zmarł w Kanadzie nie otrzymawszy nagrody Nobla, o której marzył. Cenzura przydusiła także i mnie. Do tej pory żadna z moich książek nie ukazała się w Kraju. Także przez wiele lat się dziwiłem, że ludzie, którzy mnie w Polsce ledwo co znali, albo którym wyświadczyłem różne przysługi, wyrażali się o mnie negatywnie, lub zgryźliwie.. W końcu dowiedziałem się, że byłem na różnych listach cenzury w różnorodnych okresach politycznych. Czasem wolno, a nawet należało pisać o mnie przedstawiając mnie jako szubrawca. Kiedy indziej w ogóle nie wolno było Szymańskiego wzmiankować, zwłaszcza, gdy któraś z moich książek się wreszcie wybiła. Czasem można było pisać o mnie, względnie obiektywnie, ale jakos uszczypnąć. Tak więc, że jak nic już gorszego, to przynajmniej

reżymowych oddaliśmy mu część w drugim numerze naszego pisma. Wywołało to zgorzienie i potępienie przez czcigodnych Literatów, a ogromne zdumienia Wanda.

Z braku dopływu świeżej literatury tego „sensacyjno-kowbojskiego-kryminalnego” pokroju, trzeba było żmudnie szperać za przedwojennymi wydaniem, po prywatnych wypożyczalniach. Kupować też stare książki na bazarze Różyckiego, czasem przepisywane na maszynie.

Ostatecznie Kwiryn zasłynął jako twórca oryginalnych powieści sensacyjnych, jak również fantastycznych i groteskowych opowiadań i osiągnął bardzo trudną rzecz w literaturze - stworzenie oryginalnej postaci, w jego wypadku detektywa, który rozwiązywał kryminalne zagadki opierając się na precedensach powieściowych. Pisał też Siewierski oryginalne i cenne prace historyczne. Między innymi opracował dzieje polskiej masonerii.

Kwiryn w okresie powstawania „Współczesności” pomagał mi rozsądnymi radami, krytyką, łączeniem nas z literaturą zachodu oraz polską literaturą przedwojenną i zwracaniem uwagi na język i gramatykę. Nie znosił niechlujności stylistycznych i umysłowych. Zwykł mnie oskarżać nie tylko o powolny pomyślunek, ale i lepkie myśli. Wspólny pomysł niezbyt oryginalny, ale potrzebny i do dziś dnia niezrealizowany – reformy ortografii., nie przeszedł bo jedyny w naszym gronie student polonistyki Zdzisław Pietrzak, nie chciał ryzykować gniewu i zemsty profesorskiej, a ja nie miałem naukowych kwalifikacji, by takie niegodziwości proponować.

Bohdan Slezkin nie tylko dawał nam swe rysunki do „Współczesności”, ale ściągnął do nas wielu grafików. Jak wspominałem miał wielkie zdolności literackie, lecz jego główna pasja była grafika. Z jego kolegów pamiętam szczególnie dobrze Okołowa. Oraz znakomitego fotografa-artyste Piotra Krassowskiego.

Inna niezwykła postacią z okresu powstawania „Współczesności” był pisarz hinduski Kedar Nath. Spotkałem go podczas Festiwalu Młodzieży w Warszawie w 1953, czy 1954 roku. – Było to dla nas pierwsze tchnienie z Zachodu. mam na myśli Festiwal, nie Kedara. W następnym roku Kedar przyjechał na moje i mojego ojca Kazimierza (ojciec był wyższym urzędnikiem Ministerstwa Łączności, lingwista i specem od umów zagranicznych, autorem mądrych, technicznych książek) zaproszenie do Warszawy i ugrzązł tu na następne dziesięć lat. Nauczył się mówić wymiennie po polsku.

Kedar dostarczał mi materiały z literatury światowej i był naszym bezpośrednim łącznikiem z kulturą zza Żelaznej Kurtyny. Dzieliłem z nim literacką biedę w Warszawie, a później w Londynie. On to udowodnił mi, że można pisać w obcym języku, że język jest tylko narzędziem twórczym, a nie mistyczną siłą, tak jak to traktowali Stanisław Grochowiak i Marek Hłasko. Opinia ta ciągle się utrzymuje jako romantyczny zabobon, a jednocześnie łatwizna intelektualna wbrew historii i przykładom ze współczesnej literatury. Greka i łacina były środkami przekazu nie tylko naukowego lecz i literackiego przez tysiące lat. Język angielski jest językiem twórczym pisarzy, których rodzinna mowa odbiega nieraz diametralnie, od angielszczyzny. Podobnie miewa się sprawa z francuskim, a nie tak dawno temu tak było z niemieckim i hiszpańskim. Przybyszewski zasłynął na cały świat jako pisarz niemiecko-jezyczny. Józef Conrad Korzeniowski stylistyczny mistrz angielszczyzny, jest klasycznym przykładem tryumfu twórcy nad tworzywem. Zbliżone mistrzostwo osiągnął Jerzy Kosiński. Kedar nie tylko opanował język polski w mowie, lecz i w piśmie. Znał świetnie literaturę polską. Jednym z jego bliskich przyjaciół był Jerzy Krzysztoń, który zaprosił go na paxowskie spotkanie z Grahamem Green'em. Ktoś wzmiankował Mickiewicza i ten sopytał z głupia frant, "Kto Mickey Mouse?

Oburzony Kedar wykrzyknął, " Ty brudny szczerze, jak śmiesz drwić z tak wspaniałej myszy!", brzmiało to znacznie bardziej zabawnie po angielsku niż po polsku.

63

"Czasem Cię drukują, masz dobre recenzje, ale co znaczysz? Tyle ile zarobisz forsy. Obojętne: pisanina czy sprzedaż kielbasy! Tu niedrukowany i choćby w mamrze jesteś kims. A w Anglii co robisz? To samo co w Australii. Czyścisz wychodki".

Niezupełnie to było zgodne ze faktycznym stanem rzeczy, ale praca wymieniona przez Wujka nie była mi obca. Ale wróćmy do czasów "Współczesności".

Bohdan był wolny, ale nie mógł znaleźć stałej, samodzielnej pracy. Tyle co mu kapnęło ze współpracy ze mną. Jego rysunki bywały odrzucane przez pisma. Obrazów nikt nie chciał nabywać. W końcu paxowskie "Kierunki" zaczęły kupować jego ilustracje. W owym okresie w Paxie znaleźli schronienie byli więźniowie polityczni i programowo niekomunistyczni literaci. Drukowano też przekłady katolickich pisarzy i książki niektórych pisarzy emigracyjnych. Przeważnie tych, którzy wrócili do kraju jak Stanisława Cata-Mackiewicza, Melchiora Wankowicza i Teodora Parnickiego.

Przez Bohdana poznałem Dobraczyńskiego, Rembeka, Englertowa, Brychta, Krzysztonia, Doleckiego, Kowalska, Placheckiego, Rostworowskiego, Lichanskiego i Kurzyne. Wbrew pogłoskom do wodza - Bolesława Piaseckiego nigdy nie udało mi się dotrzeć.

"Kierunki" drukowały moje eseje na temat literatury angielskiej i amerykańskiej.

Bohdan dość długo poprawiał stylistycznie moje opowiadania. później gdy się jako tako wyrobiłem funkcję tę przejął Kwiryn. Stylista i krytyk wyśmienitej niesłuchanej eurydycji. Kwiryn orientował się świetnie w literaturze zachodniej i teoretycznych pradach literackich. On to skłonił mnie do zaznajomienia się z techniką pisarską Hemingway'a i Faulknera i samodzielnych studiów anglicystycznych. U później pomógł mi Kedar Nath; zwłaszcza swym przykładem pisania w obcym języku. Co dla pokoleń wychowanych na francuszczyźnie, oraz pod zaborami niemiecko-jezycznymi i orzywiscie rosdyjskim, było czymś oczywistym. Pamiętam jak marek hlasko mówił mi w Los Angeles. Pisarz to język. Nota bene, władał świetnie amerykańska gwara.

Skąd Kwiryn Siewierski czerpał swą wiedzę, nie mam pojęcia. Miał o wszystkim swoje zdanie oparte na faktach często mi nieznanach. Do rzeczywistości podchodził krytycznie, ale obiektywnie. Był często ironiczny wobec siebie i innych. Potrafił wyłapać śmieszności hipokryzje, posłyszeć syk wody sodowej w najbardziej dostojnych głowach.. Fascynowały go dziwactwa i curioza, fantastyka i mało znane ironie i tajemnice historii i jej ekscentryczne postacie. Kupował natychmiast drukowane pomniki historii. Za pożyczone lub zaoszczędzone na głodowaniu pieniądze. Co gorsza zmuszał mnie do czytania tych dzieł. Ale miał i bardziej współczesne zainteresowania. Kiedyś zawłókł mnie wystawę psów. Choć nie miałem ochoty tam się udać, nauczyłem się dużo. Miedzy innymi zrozumiałem jak ogary mickiewiczowskie mogły śpiewać. Innym razem skłonił mnie bym poszedł z nim na popisy lotnicze na Okęciu. Z jakiejś tam racji tramwaj nie kursował i maszerowaliśmy chyba z dziesięć kilometrów by podziwiać naszych awiatorów. Nic z tych popisów nie skorzystałem, choć pieski pamiętam do dziś dnia.

Dzielił się też wspólną pasją czytania książek kryminalnych, sensacyjnych i kowbojskich. I pamiętania z nich rzeczy ważnych jak również rozmaite "trivia". Było to "hobby" nie łatwe do uprawiania, jako że książek tego "genre" nie drukowano, z okazyjnym wyjątkiem jakiegoś kryminału, gdzie zbrodniarzem był agent imperializmu. Nie socjal-realistyczne "suspense i thrillery" wycofane z bibliotek publicznych. Ofiarą z rodzimych "kryminalistów i sensacjonalistów" padli miedzy innymi Antoni Marczynski, Adam Nasielski (spotkałem go w Sydney) i Romanski. Krajowy pisarz westernów Krystyn Wand jakoś się trzymał, mimo braku modelu soc-realistycznego. Krążyły jednak pogłoski, że zostanie zmuszony do napisania "kowbojskiej" powieści na tle PGR'u. Ponieważ Wand tak się odcinał od rzeszy przeciętnych pismaków

Kwiryn kontynuował naukę bez trudności. Zdał maturę, poszedł na uniwersytet i zaczął studiować historię. To on nauczył mnie sięgać do źródeł i formułować własną opinię przed konfrontacją z cudzymi. Ja i Slezkin wypadliśmy ze szkoły przed maturą.

Slezkin stworzył nielegalną organizację. Piękna E... L.... i nie piękny A....K.... złożyli donos do U.B. i nastąpiła wsypa. Slezkin, Bogdan Nowakowski i Andrzej Ociepka i inni organizacyjni koledzy zostali skazani po parę lat więzienia. Dowodami rzeczowymi jego zbrodni była kolekcja pism amerykańskich, butelka po coca-cola i karykatury Stalina, Bieruta i Rokossowskiego, oraz łyśka Rybarskiego, który prowadził "Czarną księgę", gdzie skrupulatnie notował spóźnienia, naruszenia dyscypliny czy przepisów szkolnych i gdzie nazwisko Slezkina figurowało z dużą częstotliwością.

Ja do tej organizacji nie należałem, bo akurat byłem poróżniony z Bogdanem przez piękną E... L...., ale ponieważ moje anty-rządowe "rewolucyjne" wypowiedzi były znane, tak jak i przyjaźń z Bohdanem, wyładowałem w więzieniu śledczym, pod Pałacem Mostowskich. Tym razem wkrótce mnie zwolniono. Mówię tym razem; bo były i późniejsze poważniejsze historie. Pewnie też wtedy pomogła w wypuszczeniu mnie, moja karykatura z czerwoną chorągiewką piórka Slezkina i nagana jego patriotycznej organizacji, za zamieszczenie fotografii Majakowskiego w naściennym piśmie.

Ze szkół definitywnie odpadłem, bo po wydaleniu z Batorego, wyrzucono mnie później także ze szkoły felczerskiej, za zbyt wąskie nogawki u spodni i zbyt jaskrawe skarpetki i krawat; bujną wtedy fryzurę połączoną z mickiewiczowskimi bakenbardami,... no i za jakąś gazetkę ścienną, która się nie spodobała partyjnemu dyrektorowi tej medycznej akademii. Nie pamiętam, o co poszło konkretnie, ale chyba o zbyt ni entuzjazm wobec osiągnięć medycyny zachodniej i dyskretny żart o miczurinowskiej jabłonce, co się sama podlewała - po skrzyżowaniu z pieskiem. Groziło mi także wysiedlenie z Warszawy jako niepracującemu huliganowi, ale zacząłem trochę zarabiać pisanem opowiadań do różnych prowincjonalnych tygodników, a z ważniejszych do „Świata Młodych” i „Szpilek”. Udało mi się też zdobyć trzecią nagrodę na konkursie ZLP za opowiadanie o Mickiewiczu. Wydrukowane nawet w „Wypisach dla klasy VI”, za co grosza nie dostałem, bo było dla dobra młodzieży szkolnej. Było to i w Radio, za co mi uczciwie zapłacono.

Przyjęto mnie wtedy po tych osiągnięciach do Koła Młodych przy ZLP, czyli miałem oficjalną nomenklaturę "młodego literata." Czyli jakby powiedział Wiech, „wariackie papiery”. To, że uważano mnie za szalenca, też mnie chroniło przed więzieniem, a później definitywnym zamknięciem „mojego” pisma.

Zaczynało się wrzenie przed Październikowe. Ogłoszono pierwszą amnestię tego okresu. Dla tych drobniejszych przestępców. Slezkin i jego koledzy wyszli na wolność. Slezkin utalentowany stylistą pomagał mi wygładzać moje opowiadanie. Zawdzięczam jemu i mojemu ojcu dużo. Slezkin miał wielki talent literacki, ale mając jeszcze większy talent karykaturzysty, zaniedbał literaturę. Niektóre z opowiadań pisaliśmy razem, oczywiście Bohdan je ilustrował. Niestety nie były akceptowane zbyt często. Pamiętam, iż poruszałismy tą samą tematykę co Marek Nowakowski. Ba, nawet jedna z naszych bohaterów była „Piękna Iza”, rzeczywiście ładna dziewczyna, która mieszkała na rozbrat w tym samym domu co Bohdan (dom był naprzeciw gimnazjum, mimo to Slezkinowi zawsze udawało się spóźnić). Była od nas parę lat starsza. Parę miesięcy po Slezkinie i jego towarzyszach wyszedł na wolność mój wujek Władysław Siła Nowicki, ten wróg PRL, który mi zawsze doradzał powrót do Polski, "Przy wszystkich swych wadach ustrojowych, masz większe szanse jako pisarz w PRL niż za granicą, powiadał i pisał,

## SYLWETKI

W 1945 roku pierwsza klasa warszawskiego gimnazjum im. Stefana Batorego zaliczała w swe grono wielu chłopców, których nazwiska stały się znane w życiu kulturalnym kraju, a w tym kilku związanych z pismem "Współczesność". Przypominam sobie Jerzego Markuszewskiego, który był wójtem klasowym, Tadeusza Strumpha, Krzysztofa Teodora Toeplitza, Bohdana Slezkina, Zbigniewa Bonieckiego, Zdzisława Pietrzaka, a zwłaszcza Jerzego Kwiryna Siewierskiego; później dobił też Andrzej Dobosz.

Kwiryn siedział jakieś dwie ławki za mną. Uczył się dobrze i należał do grona intelektualistów klasowych, a ja do duraków, więc trzymałem się od niego z daleka. Na dodatek jego ciemno blond włoski były nienagannie przyлизane oraz skrupulatnie nawilżane. Odziany w zabawny kubraczek wyglądał śmiesznie, a jednocześnie poważnie i naukowo. Brakowało mu tylko okularów, by dopełnić profesorskie wrażenie. W dodatku zwykle albo on albo Krzysztof Teodor Toeplitz odpowiadali pierwsi na pytania rzucone ogólnie przez nauczycieli całej klasie.

Zbliżył nas Bohdan Slezkin.

Bohdan odznaczał się niezwykłą "charismą" i swobodnie lawirował między "dużymi", zwanymi też sportowcami; średniakami takimi jak ja i Kwiryn, oraz małymi. Także umiał się znaleźć w towarzystwie takich intelektualistów jak KTT, Sztrumf i Kwiryn, jak i takich niewydarzonych jak ja, którzy woleli czytać książki nie objęte lekturą, od tych wymaganych. Czasem nawet pod ławką. Zwłaszcza na lekcjach matematyki, fizyki i chemii.

Należy tu wzmiankować, że w naszej pierwszej powojennej klasie mieliśmy młodzieńców, którzy przeszli szkołę partyzancką, lub brali udział w powstaniu, chłopców trzynasto, czternastoletnich; no i zdolne dzieciuchy z "kompletów". Słowem było to pokolenie dzieci wojny. Pokolenie zwane dziś w literaturze pokoleniem „Współczesności”.

Bohdan był także niesłychanie uzdolnionym grafikiem i karykaturzystą. Zjednywało mu to uznanie i pobbazanie, włączając w to profesorów. Karykatury jego były zabawne, a nie złośliwe. Bohdan już wtedy był prawdziwym artystą. Potrafił jednak ocenić intelekt i krążył wokół grupy klasowych medrców. Zapewnił mnie, że Kwiryn nie jest głupi mimo że się świetnie uczy, i nie jest wcale kujonem, a poprawną fryzurę utrzymuje by sprawić przyjemność matce wdowie, która go wychowywała z mizemej emerytury.

Już wtedy Kwiryn odznaczał się wiedzą opartą na szkolnych wymaganiach, ale daleko za nie wychodzącą. Im bardziej posuwaliśmy się latami, Kwiryn tym bardziej stawał się moim nieoficjalnym korepetytorem. Wiedział o Freudzie, czytał Malinowskiego i Nitcha, orientował się w nie-marksitowskich teoriach politycznych i ekonomicznych, a jednocześnie potrafił mi wyjaśnić tajemnicę marksizmu-leninizmu, wkrótce obowiązkowego przedmiotu, który rychło też zastąpił religię. To on poinformował mnie, że wice-dyrektor gimnazjum Ryszard Rybarski, lyson o fizjonomii złośliwego gnomia, choć o dobrym sercu, o czym nie wiedzieliśmy, (a co on ukrywał ze względów pedagogicznych) był przedwojennym znanym naukowcem.. A dyrektor Romuald Beranek i Kukawski, matematyk byli głównymi postaciami strajku szkolnego z 1906 roku. Także współzawodniczyliśmy w prywatnym konkursie, kto w pierw przeczyta sto najpopularniejszych książek świata. Lista była zamieszczona w "Przekroju". Wygrałem ja, bo miałem dostęp do lepszej biblioteki. Natomiast Kwiryn twierdził, iż przeczytał "Kapitał" Marxa. Szczęśliwie telewizji, nałogu groźniejszego dla mózgów niż marijuana, jeszcze wtedy nie było. Tak że nie marnowaliśmy czasu na telewizyjne idiotyzmy.

do Związku Literatów Krzysztof Gąsienowski i Zbyszek Jerzyna.

Ale TAMTO na zawsze przeminęło. Pozostało w pamięci piękne wspomnienie o przyjaciółach, wspólnej przygodzie i młodzieńczych marzeniach o sławie.

Zbigniew Irzyk

w piwniczce.

Na Szlaku w czasach jego świetności przebywali Stanisław Grochowski, tak zawsze otoczony gronem swoich wielbicieli, Jan Młodożeniec, Marian Nowakowski, Jan Himilsbach, Andrzej Partum, Zdzisław Maklakiewicz, Jan Zbigniew Skójewski-sławny Hamilton, Andrzej Dobosz pisujący swoje błyskotliwe felietony pod pseudonimem Pustelnik z Kłakowskiego Przedmieścia, wówczas świeżo upieczony magister polonistyki UW, Edward Stachura, Józef Giele, Jerzy Dunnatt, Janusz Kościuszko, Jan Bahlen Raten i Miłotek Ratajski. Ostatni dwaj stanowili charakterystyczny folklor w tej okolicy.

Niemal każdemu świeżo napisanemu utworowi danego autora towarzyszyła zawsze wielka wrzawa, aura wydarzenia literackiego obchodzonego hucznie w gronie przyjaciół i miłośników sztuki. Wydarzenia połączone z głośną lekturą wierszy, smakowaniem wina greckiego o pociągającej dla ucha brzmiącej nazwie "lacrina".

To był nasz Szlak, to była nasza młodość, to było nasze zauroczenie literaturą. Coś z tej pierwotnej atmosfery ocalało w świetny kultowy "Rejsie" Marka Piwowskiego, w którym główne role grali nasi biesiadnicy. Zawsze oglądając ten film, ogromnie żałuję, że nigdy nie udało się nam z Himilsbachem wybrać się nań wspólnie - to wielokrotnie zamierzaliśmy. Za każdym razem jednak po wspólnej uczcie w Kameralnej czy w SPATIF-ie gubiliśmy się gdzieś po drodze.

Obecnie Szlak całkiem opustoszał a większość jego bohaterów przenieśli się do "krajiny duchów" -jak to barwnie kiedyś nazywał Alekander Jerzy Wieczorkowski, pisząc o swoich kolegach ze "Współczesności". Czasem jeszcze pojawia się na nim Andrzej Partum, bawiąc chwilę w Warszawie przed kolejnym wyjazdem do Kopenhagi, gdzie na stałe zamieszkał. Niekiedy przemknął samotnie Krakowskim Przedmieściem nie rozpoznany przez nikogo. Hamilton, mignął gdzieś w d:

2

mi, opowiadaniemi, reportażami. To w takich wówczas niemal kutowych miejscach jak owiana wspaniałą legendą Kameralna, Dom Dziennikarza, Kuchcik/zagładał tu często w połowie lat pięćdziesiątych zawsze nienagannie ubrany sam Leopold Staff mieszkający przy ulicy Ordynackiej/, U Artystów, Harenda, Dziekanka, Hopfer - do późnych godzin nocnych spotykaliśmy się, stale traktując literaturę jako swoistą przygodę i formę wyżycia się towarzyskiego. Lokale te cięto zastępowały własne mieszkania, zwłaszcza przybyszom z prowincji. Niezwykle ważną rolę w tym wzajemnym poznaniu i edukacji towarzyskiej odegrało Stare Miasto. To na Rynku staromiejskim w kawiarni Kamienne Schedki oraz w Krokodylu na dobre zadistniała nowa poezja. Odbywały się słynne pierwsze wieczory literackie młodych poetów: Romana Sliwenika, Mariana Ośniakowskiego, Ernasta Brylla, Andrzeja Brychta, Stanisława Swena Czachorowskiego, Zbigniewa Doleckiego, Bogusława Chelińskiego, Jerzego Czajkowskiego, Marii Szypowskiej. O tych spotkaniach pisał we "Współczesności" z roku 1958 niejaki Arnold/czyli ja/ w obszernym felietonie pod znamienitym tytułem: "Po Kamiennych Schedkach do poezji", podkreślając ich oryginalność i znaczenie.

Szczególne cenionymi lokalami skupiającymi różnych twórców były winiarnia Fukiera i Manekin - potem przemieniony w Largactil. Przychodzili tu powszechnie znani artyści i debiutanci spragnieni sławy. Tak do Fukiera - ku podziwowowi młodzieży akademickiej - często wpadali na lampkę wina nasi luminarze kultury: Jerzy Andrzejewski, Ksawery Dunikowski i Alina Szapocznikow, a w Manekinie znajdującym się po stronie Barssa chętnie gościli Barbara Zbrożna, Jerzy Skolimowski i filigranowy Roman Polański, z którym wiekroć mijaliśmy się na krętych schedkach wiedących do kawiarni w

ZDIGNIOW

OSTATNIA CYGANERIA

Sylwetki

J R Z Y K

Byliśmy wtedy bardzo młodzi, sentymentalni i naiwni. "Piękni dwudziestoletni" jak o swoim pokoleniu napisze Marek Hłasko w głośnej książce autobiograficznej pod tym tytułem. Nie zdawało sobie wcale sprawy z tego, że jesteśmy już ostatnią warszawską cyganerią XX wieku.

To sztuka stanowiła nasz swoisty duchowy azyl, ale i sposób na życie. Tylko przebywając razem, czuliśmy się wolni, bezpieczni, potrzebni, szczęśliwi. Byliśmy przekonani, że właśnie literatura, a zwłaszcza poezja, jest w stanie zmienić świat na lepszy, uczynić bardziej znośnym ludziom, a Szlak - wówczas świeżo przywrócony z gruzów fragment Traktu Królewskiego - wraz ze swoimi licznymi kawiarniami i restauracjami okazał się jedynym miejscem w Warszawie gdzie mogliśmy się wzajemnie potwierdzić i dowartościować. Tu spotykali się przedstawiciele nowej bohemy artystycznej: młodzi poeci, pisarze, plastycy, aktorzy, przyszli reżyserzy i redaktorzy. To tu na Krakowskim Przedmieściu /vis à vis pomnika Kopernika/ w Pałacu Zameyskich mieściła się "Współczesność" przeżywająca w latach 1958-1959 czas swojej największej świetności, gdy ogłaszali na jej łamach swoje utwory Białoszewski, Herbert, Bryll, Grechowiak, Harasymowicz, Małgorzata Hillar, Poświatowska, Brycht, Marek Nowakowski, Władysław Terlecki i inni.

Z Nowego Świata, Krakowskiego Przedmieścia i jego okolic wszyscy byli blisko i po drodze. Tym z Pragi, Powiśla, Woli, Mokotowa, a także przybyłym z całej Polski, z Łodzi, Gdańska, Poznania, Poznania, Tarnobrzeg, Krakowa. Pojawiali się młodzi artyści, aby w Warszawie potwierdzić swój talent, zasilić szpalty "Współczesności" swoimi wierszami.

Jeśli do takich wniosków doprowadziło wrażenie przemian, bijące ze zdjęć, to czym byliśmy? Wielkim pragnieniem, już tak szybko wyblakłym?

I znów jesteśmy na Festiwalu Poezji w Poznaniu.

Odbywa się konkurs poetycki, panuje wielkie napięcie, bo dla wielu konkurs to ostatnia szansa na zdobycie nagrody pieniężnej, za którą będą mogli kupić bilet powrotny do domu.

W jury same świetne nazwiska: Mieczysław Jastrun, Julian Przyboś, Julian Rogoziński, Anatol Stern. Konkurs prowadził Anatol Stern.

I regularnie, co pięć minut, całą ceremonię i powagę rozwala Tadeusz Kubiak, który wolno i z trudem podnosi się z krzesła, unosi w górę dwa palce i pyta z żarliwą, pijacką powagą:

– Bardzo państwa przepraszam, czy jest może na sali Maria Konopnicka?

Siada, dziękuje. Anatol Stern nie daje się wyprowadzić z równowagi. I znów Kubiak:

– Przepraszam bardzo, czy jest może na sali Maria Konopnicka?

I tyle w tym dramatyzmu.

A po latach trzeba opowiadać własnymi słowami, co poeta miał na myśli.

## NASZE SALONY

# Dom Literatury

– Taki przystojny, a tak przeklina – mówiła o Marku Hłasce pani Helenka, szatniarka i wszechobecna osoba w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu.

– Wczoraj przed południem, gdzieś około jedenastej – relacjonowała mi bardzo głośno – pan Hłasko telefonował z aparatu przy szatni, a ponieważ był trochę tego, wie pan, to osunął się na kolana i rozmawiał klęcząc, a jakiś pan zapytał pana Marka, z kim rozmawia na klęczkach, a pan Marek na to: „Z Panem Bogiem”.

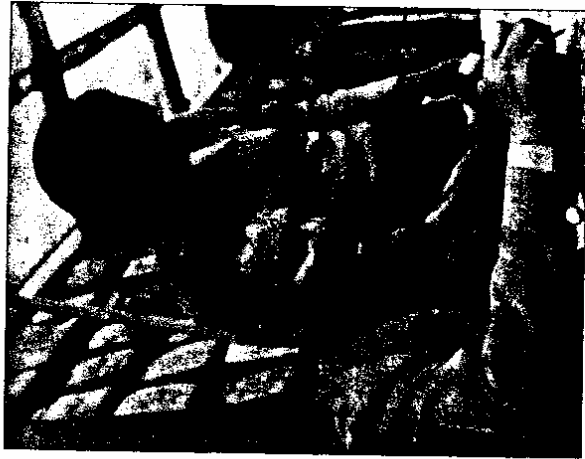
Może i są miejsca ludziom przychylne, oddziałujące, inspiрующие, w których się lepiej pracuje, myśli, po prostu lepiej się żyje. Coraz częściej myślę, że my tworzymy miejsca, a nie one nas.

Jeśli w Domu Literatury jest jakiś dobry punkt, to jest nim biblioteka. Atmosferę tworzą panie, które tutaj pracują – a od lat dobierają się właściwe – ale i krajobraz z Wisłą za oknem, jakby nie kończący się, na początku lekko się rozchylający, doskonałość malarska ożywiona, może nieco płaska w dniach mniej przychylnych. Piękny pejzaż w brzydkim mieście.

Dom, kamienica, sale były naszymi salonami, może innymi niż te, o których piszę – knajpy – ale i tutaj mocno pito, żarliwie dyskutowano i kłócono się, a może tylko i wyłącznie wadzone.

I pito w domu pisarzy tak dużo jak w całym kraju, może tylko niektórzy robili to głośniejsze, jakby na wynos, było to dokuźliwe, trochę zabawne, bo na początku bawi chyba każdy nałóg. Nie wygłaszam tych mądrości jak neofita, tylko jak człowiek

Jerzy Zdżisław Bolek.  
Poeta, jeden  
z pierwszych, który  
dołączył do grupy  
literackiej  
i współredagował  
pismo. Aktywnie.



Lenart, Mirosław Malcharek, Piotr Wierzbicki, Jerzy Zdżisław Bolek.

Część z wymienionych to członkowie Koła Młodych Pisarzy, inni pojawili się w okresie ukazywania się „Współczesności”, jak na przykład Jerzy Czajkowski z działu organizacyjnego pisma czy Andrzej Korczak, redaktor techniczny. Bo w tym miejscu wymieniam, a nie oceniam.

Zbigniew Irzyk, Jan Zbigniew Słojewski, Andrzej Brycht, Bolesław Jagielski, Włodzimierz Odojewski, Marek Nowakowski, Jerzy Harasymowicz, Jerzy Skolimowski, Wojciech Albiński, Tadeusz Strumiłło, Jerzy Krzysztoń, Marian Grześczak, Józef Rajtaczak, Eugeniusz Wachowiak, Ryszard Danecki, Stanisław Cycz, Ernest Bryll, Andrzej Drawicz, Aleksander Minkowski, Andrzej Dobosz i Wojciech Giełżyński, dziennikarz, ale w naszym krajoznawstwie był. Zresztą gdzie Giełżyński nie był. Jerzy Siewierski, Andrzej Jasiński, Józef Rurawski, Janusz Rohoziński, Janusz Krasinski.

To tylko część nazwisk. Ogrom uzdolnień. Byli wśród nich ci którzy tworzyli woda się że boli dla misarstwa przepięknie-

Stanisław Grochowiak  
i Erazm Ciolek.  
Piłki piwo i są gdzieś  
zapachem.  
Erazm wypada tutaj  
naturalnie.  
Cóż, zawodowiec.



ni, i wcale mi nie przeszkadza, że to oni sami do tego się wyznaczyli. Wymieniam tych, którzy minęli, i tych, którzy ocalili, przetrwali, stworzyli siebie. Innych zweryfikował, uporządkował, zasypał czas, nie wiem, czy tylko czas, może sprawnie lub okrutny i zaprzędany komuś los.

Pojawiły się nazwiska krytyków z młodego pokolenia, ale są to różnice wiekowe zaledwie kilkuletnie. Pisali o nas, pewnie im było bardziej po drodze z pokoleniem „Współczesności” niż z każdym innym.

Janusz Maciejewski, Tomasz Burek, Janusz Sławiński, o którym Julian Przyboś mówił – i to zapewne wtedy tylko do mnie – że to diamentowy umysł, Andrzej Mencwel, Barbara Biernacka, Eugeniusz Czaplewicz, Tadeusz Kłak, Jan Błosiński, a później: Krzysztof Mętrak, Jan Z. Brudnicki, Andrzej Gronczewski, Iwona Smolka, Michał Głowiński, Maciej Krassowski.

I kiedy tak z satysfakcją wymieniam niektóre nazwiska, nagle i nieodwołalnie w zdania wciął rok 2000. Większość potencjału intelektualnego, przydzielony im przez naturę, chyba wyko-

rzastała. Mówię o bratkuach kramienach



Roman Śliwnik. Poeta.  
Barbara, moja Żona,  
mówi, że wszyscy na  
zdjęciach zachowujemy  
się podobnie.  
Pani Magda, redaktorka  
mojej książki, zauważyła,  
że obowiązywał  
w dłoniach papieros,  
mój Brat stwierdza  
to samo. Widocznie  
taka była moda.  
Uprytomniam sobie,  
że już ustawiając się do  
zdjęć, wietrzałem, że  
pozuje, ale traktowałem  
to jako coś naturalnego.  
Mado – ja dotąd się  
do zdjęć ustawiam,  
szywnieję, robię jeden  
wyraz twarzy i pilnuję  
się, żeby fotografujący  
mnie nie zaskoczył.  
Może i robiłby mi  
do aparatu, może to  
było pozowanie, zawsze  
z papierosem w palcach  
lub w zębach,  
ale proszę mi pokazać  
jakąkolwiek fotografię  
z albumu rodzinnego  
każdego z Państwa.  
Każdy chce być ładny,  
interesujący, zgrabny.  
Brzuchy wciągnięte,  
plecy na chwilę  
wyprostowane, brak  
zębów ukryty,  
zasłonięty, często  
dłonią. I na chwilę,  
na dostępną nam  
wieczność, jesteśmy  
upozowani,  
lecz piękni.



W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych z nagłą umysły najciekawsze zaczęły lot zniżać do niewysokiego poziomu literatury i zamiast kreować, zaczęły sędziować. Przemienili się krytycy w sędziów. Uczciwość nakazywałaby, żeby sędzieli również siebie. Poziom rozgrywek umieścić może ich nazwiska za lat kilkanaście jedynie na liście arbitrow linowych.

Regulamun w rozgrywkach piłkarskich sankcjonuje ludzi biegnących wzdłuż linii, ale sędziowie, hasający po słabych albo grafomańskich stronicach książek, to widok i komiczny, i zatrważający.

Od początku byli z nami fotograficy i nazwę ich również bracia artystyczną, bo pracowali często bardziej z potrzeby serca niż dla zarobku. Od pierwszego numeru „Współczesności” był Piotr Krassowski, później profesjonalista Erazm Ciolek i Wiktor Szostak. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego nasi zaprzyjaźnieni fotografowie robią tysiące, miliardy zdjęć. Pstrykali, byli, zamysł, nieświadomi okrucieństwa, na klatkach filmowych naszą rozrzutnie gubiona młodość. A jeśli robili nam tyle zdjęć, to dlaczego jest ich teraz tak mało? Ulotniły się, zapadły w kąty różnych domów, redakcji, drukarni? A może nasi fotografowie pstrykali powietrze? Może oszczędzali, a pstrykanie dodawało im ważności, splendoru zawodowego? A teraz Erazm prawie nie ma zdjęć Staszka Grochowiaka, Marka Hłaski, Czyżca, a Wiktorowi zdjęcia rozgrabiono i też trudno coś od niego wydobyć.

Zdarzenia zgubione, nie zapisane, nie sfotografowane odpłynęły, zniknęły, pochłonęło je powietrze. Nikną jak wszystko, robią miejsce zdarzeniom nowym, podobnym, jedynie stwarzającym przez innych już ludzi, które znów przez jakiś czas potrwają, zapełnią czas. Będzie to ich ziemia, błękit, noc.

Mógłbym zacząć doceniać swój zapis, ale jest w tym więcej przynębnienia niż poczucia pozyteczności. Ale jest to również wypełnianie czasu tych, którzy są teraz, żyją. Bo jak inaczej można żyć? Niewiara? Nie ma czegoś takiego. Jest wirowanie światła, nie, świecenie, tworzenie. Raj ziemski, tworzony samym tylko ruchem, byciem. A smutek przewijający w tej małej, a przecież wielkiej przestrzeni naszego życia to smugi naszych zamyśleń, cienie pozostające trochę dłużej na dnie światła. Osad.

— Panie Romanie! Panie Romanie! Na pomoc! Biją Tadeusza Kubiaka!

— Nie pomagaj — powiedziałem, nie wstając od stolika.

— Dlaczego? — Alicja zaniemówiła.

— Nie mogę pokłonić — odpowiedziałem.

Odeszła bez słowa. Argument odebrała jej mowa.

Koła Młodych pisały przy ZLP Pierzyny, a nawet wybowały młodych ludzi różnych środowisk — w ich otoczeniu robotniczych lub chłopskich, którzy odkrywali w sobie zdolności literackie. Sytuacja prawicowych robotników w żadnych zdolności mogli nie mieć, wystarczyła chęć słuszenia piosenki socjalistycznej.

Kto reprezentował socjalizm? Henryk Gaworski, Arnold Slucki, Michał Słucki, członkowie partii z dotychczasowego Związku Robotników i kolejni opiekunowie Koła Młodych.

Nie ma się co poświecać im więcej miejsca. Jedyński pisarzem w tym towarzystwie był Arnold Slucki, maniak komunikacyjny jak wielu pisarzy w tamtych okolicach. Arnold był chłodem, maniakiem, pozostawił po sobie wiele cyników. Uczył socjalizmu socjalistycznego, posłuszeństwa dla systemu i tak — przykład

Arnold Slucki  
Opiekun z ramienia  
ZLP Koła Młodych  
Pisarz



ja, autor kilku czy kilkunastu wierszy, od początku opóźniałem nimi marsz ku socjalizmowi i ciągle mniej z Koła chciano usuwać, aż kiedyś Jerzy Putrament przeczytał moje wiersze i powiedział, że wyrzuci opiekuna zamiast Śliwonika.

Taką oni mieli wtedy władzę nad duszami kolegów po piórze — myślę o władzy absolutnej Jerzego Putramenta.

Prezesował młodym Andrzej Drowicz. Andrzej Drowicz z lat pięćdziesiątych. Pełen ideologicznej emfazy. Trochę głuchy na poezję.

Koła Młodych spełniały wtedy rolę uniwersytetów, organizacji specjalnego chowu, ale przecież zawiązywały się tutaj przyszłe pisarskie, z Koła wywodziła się młodzież, którzy założyli pismo „Współczesność”, od którego wzięło nazwę całe pokolenie.

Był to pomysł szalony, nieobliczalny i pierwszy numer został przyjęty przez rówieśników z drwiną, złośliwościami, obelgami. Szczególnie przez tych, którzy wyznają teraz, że byli założycielami gazety, jej filarami. To mali oszuci. Ich w ogóle nie było, nie istnieli, byli tacy, jacy są i teraz, dzisiaj. Okazjonalni, piśmienni. Ale nie pisarze.

Wielki pisarz, poeta, prozaik wyrasta z dorobku całego pokolenia lub kilku generacji. Jest kwintesencją i esencją pracy, sukcesów, błędów setek, może tysięcy piszących. Nie wiadomo, w której epoce po nas zostanie ktoś odkryty, doceniony, obwołany. Straszny przykład Norwida nie robi na nikim wrażenia. Grupy, stada przeciętnych — a ci odnajdują się wężem — które miały trwać tydzień, rok, panują i pełzną dziesięć, dwadzieścia lat. Wieczność.

Zapamiętanych wymienię niealfabetycznie.

Podzielił się. Na piszących i na też piszących, ale oceniających piszących. Zawsze się tak dzieje i zawsze jest to dziwne. Inny rodzaj umysłowości? Nieprawda. To inna możliwość, a raczej dostępność zaistnienia.

Marek Hłasko, Stanisław Grochowiak, Ireneusz Iredyński, Edward Stachura, Piotr Kuncewicz, Leszek Szymański, Jerzy S. Sito, Sławomir Łubiński, Sławomir Kryski, Magda Leja, Monika Kotowska, Bogdan Wojdowski, Jacek Łukasiewicz, Ireneusz Kortał, Witold Dubrawski, Bohdan Dworkowski, Tadeusz

# Roman Ściwaniak

## Portret zbiorowy

niami, samochodami, posadami. Ale to była część narodu, która wymyśliła sobie inny honor. Partyjny. Skąd w narodzie – kładym? – pojawia się nagle, na poczekaniu, tylu ludzi bez skrupułów? Łajdaczkowie po prostu są przez cały czas, czekają na okazję. Los, historia fundują im ciągłe okresy nie kontrolowane przez rozum.

Marian w swojej głębokiej wierze w wartości, jakie tworzy literatura, i w jej nadrzędną rolę był podobny po trosze do Jana Himilsbacha. Czyli literaturę tworzą – może dzięki nim ona istnieje? – wierzący w nią absolutnie, chociaż w ogólnym rozrachunku tylko jej towarzyszący?

Wchodził cicho do redakcji, siadał za biurkiem i mówił o jej sieni, która właśnie zaczynała płonać na przedmieściach Warszawy. Ciągłe chodził tam na spacer. Marian, wchodząc do pokoju, jakby od razu przestawał być w nim obecny, przenosił się gdzieś w inną, pewnie pozamijską przestrzeń.

A może tak naprawdę Mariana w znaczeniu duchowym nigdy wśród nas nie było. Przebywał z nami tylko przez grzeszność, była to kwestia dobrego wychowania. W końcu Lubomirscy to Lubomirscy. Nawet na Brzeskiej, nawet w komunizmie i z wrzosaми w ręku na rogach głównych ulic miasta. Nazwałem go błękitnym, łysiejącym aniołem. I takie przecież mogą się zdarzać.

– Panie Romanie! Panie Romanie! Na pomoc! Kelnerzy Himilsbacha biją! W holo! – Alicja Lisiecka, zastępca redaktora naczelnego „Kultury”, wołała biegnąc i potrącając sprzęty w sali restauracyjnej „Hotelu Wielkopolskiego” w Poznaniu.

Hotel był zarezerwowany dla uczestników odbywającego się Festiwalu Poezji. Jadłem właśnie obiad, kiedy obarczona wieloma nadczynnościami – w tym tarczy – i piekielną energią, krytyk Alicja Lisiecka sunęła wrzeszcząc i wymachując kończynami. Zdumiony troską ostrej i niezwykłej upartymionej niewiasty wstałem od stołu.

W holo trzech kelnerów rzeczywiście tarmosiło i szarpało Himilsbacha, który nie ustępował i rzucał na głowy kelnerów kamieniarskie wiąchy. Kłąc Jan umiał i można powiedzieć, że przeklinanie było jego specjalnością, której nadużywał.

Odsunąłem kelnerów i spytałem, o co im chodzi. Jeden z nich, purpurowy ze zmęczenia i oburzenia, zaczął nagle krzyczeć:

– Proszę pana! Proszę pana! Pan wie, co on zrobił?! Podaje się za pisarza! On! On chciał wejść na salę!

– On jest pisarzem – powiedziałem.

Kelnerzy patrzyli na mnie z kompletnym oghupieniem.

– On?! Pisarzem?! – mowil kelner łamiącym się, zrozpaczo-nym głosem.

– Tak – potwierdziłem.

Kelnerzy nawet na mnie nie spojrzeli. Odwrócili się i odeszli bez słowa.

Wróciłem do stolika. Po jakimś czasie znów przez salę zaczę-

do Wydawcy i Autora

Niniejsza  
publikacja  
ma charakter  
akademicki –  
nie komercyjny.

Oprawa przedruku  
komercyjnego  
prosze sie zytac.

ROMAN ŚLIWONIK

# Roman Śliwnik PORTRETY Z BUFETEM W TLE

mogę przysiąc Oni żyli  
ten lśnący blondyn nie był złym człowiekiem  
ten ciemnowłosy pił i kochał ludzi  
bał się ich I im nie wierzył  
przysięgam Ich oczy miały kolor  
śmiali się jasno  
mówili dość lekko o piekle i niebie  
i jeszcze wczoraj Po południu  
wierzyli w siebie



PORTRETY Z BUFETEM W TLE

ROMAN ŚLIWONIK

ISBN 83-207-1664-0

Roman Śliwonik

MY

My którzy jesteśmy określoną częścią  
czasu

zanim zaczniemy budować  
nowe stopnie lat  
nie pozwólmy  
żeby nam kazano dźwigać kamienie  
na piramidy  
krew rąk naszych  
będzie dla pokoleń  
tylko symbolem  
daremnego bólu  
nie możemy mieć jednej twarzy  
miewelnika faraonów  
ote wiosna zieloną kredką  
rysuje radość drzew i kwiatów  
w jej słońcu  
jak w pieśni  
odnajdziemy swoje twarze  
odnajdziemy radość rąk  
zanim zaczniemy budować  
nowe stopnie lat.

1956

1956

TYTUŁOWIE UROSIŁO DO TWARZY DZIECI  
ręce).

Istotnie

CZŁOWIEK III:

Przerządną.  
(słychać warkot nadjeżdżającego autobusu)

DRUGI CZŁOWIEK:

Jego ręce są przeraźliwie czyste.  
Chyba nigdy nie chodził piechotą.

TRZECI CZŁOWIEK:

Nie widziałem go nigdy w kinie.

CZŁOWIEK I:

Tacy nie chodzą do kina.

CZŁOWIEK Z BIAŁYMI REKAMI:  
(sam do siebie)

Moje ręce są tak białe jak  
księżyc.

CZŁOWIEK II:

Słyszycie coś mów do siebie.

CZŁOWIEK II:

Wszystko jedno, ja go nigdy nie  
widziałem.

CZŁOWIEK III:

Takimi rekoma nie można  
malować.

Tytus nie potrafił w końcu usprawiedliwić bezczynności. Pomyślał więc, że wyjdzie z mieszkania na ulicę. Jednakże nie był zupełnie pewny, czy równo odmierzone dotychczas potęgowaniem chodni-ka nie jest także odmierzone bezczynnością. Zobaczył siebie jak będzie musiał pozostawić za sobą kwadraty szarych płyt. Począł smutek, kiedy krzyknął, że nie zatrzymał się przed upatrzonym bo-kiem kwadratu. Potem kwadraty pomaszleruła za nim po schodach, aż zdoła je zastąpić na gorze czarnym innym. Pragnienie miarowego tupania po chodniku stało się teraz tak silne, że nie zdążył zastanowić się nad jego wartością.

Zamek w drzwiach klatki schodowej potął się przez zinę i Tytus kilkakrotnie doczekał klan-ke, nim zainkował za sobą. "Dlaczego zamknąłem drzwi?" — zastanowił się kilka kroków od drzwi. Nie wrócił jednak i nie otworzył. Stał się bowiem z kłanką, która go przed chwilą nie obchodziła.

Zrozumiał, że musiał wyjść z kłanką tą samą drogą, po której arkusze leżały teraz spokojnie. Pozostał jednak jak załamał się obojętny dla klan-ki. Powinno nie zauważyć, że przy otwieraniu drzwi z powrotem. Nie wrócił, nie otworzył, jak ją uporząd-kuje, rozumieć, wytrwała. Na razie wiedział, że będą pisać się na duże ręce z brudną pianą mydła i pierścionkiem z drutu, a może i ręce co przed chwilą służyły w młoci. Znowu ze-

okrzyknął. My zawsze z naro-  
dzeni! Niezłomnie! Zawiesz!

Głos z sali

Koledzy uważają, że rewolucja  
jest idiotyczna. Ha!

Głos z sali

Zia!

Głos z sali

Dobrze!

Przewodniczący

Koledzy. Wobec naszej rzeczy-  
wistej jedynomyślności proponu-  
ję powołać komisję do sporozu-  
nia z rewolucją (śmia). Niech  
stworzą! Brawo (żywiłowe  
oklaski). Wobec tego propo-  
nuję do Komisji powołać ko-  
legę Ostrożnego.

Głos z sali

Przec z Ostrożnymi!  
(żywiłowe oklaski) Przec!  
Przec!

Głos z sali

Koledzy należy  
przypuszczać

Koledzy. W międzyczasie  
komisja będzie tworzyć rezolu-  
cję. Będziemy tworzyć dyskusjo-  
wać.

(żywiłowe oklaski)

Dyskusja

I dyskutant

Koledzy. W minionym okresie  
dałem się ugiąć. Pozostaw  
chorowałem na pęcherz. Proszę  
o podzielenie do odpowiedzial-  
ności.

(żywiłowe oklaski)

II dysk.

Koledzy. W minionym okresie  
nie dałem się ugiąć. Nabyły  
w tym czasie wyrostek robacz-  
kowy nie wstrzyma mnie przed  
obowiązkiem powiedzenia praw-  
dy ze kolegi Xsiniki jest  
lańdkiem. Rzekłem. Proszę o  
pociągnięcie

(żywiłowe oklaski)

III dysk.

Koledzy. Mimo złośliwych  
enuncjacji w kierunku mojej  
osoby, tego zagożalonego pśdu-  
czyka Wachskiego nie odpłacę  
mu pięknym za nadobne, cho-  
ciażby ze względu na poziom  
umysłowy tej starej świni. W  
minionym okresie niejednokrot-  
nie się potknąłem.

baczył niebieskie drzewo Deraina z czerwonymi  
gałązkami, nad którym chmury odpoczywały po  
obiedzie jak foki na Saharze. Pod drzewem arku-  
sze papieru.

Kłankę pozostawiał już koło małej dziewczyn-  
ki. Zobaczył ją w ogródku koło domu, kiedy  
chodził z mieszkaniami. Jej podwójne białe  
mieczty, by utrzymać porządek, które staną się  
nieodlego bardziej przetrwać i ważne. Pisała  
coś przyklep na ziemi. "Nie wypadła mi przecież  
piśnię, tak kłanki pacyliem na ziemi. Zaczęła  
przejmować się aż podnosić Deraina."

Wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
wysłał mi... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
ki. Przez... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
boko zarzy... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
Nikt dotąd... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
nie nie... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
niebieśna. Będzie... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
też. Durszalk. Dur i szlak. Oto pęka słowo."

Ostatnia radość wypowiedział głośno. Nie zauwa-  
żył, że jest z podziwem oglądany, bo zajmował  
się wstawianiem „adu” do lewej kieszeni, a „szlak”  
do prawej. „Przebieg nigdy nie był bytem dobrym  
żwakiem. Dostawałem słabą tróję i to przy inten-  
sywnym wpływie środowiska. A jednak dokona-  
łem wzbicia słowa. Co prawda w dziesięć lat  
i kilka dni od rozbicia Hiroszimy."

MARIUSZ THOREK

Zatrząsał się. Za jego plecami biegł ktoś zna-  
jomy sprzed kilku lat. Zaraz złapie Tytusa za  
kolebierz i przetruci przez płot do ogrodu z roz-  
kopanymi grządkami. Na koniec zrozumiał kto  
biegnie.

Nie wiadomo dla kogo, ale wspaniały się po-  
stawiła kreś... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
peku kluczy... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
Słyszał tylko... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
włało się ze zm... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
mówić. "B... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
ku 1938... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
przynia... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
szycie temat... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
zyskanie" i napisał pod spodem: "co mnie obcho-  
dzi kłanka". Z karku papieru strzelił kłanka i celo-  
wał do kieszeni z kredą. Kieszeń z kre-  
dą zbliżyła się do niego. Mógł więc wrzu-  
cić do niej dwa wyszkie otryzki. A nad  
kieszenią goryzkami dalej: "Brytka ura-  
nu 255... wczoraj wczoraj wczoraj wczoraj  
trołowany. Wtedy na tej samej kartce, z której  
kłanka wrzucił do kieszeni z kredą, napisał kal-  
ka projektów tytułu: "Hiroszima, Hiroszima dzi-  
saj, człowiek Hiroszimy, Hiroszima pod Rokit-  
nem."

Teraz, po długim rozstaniu próbował zlekcewa-  
żyć tytuł. Na próżno. Zakręcił obcasami po chod-  
niku.

...i po długich a twórczych roz-  
ważaniach zdobyć się na wra-  
żką a historyczną decyzję w wy-  
niku której z całą odpowie-  
dzialnością użyję słów "w  
dniach walki! Brawo!"  
(żywiłowe oklaski)

logwardzista Obwarzanki I  
tylko moja najbliższego asorty-  
mentu kultura, oraz sądzący  
wiek nie pozwala mi na strze-  
lenie go w mordę. Dziękuję.  
(żywiłowe oklaski)

Przewodniczący

Koledzy Dziękuję za twórczą  
dyskusję. Ponieważ Komisja  
dała już stworzyć rezolucję  
pozostawiam ją sobie odczytać,  
czyta

(żywiłowe oklaski)

Głos I

Koledzy Proponuję zamiast  
"w dniach walki" użyć "toczą-  
cej się walki! Dziękuję.  
(żywiłowe oklaski)

Głos II

Koledzy Uważam, że słowa "to-  
czącej się" określa zbyt stale  
ziawisko. I dlatego uważam że  
należy je zastąpić "odbywają-  
cej się". Tak uważam!  
(żywiłowe oklaski)

Tu następuje godzina dyskusja  
którą pokrywa gęsinający dym  
z papierosów postrzępiony wpu-  
chami  
idące... płynące... ciągnące...  
dźwiżące... pędzące... huraga-  
niące...

Przewodniczący

Koledzy i Koleżanki, Panowie  
i Panie, Towarzysze i Towar-  
zystki! Dyskusja nasza aczkol-  
wiek spóźniona coś nieco w  
stosunku do zagadnień...

ciocia od literatury

Zawsze z narodem!

Przewodniczący

...nie traciła przez cały czas  
wielkości i wymiarów. Dowi-  
dła raz jeszcze, że w trudnych  
momentach potrafiemy zapom-  
nieć o drobnych urazach oso-  
bistych...

ciocia od literatury

Zawsze z narodem!

Przewodniczący

...i po długich a twórczych roz-  
ważaniach zdobyć się na wra-  
żką a historyczną decyzję w wy-  
niku której z całą odpowie-  
dzialnością użyję słów "w  
dniach walki! Brawo!"  
(żywiłowe oklaski)

Roman Sliwinski  
"Literacki Uchwyt"  
"Revolucja"

z b i g n i e w  
k u p c z y Ń s k i

b i a  
z e n

(na czarnym tle sceny pojawia się sylwetka człowieka, z białymi rękami. W drugą stronę sceny grupka trzech ludzi, czekających na tramwaj (wskazuje na to słup tramwajowy))

CZŁOWIEK NA CZARNYM TLE:

Mam białe ręce. Mam białe ręce.

JEDEN Z LUDZI:

Ten człowiek ma białe ręce, widzicie, napewno posypał je mąką.

DRUGI CZŁOWIEK:

CZŁOWIEK II:

Żni pisać wierszy.

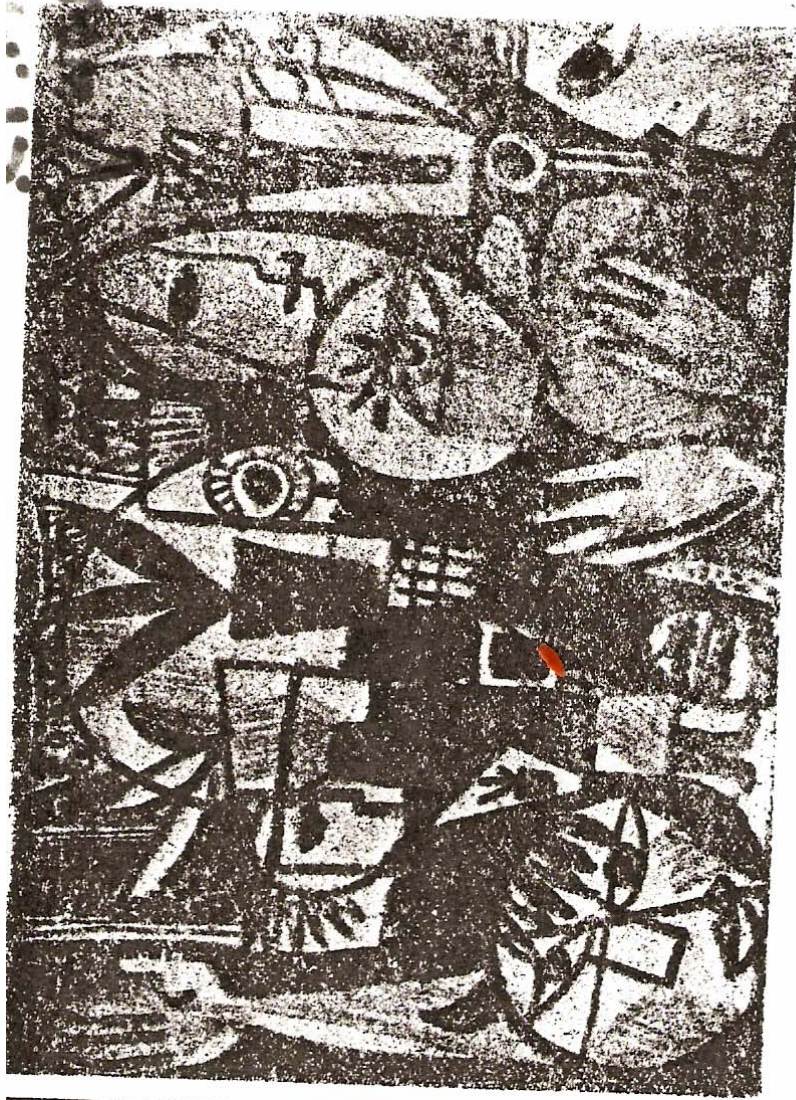
CZŁOWIEK III:

A może on pracuje dla pokoju.

CZŁOWIEK Z BIAŁYMI RĘKAMI:

Ha ,ha, ha, (śmieje się) poczem wymachuje białymi rękami.

CZŁOWIEK I:



roman śliwonik

literaci uchwalają  
rezolucję

Przegląd literatury

braszki

stanisław gerson

opowieść  
fantastyczna

Było było raz dziewczę młode piękne  
i cudotliwe...  
przepraszam ale to niemożliwe

zbieg okoliczności  
Warto przypomnieć dalewczątkom  
które wszędzie weszła dziwa  
że Kluga mogła być świętą  
bo małżonek był Wszechwładny

o hasłach

Najśladźniejsze nawet hasła  
nie zastąpią ludziom masła

waldemar błoński

Oddali nam dziela  
by Kanada przykład wzięła.

pięta achilesa

Widać, że Homera  
nikt już nie pamięta  
nazywamy stopą  
to co zwie się piętą.



**DWUTYGO  
LITERAC**  
**Nr 21/11**  
**16 - 31 VII 1958**  
**Cena 2 zł.**

# Noty o nadrealizmie

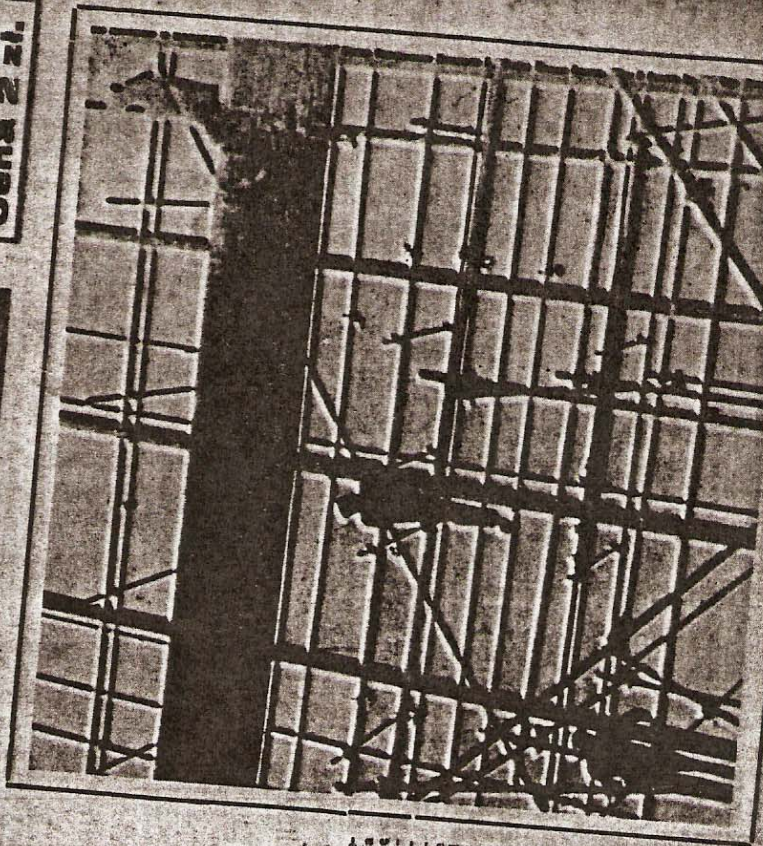
W SPRAWIE INDETERMINACYJNY • Jan Zbigniew Słojewski • O MIŁOŚCI PIŁKARZACH • Władysław Masłag • Jerry Kwiakowski • ZNOWU TARCZYŃSKA • Lech Janfajz Słotkowski • swed pracy • LEW ASZYRSKI • Władysław Turfiedt • L.A. MENNICE • Stanisław Gochowiak • WIERZBA • Stanisław Krupa, Ernest Bryl

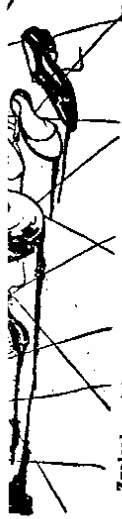
**PAMIE**

# FLM

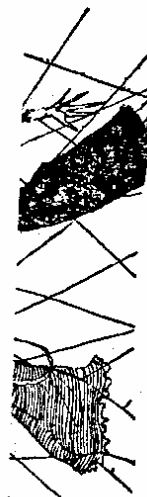
# KOSMI

# GZNY

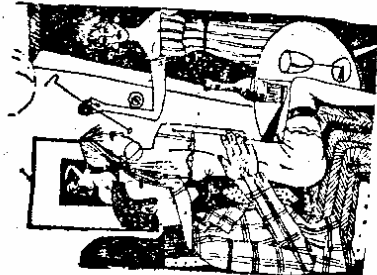




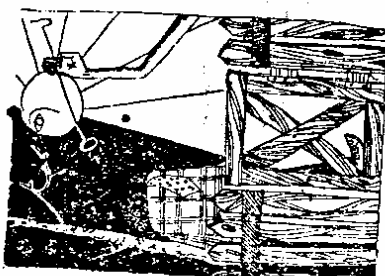
11 Znalazłam ich w helikopterze. — Czy wam nie wydał ojciec i Anno? — zapytałam — wszak Elza płacze?



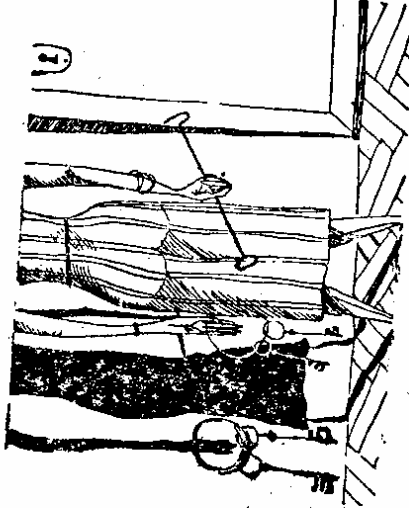
12 — Nie zapominaj się oświadczyć! — zawołał ojciec, a Anna — dała mi ból.



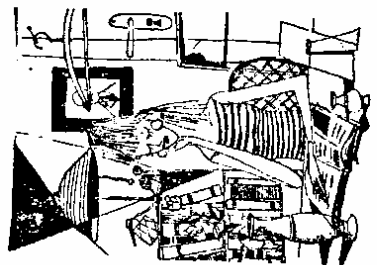
14 W kilka dni później, kiedy nudałam się wspaniale z Metodą zjawila się Anna. Była jak zwykle wytworna i opływana.



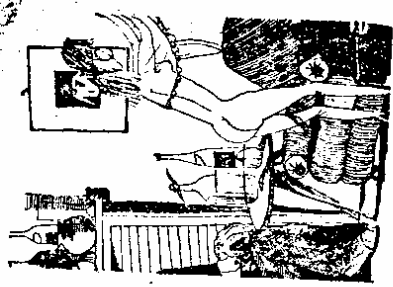
15 — Spodziewam się, iż pana więcej tu nie zobaczę — powie dziada. Metody westchnął, przgarbił się i odszedł.



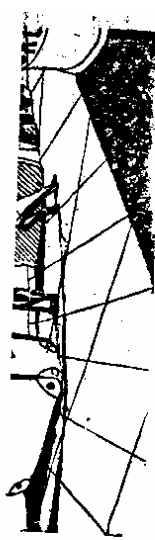
16 Poem Anna zamknęła mnie na klucz. — Ucz się daleko — powiedziała. Ciałem się poniosła i zawyżdzona.



17 Anna ograniczała naszą wolność. Przy nocy nie można się nudzić. Rledny Ojeztek, bled- na Cerycha!



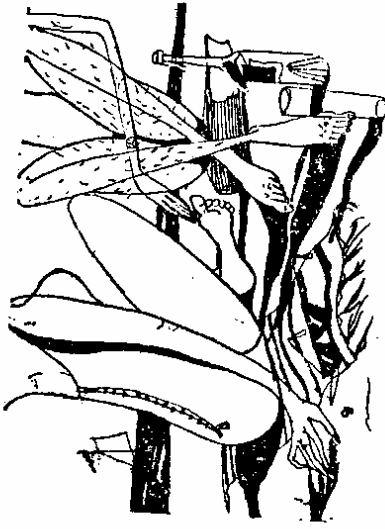
18 Wyskokczyłam przez okno i pobiegłam do Metodę. Okazał się dołkuty i wyrozumia- łym. Przedstawiłam mu swój plan.



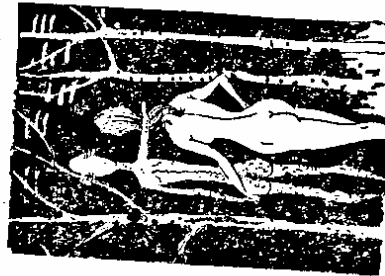
13 Następnego dnia Elza wyjechała bez pożegnania. — Ożenię się z Anna — powiedział radośnie ojciec.



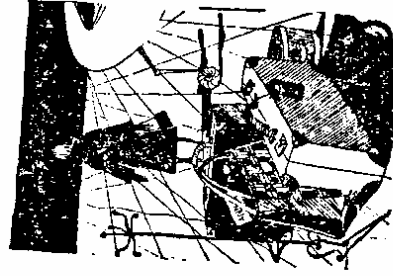
19 Pod ręką znalazła się Elza. — Będziecie udawać, że się z Me- tody kochacie — powiedziałam do nich.



20 Odtąd ojciec codziennie spłykał Metodę i Elz. Jego sub- telna ambicja nie mogła znaleźć takiego poniednia.



21 Wreszcie ojciec podszedł do Elzy. Zasadził się i z nim na spacer. Zobaczyła to Anna.



22 Nie pomógł zakreśla i pro- by, Anna nie potrafiła zroz- nieć władzy subtelności oj- ca. Opuściła nas.

Dokończenie na str. 1

## warto przeczytać!

Każdy czytelnik „Współczes- ności” winien koniecznie prze- czytać wydane ostatnio książ- ki:

„Fedydurkę” — świetna i słynna satyrę Gombrowicza (PIW). Cykl Parmickiego „Aecjusz ostatni Rzymianin” i „Srebrne orły”. (Są to zna- komite powieści historyczne) — wydane przez PAX oraz ciekawa choć mocno dyskusyj- na powieść Pionierskiego pt. „Twórcy bez masek” tegoż wydawnictwa. Zwracamy też uwagę na nieznane dotąd w Polsce przekłady z literatury radzieckiej wydane przez „iskry”. „Czytelnika” (np. Sai- tulny — zbiór opowiadań za- tytułowany „Wirtniejsi” i Aw- diejki powieść o budowni- czech Magnitogorska — „Ko- cham”).

Ludzie sztuki, ludzie literatury, muzycy, malarze i poeci zdradzili prawdę o człowieku. Zamiast pomóc mu żyć, zamiast służyć mu swoją twórczością obnażają go brutalnie. Wykazują nicość ludzkiej egzystencji, pokazują człowieka tak jakim nie chce się widzieć nigdy. Takie głosy poetyki rozbrzmiewają nie tylko u nas. Na całym świecie nie braknie krytyków zrzucających na barki ludzi sztuki ciężar odpowiedzialności za ciężar przynajmniej współczesnego człowieka.

Zdradziłeś ludzkość — powtarzają — rozbrajacie wolę człowieka, odbieracie mu siłę do walki. Zatrnuwacie młodzież, jednym słowem jesteście pesymistami, a pesymizm to rzecz szczególnie paszkuła. Działajcie jak ostry środek odurzający.

Rzeczywiście, nowoczesnej literatury trudno nie nazwać „pesymistyczną”. Mimo najszerszych chęci trudno stwierdzić obecność tak zwanego „optyzmu” w Caldwellowskim „Poletku Pana Boga” czy „Procesie” Kaitki. Nie naiwsej nastroja lektura „Dżumy” Camusa czy opowiadań Steinbecka. Wymieniam utwory z różnych szkół i kierunków. Łączy je fakt, że wszystkie były do niedawna wyklęte. Wszystkie traktowane jak niebezpieczna trucizna. Czy rzeczywiście te książki były tak „zgnile”, tak cuchnące „rozpadem i rozkładem”. Nic podobnego. Były tylko prawdziwe.

wystawa grafiki

prace

j. karwowskiej

f. sobczyńskiego

patrz str. 6

odkrywał (człowieka społecznego), Camus człowieka „samiego w sobie” występującego na tle społeczeństwa. Te dwie odmiany realizmu nie wkluczały się wzajemnie — przeciwnie, ten drugi realizm był nie do pomysłienia bez pierwszego.

• • •

Czy literatura realistyczna może być trucizną — sądzę, że nie.

Ale jeżeli pisarze ograniczają się tylko do rejestrowania faktów, do tworzenia smutnych okrutnych syntez. Nie pokazują drogę wyjścia. Łatwo rozprawić się z takim zarzutem. Balzac też nie podawał dróg wyjścia z dzungli kapitalistycznych stosunków, zniósł to dopiero człowiek o nazwisku Marka, nikt jednak nie okarzał Balzaca o truciiznę. Zresztą nieprawdą jest twierdzenie, że nowoczesna literatura nie proponuje rozwiązań. Już sama próba dania czytelnikowi przerw w dysonansie samym jest także próbą rozwiązania. Jest aktom wiary w człowieka, w godność, którą człowiek potrafi zachować w obliczu prawdy.

Poszybnie się balastu złudzeń to także pewne rozwiązanie. Zresztą nie tylko takie moralne zadokuczynienie ludzkiej godności proponuje nowoczesna literatura.

Stary człowiek Hemingwaya mimo klęsk, jakie na niego spadły, nie rezygnuje z walki, nie traci i nigdy nie straci nadziei. Stary człowiek jest przesładowany przez pech, swoją własną starość, przez śmierć dojrzejącą w każdej komórce jego ciała. Obiektywnie rzecz biorąc ma bardzo niskie szanse zwycięstwa wielkiej rywalizacji. Jednak gdyby nawet szanse były jeszcze mniejsze nie zrezygnowałby z walki. Siłami podłocha. Powróćcie, że będą miały odrębne zdanie.

na wiele języków, jak np. francuski, angielski. Dokładnie na własnym podwórku nie dostrzegano się zdolnych ludzi, tak samo Kostecki nie jest „dobrym” u nas.

Przez wiele lat był zmuszony do milczenia. Obecnie w niewielkim stopniu ma możliwość wydawania swoich książek, podczas gdy płacimy „ciężką” walutę za agrarnie kryminaly. Ostatnio pracuje nad bardzo ciekawą powieścią historyczną o Krzyżoświe Kolumbie, opowiadającą o tragedii południowo-amerykańskich Indian. Na stronie 12 zamieszczamy fragmenty z jego książki, która w najbliższym już czasie ukaze się na rynku.

## celes tino

„Imię Celestino pasuje do mnie tak samo, jak każde inne. Jestem oszustem małego kailbra, bulajem, pasażerem, demitracielem truhadorem bez gilaru. Przypuszczalnie widziałem mnie na Blecker Street w City Nowego Jorku lub na South Oakley Avenue w (Chicago, albo na North Beach w San Francisco. Możliwe, że tam wrzucił jeszcze zabarycz. Poznał mnie po ciężkiej od zniechębiających widoków głowie i po łamaniu nie sapalonym „cygaro” przegłonięty w kieliku moich ust. Ale jeżeli przynajmniej mnie jeszcze odrazić, muszę się podzielić: 23 stycznia 1950 obrabiałem moje siedemdziesiąte urodziny”.

Opowiadanie Celestino, które do autorów jest Anglio Feltrinim, jeden z najsłynniejszych współczesnych pisarzy amerykańskich, ukazało się w przekładzie Zolli Rybickiej już w naszym numerze. Należy sobie do zbioru opowiadań Feltriniego „Amerykanie by Chole” (Amerykanie z wyboru), obejmujące kryje emigrację w Amerykę.



Ojciec mój był człowiekiem niezwykle subtelnym i dobrym, kochał swobodę i piękno. c. d. na str. 14

WITAJ  
NIESTRAWNOŚCI  
TEKST FRANCISZKA IMBRYK & KWIRYN  
RYSOWAŁ BOHDAN SIEZKIN \*\*\*\*\*

## zjazd młodych pisarzy

szczęśliwy w następnym numerze

## PODZIĘKOWANIE

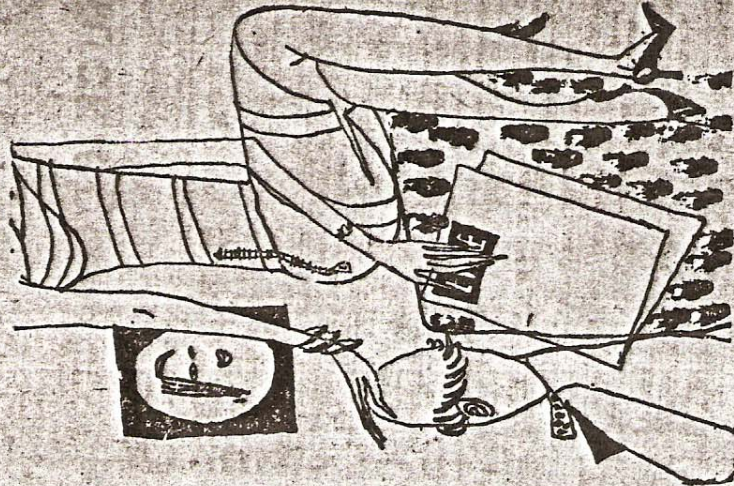
Redakcja wyraża serdeczne podziękowanie p. p. J. Broszkiewiczowi, J. Iwaszkiewiczowi, L. Kruczkowskiemu, J. Mondowi, Miłkowskiemu, E. Osmańczykowi, J. Putramentowi, M. Rakowskiemu, J. Wyca, M. Zawadzie, J. Zagórskiemu (Ruch), M. Jędrzejowskiemu (Ruch), K. Kuczkowskiemu, oraz tym wszystkim, którzy pomogli nam w ciężkim okresie wydawania pierwszych numerów.

# WITAJ NIESTRAWNOŚCI

## FRANCISZKA IMBRYK I KWIRYN

(Dokończcie ze str. 1)

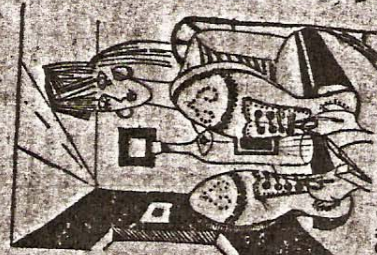
RYS. BOHDAN SLEZKIN



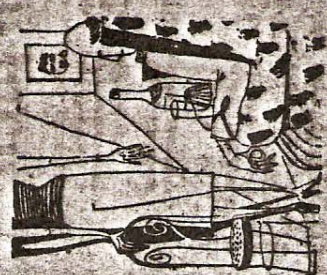
3 Spotkaliśmy walcze na Riwierze. Razem z nami odjechała siostra i skromna pałeczka kina.



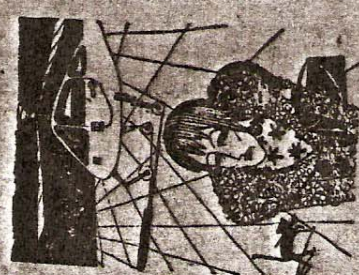
4 Powszechnie wiadomo, że...  
...i...  
...i...  
...i...



5 Odłóż więc ten...  
...i...  
...i...  
...i...



6 Czy wiesz...  
...i...  
...i...  
...i...



7 Anna...  
...i...  
...i...  
...i...



8 Niechajmy...  
...i...  
...i...  
...i...



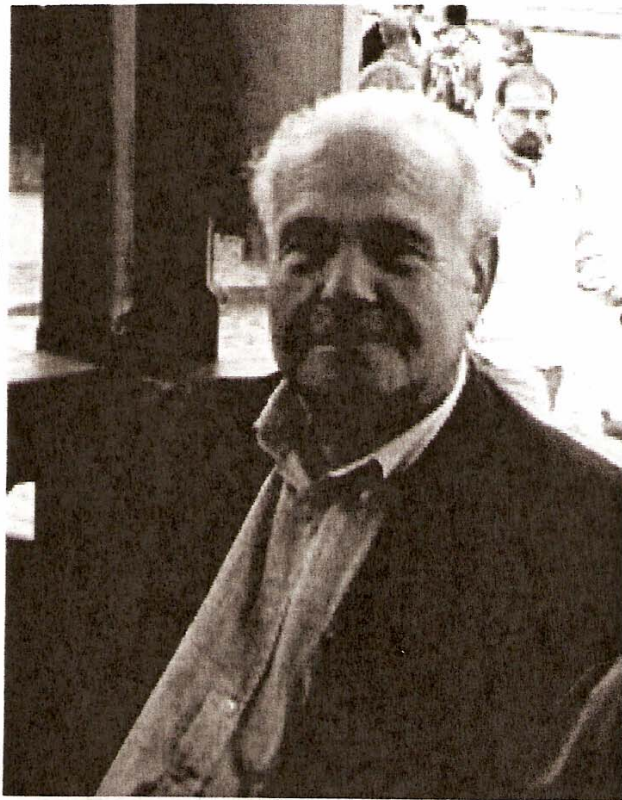
9 Powszechnie wiadomo, że...  
...i...  
...i...  
...i...



10 W...  
...i...  
...i...  
...i...



OB. DRZYK 2006



## Książka warta

Dzięki uprzejmości autora otrzymaliśmy na pięknych kredowych papierach, książeczkę w języku angielskim, pt. „Living with the weird mob” — Leszek Szymański. (Nie pomylić ze słoneczną anegdotą „They are a weird mob” — Johna Gradera, książka i filmem lat pięćdziesiątych!). — Autor, który przebywał do niedawna w Australii (obecnie jeden z redaktorów „Gwiazdy Polarnej” w Stanach Zjedn.) w spotaniach, do pewnego stopnia, dość subiektywny — przez co

książka nabiera charakteru osobistych spostrzeżeń — przedstawia wielorakie aspekty życia w Australii, kraju, w którym zbudowało egzystencję z górą 100 tysięcy Polaków.

Autor nie miał tutaj łatwego życia i dlatego, co jest moim osobistym spostrzeżeniem, zaliczył Australię do tych miasowskich alternatyw, które zgryzotała nam Polakom, znana z psich figlów, nieprzyjazna nam Niemcom.

I chyba właśnie dlatego dużo Polonistów, siedzi na tej wy-

## przeczytania

spie kangurowej i czło w harmonijkę układa. „Nie lubią nas Anglosasi — w waturkę kopane”, piwo nie smakuje tak jak Okocimskie, whiskey gorzka, komary giza i gdyby tylko taki syn Gierka wykopytnal razem z komunizmem, a wracamy jak pielgrzymka do Częstochowy ... na kolanach.

Piękne są np. opisy podróży autora do Barrier Reef, Green Island, ale o stosunku do ludzi przydałoby się więcej majonezu i oliwy a mniej soli. W ten sposób obraz ogólny nabralby cechy pozytywnego obiektywizmu, który tak ceniony jest przez czytelnika.

Tłumaczowi książki z polskiego na angielski należy się piątka z plusem. Za nieskazitelny „Queen English”, a wydawcy za szatę zewnętrzną.

Książka Leszka Szymańskiego powinna być w każdej bibliotece polskiej i australijskiej — ponieważ porusza ważne sprawy nas interesujące daje pole do popisu dla tych wszystkich zarazonych „bakcylem polemiki”, a jednocześnie jest poważną kontrybucją Polaka literata w ogólny wkład kulturalny. Na rod u wśród którego żyjemy i jesteśmy jego częścią.

Eugeniusz Stulięłowa

Z BIGNIEW DRZYK

EDUGENIUSZ

STULIGŁOWA





**„Tylko wzruszenie” to pierwszy od 8 lat  
tom poezji Romana Śliwonika**

Po wielu latach namysłu i poszukiwań nowego słowa współbrzmiącego z nowym czasem otrzymujemy znamieny zbiór: dokument życia wewnętrznego poety i dokument przemian w świecie symboli mentalnych zbiorowości. W nowatorski sposób rozwinięty został wątek poezji wiernej prawdzie: „tyle tylko po nas /ile wymówimy siebie” za pomocą żywej tkanki wiersza. Zabiegiem artystycznym zwracającym uwagę jest metafora: wibrująca bólem, za każdym razem własna, niepowtarzalna wobec siebie i innych.

**Jan Zdzisław Brudnicki**

Artykuły z ówczesnej prasy, jak i tygodniowej, odznaczały się nieraz bardzo ostrym tonem, dużym stopniem krytycyzmu i różnorodnością opinii, wywoływały szereg polemik, żywe reakcje czytelników. Wielu pisarzy i publicystów, działaczy społecznych, dokonywało analiz swej dotychczasowej działalności pisarskiej, społecznej, krytycznie oceniało własne teksty pochodzące sprzed 1956 roku. Były to nieraz artykuły zdecydowanie samokrytyczne, bardzo jednoznacznie i negatywnie oceniające miniony okres. Charakterystycznym przykładem tej „fali obračunkowej” może być następujący fragment *Mojego trzęsienia ziemi* Władysława Machejka, który to tekst był drukowany w 1956 roku (nr 15) w „Życiu Literackim”:

OBKWAJEL

Zbigniew Irzyk

1956



I oto doszła mnie informacja tow. Chruszczowa *O kulcie jednostki i jego następstwach*. Osoba Stalina została obnażona od tej strony, od której jej nie znałem.

Stalin brutalny. Stalin nie liczący się ze zdaniem Politbiura. Stalin chorobliwie podejrzliwy. Stalin podporządkowujący teorię o zaostreżeniu się walki klasowej, ugruntowaniu swej niepodzielnej władzy. Czyszciki. Łagry dla komunistów. Stalin nie zwołujący ani Komitetu Centralnego, ani Zjazdu...

[...] Starczy, żeby dostać ataku serca? Ludzie dostawali ataku serca.

To co przeżyłem ja, można porównać do trzęsienia ziemi. (To określenie rzucił tow. Putrament). Określenie ściśle przylega do mo-



Jan Zbigniew Słojewski



Bohdan Wojdowski



Artur Sandauer



Wacław Sadkowski

Sygnalizowanej tematyce, temu co w latach siedemdziesiątych prasa określała mianem „dobrej roboty”, było poświęconych szereg reportaży drukowanych we „Współczesności” po 1957 roku. Na czoło wybija się tu obszerny, opublikowany w dwóch numerach (9 i 10 z 1959 roku) reportaż Andrzeja Brychta pt. *Czerwony węgiel* opowiadający o różnych aspektach pracy i życia górników. Jest to tekst przypominający swoją poetyką, narracją, opowiadanie autora *Raportu z Monachium*, reportaż, którego atrakcyjność — oprócz samych walorów poznawczych — opiera się na żywym języku, dialogach sprawiających wrażenie zapisu autentycznych wypowiedzi rozmówców. Problemom pracy były również poświęcone i inne, stosun-

typu reakcje twórców, właściwe najczęściej tym, którzy z równą pasją angażowali się w gloryfikację rzeczywistości sprzed 1956 roku, dobrze charakteryzuje następujący fragment *Cyrografu* Ludwika Flaszena:

Dawniej wszystko było dobre — dziś wszystko nagle stało się złe. Nagle zła architektura warszawska, nagle zła klasa robotnicza, daleka od dziarskich murarzy z plakatów, partia nagle po-

pełnia błędy, byt w Polsce nagle jest trudny, idee nagle ciasne i zdogmatyzowane. Nagle — jak gdyby dawniej wszystko było w absolutnym porządku.<sup>54</sup>

Druga postawa charakteryzowała się większą powściągliwością w formułowaniu ocen minionego okresu, opierała się nie na wypowiedzianych wprost

# ob. Irzyka

czniku), Bg. Schulz i Gombrowicz jest słuszny, ale znowu nie dotyczy podręcznika szkolnego, jako takiego. Może należy dyskutować o rewizji programów nauczania, ale na pewno nie trzeba żądać rozszerzania ich.

Artykuł ob. Irzyka jest wysoce szkodliwy ze względów wychowawczych: podważa autorytet poważnego krytyka i rzetelnego badacza, naturalnie tylko w oczach i pojęciu niedowarzonych umysłów,

ale przecież czasem czytuje „Współczesność“ i młodzież szkolna! Artykuł uczy „poszturchiwania“ i braku szacunku dla cudzej pracy, za rozumiałości i butnej pewności siebie, a właściwie jest pozowaniem na „angry-man'a“ i na pewno wyrazem pospolitego złego wychowania.

Powolywanie się na Koźmiana i Mickiewicza jest efektowne, ale w tym wypadku śmieszne. Podręcznik Matuszewskiego nie jest tylko wyrazem opinii osobistej ob. Matuszewskiego, ale był szeroko dyskutowany w środowisku naukowców, nauczycieli i literatów, uzyskał zarówno aprobatę, jak i uznanie w dyskusji urzędzonej na ten temat przez PZWS. Na tle tych powszechnie znanych opinii i uwag o podręczniku dość osobliwie wygląda artykuł ob. Irzyka.

## tytet za wszelką cenę

Jest także rzeczą dowiedzioną od dawna, że w pewnych kręgach obowiązuje zwyczaj schlebiania sobie wzajemnego, i tworzenia zamkniętych kółek wzajemnej adoracji. Autorowi artykułu nie zależało na tym, aby być dobrze wychowanym i schlebiać tymże osobom, zależało natomiast, aby „prostacko“ wypowiedzieć prawdę fałszowaną w różnych panegirycznych artykułkach rozsianych po prasie, prawdę, która według p. Knothe jest synonimem chamstwa i złego wychowania. Tak samo autorowi artykułu „Podręcznik dla nieuków“ nie zależało na zachowaniu autorytetu „poważnego krytyka i rzetelnego badacza“, skoro w pojęciu jego „niedowarzonego“ umysłu (jak pisze pani Knothe) i w pojęciu też wielu starszych i poważnych pisarzy i krytyków, pan Ryszard Matuszewski już dawno tego autorytetu nie posiada. Zbyt często bowiem upraszczał, zmieniał zdanie i zaprzeczał sam sobie w tym co pisał.

Nie stosujmy podwójnej moralności w naszym życiu polegającej na zachowaniu autorytetu za wszel-

ką cenę, choćby on nawet nie miał pokrycia, bo to właśnie jest — zapewniam Panią — jeszcze bardziej szkodliwe ze względów wychowawczych, niż pisanie prawdy. Musimy wreszcie przestać uznawać autorytety nieistniejące, a fikcyjnie przez pewnych ludzi podtrzymywane, oprzeć zaś autorytet na rzetelnej wiedzy i faktycznej zasłudze autora. Przestańmy wynosić osoby nie znajdujące potwierdzenia w dorobku naukowym i piśarskim.

Z listu p. Knothe przebiega również wyraźna obawa, że pod wpływem tego rodzaju szkodliwych artykułów jak mój — młodzież nie zechce szanować swoich nauczycieli i wychowawców. Na pewno może przestać szanować tych, którzy na zaufanie i szacunek nie zasługują, ale na pewno nie przestanie szanować tych, którzy wykazują się wiedzą, znajomością przedmiotu i prawdziwym umiłowaniem literatury.

A na autorytetach nieistniejących (wybaczy znowu Pani) nikomu przecież nie powinno zależeć.

## Odpowiedzi redakcji

Pan Joel — Tczew.

Utwory Pana do druku się nie nadają. Niedowcipne i rozgadane bez umiaru i dyscyplinowania. Na przykład:

ROZMOWA

Kosz kosz kosz kosz  
krzyczy kurka  
kogut na nią na nią  
wskakuje  
i pieje: więcej kur kur kur.  
Pozdrowienia.

Pani Krystyna Z. — Warszawa.

„Usta wygięłam łukiem drwiącego uśmiechu“. Tak pisać nie można. Sztuczne, banalne i wtórne. Druga wersja wiersza poprawniejsza. A poza tym radzimy nie przysyłać więcej, tylko po jednym wierszu.

EL. EM. — Kraków.

Fraszki słabe. Jeśli ma Pan ochotę, proszę przysłać większy wybór.

Pan Włodzimierz P. — Podkowa Leśna.

Wiersze nieprzekonywające artystycznie i myślowo. Zagmatwane, usztywnione. Trzeba pisać prościej, skuteczniej, dobierać słowa i określenia. Rytm obowiązuje również w wierszach wolnych.

Narcyz Demon — Pabianice.

Ale Pan jest perwersyjny! Zebym zacytował Pana utwór to byłby dopiero wstyd. Więcej umiaru.

Jerzy L. — Grodzisk Wlkp.

Niedobrze podrobione echa Młodej Polski. Obrazy i określenia blade, niezauważalne. Nad wierszami trzeba pracować.

Konstantego Grzybka prosimy o nie wyglupianie się. Nie wszystkie żarty dobrane są w życiu kończą.

Pan Feliks N.



teracko-Artystyczna „Dlaczego Nie“ nawiązała ostatnio ścisłą współpracę ze „Współczesnością“. Członkowie grupy przy pomocy redakcji „Współczesność“ postanowili poważnie rozszerzyć działalność m. in. poprzez skupienie wokół siebie wszystkich młodych twórców i artystów Wrocławia i województwa. Po reorganizacji, od października

W

Nr 23/13 z dnia 16 —  
30. VIII. 1958 r. Wa-  
szego pisma ukazał  
się artykuł Zbigniewa  
Irzyka pod wymow-  
nym tytułem „Pod-  
ręcznik dla nieuków”.

MARIA KNOTHE

# Osobliwy artykuł

Jako nauczycielka jęz. polskiego (w liceum, ul. Świętokrzyska 1) korzystająca z podręcznika R. Matuszewskiego, czuję się obowiązana do zabrania głosu w sprawie poruszonej przez ob. Irzyka. W jego artykule uderza przede wszystkim impertynencka w stosunku do autora podręcznika forma. Tak bardzo zależy nam na kulturze obyczaju, na zerwaniu z prostackimi formami bycia naszej młodzieży, że musi się u nas buntować poczucie przyzwoitości, kiedy czytamy w piśmie, mającym ambicję wyrażania zainteresowań i stylu „współczesności” tak niewybredne określenia, jak nazwanie poważnej i uznanej książki „podręcznikiem dla nieuków”, jak stale podkreślana „ignorancja” Matuszewskiego, doskonałego krytyka literackiego i zasłużonego badacza literatury 20-lecia.

Tyle o formie artykułu.  
A teraz meritum sprawy.

\* Matuszewski nie jest „lansowanym przez PZWS monopolistą” w zakresie literatury 20-lecia, a po prostu tym poważnym znawcą okresu, który mógł podjąć się zadania i z powodzeniem napisać podręcznik szkolny dla kl. XI. PZWS ogłaszały nawet wolne konkursy na podręczniki szkolne i osoby powołane (mógł i ob. Irzyk) miały możliwość wykazania się swą wiedzą i umiejętnościami.

\* „Uproszczenia” znajdujące się w podręczniku są naturalnym mankamentem szkolnych opracowań, nie jest celem podręcznika na kl. XI przeznaczanego tylko na II półrocze roku szkolnego dawać szeroką charakterystykę wszelkich kierunków i ich odgałęzień w sztuce (kubizm, futurizm, awangarda), stąd tylko wzmianki w omawianej książce. Kto z nauczycieli, a nawet uczniów zainteresuje się nimi bliżej, musi szukać innych źródeł. Podręcznik z natury rzeczy omawia wyczerpująco przede wszystkim pozycje programu, zatwierdzonego przez Min. Oświaty. Uderzające jest, że ob. Irzyk nie zaatakował omówienia przez Matuszewskiego

żadnego z autorów „programowych” są oni właśnie opracowani wyczerpująco i bezbłędnie, nie ma również w podręczniku zbyt osobistych sądów wyrażających gusty i dysgusty autora.

\* Ob. Irzyk uważa, że „na przekór zdrowemu rozsądkowi” M. Dąbrowska i Z. Nałkowska są uważane za największe pisarki. Widocznie „zdrowy rozsądek” ob. Irzyka bardzo różni się od zdrowego rozsądku innych, czytających i interesujących się literaturą. Co do Zofii Kossak-Szatkovskiej, to dziwny wydaje się wniosek ob. Irzyka, że jakoby Matuszewski i ją uważa za „największą pisarkę”, niczego podobnego nie można u Matuszewskiego wyczytać, natomiast podkreślone są oczywiście cechy jej pisarstwa, jak nawiązanie do tradycji sienkiewiczowskiej, światopogląd katolicki, obiektywizm w stosunku do faktów historycznych. Antypatia ob. Irzyka do Nałkowskiej znana mi jest z pewnego artykułu, który opublikował w swoim czasie, a który był także napastliwy, złośliwy i mało poważny. Wolno mu mieć taki gust, ale niech go nie narzuca podręcznikowi, który musi oceniać i kwalifikować możliwie najobiektywniej.

\* „Matuszewski nie potrafił także zachować właściwych proporcji” — pisze ob. Irzyk i oblicza, ile stron i wierszy poświęcił autor poszczególnym pisarzom. Pomijam już typowo „uczniowskie” wnioskowanie o ważności pisarzy na podstawie ilości zajmowanych przez nich stron w podręczniku, chodzi mi o istotę rzeczy. Raz jeszcze należy stwierdzić, że autor podręcznika szkolnego musi najszerszej zająć się pozycjami programowymi, inne z konieczności omówić pobieżnie. Oburzające wprost jest imputowanie Matuszewskiemu, co jakoby wynika „niezbicie” z podręcznika, że „najgorszym” poetą jest Leśmian. W podręczniku czytamy (str. 184 wyd.

PZWS 1958 r.): „Byłoby błędnie widzieć w poezji Leśmiana wszystkim tego, co stanowi jej wartości i nieprzerwaną piękność... itd... Zbiory wierszy miana „Łąka” i „Napój” należą bezsprzecznie do najlepszych pozycji poetyckich”.

Postulat, aby właściwie otrzymali w historii literatury skiej Unilowski, Jul. Kadrowski (notabene obiekt trafnie ujęty w omawianym

Zbigniew Irzyk

Auto

List pani Marii Knothe, cielki języka polskiego jest stety, bardzo charakterystyczny pewnego kręgu osób. Nie się też, że właśnie p. Knothe rodka Metodycznego tak mnie potępia i występuje w nie podręcznika Ryszarda Matuszewskiego. Nie dziwię się, gdyż artykuł mój — m. in. wany był do osób nawykłych schematów, laurek i zafał Argumenty p. Knothe nie nały mnie. Dla mnie podręcznik przynoszący wypaczony, pełen promitujących uproszczeń, literatury polskiej (obojetnie kich względów) nie nadaje nauczania literatury. Tłumacznemu p. Knothe, że podręcznik jest zgodny z programem, nie jest naiwne i wystawia dodatkowe świadectwo twórczości programu. Nie może bowiem stnieć wypadek, by upraszczać fałszowywać obraz literatury tylko w celu przystosowania do programu! Podobnie nie być miarodajne powoływanie na anonimowych autorów i kowców, którzy rzekomo po nie ocenili podręcznik.

## Kronika kulturalna

JAZZ W FILHARMONII

11 i 12 października w Sali Kameralnej Filharmonii Narodowej odbył się ciekawy koncert najlepszych

Gdański Klub Literacki „Współczesność” zmienił siedzibę. Dotychczasowy lokal — kawiarnia w „Strzelnicy św. Jerzego” — mimo bardzo nastrojowego starogdańskiego wnętrza (ze względów niezależnych od organizatorów np. dudniący tuż pod oknami tramwaj) nie sprzyjała urządzaniu imprez o charakterze literackim.

Nowym lokalem jest kawiarnia „Zak” w Klubie Studentów.



na tropie bzdury  
**LESIEK**  
upiory  
jeszcze  
straszą  
**SZYMAŃSKI**

Okazuje się, że niektóre zjawiska mają zasięg niezwykle szeroki. Latające talerze szerzyły strach i zgrozę nie tylko na południu Stanów Zjednoczonych, ale także w wioskach nad Loarą i nad palmami Tanganiki. Upiór socrealistycznego schematyzmu grasował nie tylko w krajach położonych na wschód od Łaby. Istniała także odmiana socrealistycznego schematyzmu na zachodzie Europy. Z jednym świetnie zachowanym okazem tego ponurego zjawiska zaznajomiło nas Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej wydając 443-stronicowe tomisko pióra niejakej Marty Dodd. Powieść nosi ciekawy tytuł — „Ci co sieją wiatr”. Za tytułem kryje się treść przypominająca nasze niedawno jeszcze powszechnie panujące wzorki. Odnosimy wrażenie, że pomysłowa autorka przestudiowała kursy historii WKP(b) przerobiła następnie odpowiednio partię na chropawo napisane monolog i dialogi. Bogactwo problematyki książki jest momentami wręcz olśniewające. Czego tam nie ma? Jest i zły hitlerowiec skompromitowany przez autorkę tym dogłębniej, że opatrzyła go opaczny popędem seksualnym. Jest i bohaterski komunista, człowiek-monument, człowiek, który nigdy nie zna wahań. Jest i w książce taki bohater, który się waha, ale źle na tym wychodzi, bowiem zwykle bywa tak tym, którzy nie mają politycznego kregosłupa. W powieści nie znajdujemy nawet cienia usiłowania nadania bohaterom psychologicznego prawdopodobieństwa. Losy bohaterów są ściśle, z nieuchronną dokładnością zeterminowane.

Książka jest nudna i bardzo denerwująca. Trze-

„Błogosławieni ubodzy duchem — powiada Pismo Święte. Jedynie oni mają złudzenie szczęścia. Nie odczuwają nędzy naszej samotności, nie błędzą tak jak ja, który odcieram się o ludzi tylko lokciami, nie mając innej uciechy prócz egoistycznego zadowolenia, jakie daje mi świadomość tego, że rozumiem, że widzę, że domyślam się i cierpię nieskończenie na skutek naszej wiecznej samotności” — pisał Guy de Maupassant.

Nie jeden z współczesnych nam ludzi mógłby podpisać się pod tym tekstem. Nowoczesny człowiek coraz silniej, coraz natrętniej obezwładniany jest poczuciem zagubienia w skomplikowanym systemie współczesnej cywilizacji.

Gdyby przyczyną tego były li tylko warunki życia społecznego wyrażające się w molochu totalitarnego państwa, to rokowanie na przyszłość byłoby raczej pomyślne. System totalitarny dogorywa.

Jesteśmy świadkami śmierci sposobów rządzenia, które oddziaływały na ludzi od siebie nieprzebytą barierą strachu. Nie jest wykluczone, że totalitaryzm na tym czy innym krańcu świata, będzie jeszcze nie raz próbował podnieść głowę, ale jest rzeczą niewątpliwą, że przyszłość należy do ustroju, w którym pałkę policyjną i kraty więzienia zastąpi kolektyw swobodnie zrzeszonych ludzi.

Istnieją inne, głębsze przyczyny, które sprawiają, że słowa francuskiego klasycy nie straciły swojej gorzkiej aktualności.

Przyczyny te, to: nowoczesny system produkcji i wynikający z niego tryb życia człowieka współczesnego.

Coraz częściej w produkcji bezpośrednia współpraca ludzi zostaje zastąpiona współpracą mechanizmów i automatów. Człowiek postawiony zostaje sam na sam z maszyną, z autematem. Zanika bezpośrednia współpraca wytwórców, co nie oznacza oczywiście zaniku współpracy w ogóle. Spotykamy się ze zjawiskiem współpracy nie bezpośredniej.

Upraszczając: zamiast tradycyjnego „podaj cegłę”, wytwórca mówi do wytwórcy „x+Y=Z”. A to wcale nie jest to samo. Taka zmiana nie może nie wpłynąć na stosunki międzyludzkie.

Drugą przyczyną pogłębiającą u nowoczesnego człowieka poczucie samotności jest szybki rozwój nowoczesnej techniki i

# Samotny bohater

Jerzy Siewierski

staje zwięzłą propozycją wspólnego spędzenia nocy.

Tworzą się nowe słowa. Słowa wieloznaczne, które zawierają bardzo różne treści. Upraszczając: to samo przekleństwo może oznaczać i najwyższy podziw, i gniew, i wstręt, a nawet i miłość. Mowa przeciętnego człowieka staje się coraz częściej zbiorem skrótów symboli i rebusów. W konsekwencji człowiek staje się dla drugiego człowieka w coraz większym stopniu rebusem i zagadką. Zagadką, którą trudno z braku czasu odgadywać. Powyższe uwagi nie są pamfletem na nowoczesną cywilizację. Jest to po prostu stwierdzenie faktów bez zrozumienia których nie można zorientować się w podstawowych tendencjach nowoczesnej literatury.

Jednym z haseł socrealizmu było wychwytywanie z obrazu życia „tego co nowe, tego co się rodzi”. Pisarze spod znaku socrealizmu nie potrafili w zasadzie wywiązać się z tego zadania.

Dziwnym paradoksem wydaje się fakt, że postulat ten został spełniony w książkach pisarzy, którzy nic z socrealizmem nie mieli wspólnego.

Myślę o tzw. „czołowce amerykańskiej”.

Wielcy pisarze z za oceanu potrafili dostrzec osamotnienie nowoczesnego bohatera. Osamotnienie wynikające nie tylko z

o zagubieniu „małego człowieka” w „wielkim świecie”.

Pisarze amerykańskiej czołówki stosują najnowocześniejsze formy wyrazu artystycznego. W swej twórczości stają na pozycjach przeciętnego nowoczesnego człowieka. Widzą świat oczami człowieka, który utracił możliwość bezpośredniego kontaktu psychicznego ze swoim bliźnim i zastąpić go musiał obserwacją zachowania się bliźniego.

To nieprawda, że bohaterowie Hemingway'a czy Caldwell'a zachowują się jak marionetki pozbawione wewnętrznego życia psychicznego. Bohater Hemingway'a to człowiek widziany oczami drugiego nowoczesnego człowieka.

Człowiek — zagadka, człowiek — rebus, który musimy a nigdy nie możemy do końca rozwiązać.

Realizm wielkiej powieści amerykańskiej nie leży tylko w wiernym i obyczajowym i bezbłędnym fotograficznym odbiciu warunków społecznych.

Wielki realizm tej literatury polega przede wszystkim na wiernym (wyaskrawionym wprawdzie ale wiernym) pokazaniu zmian w stosunkach międzyludzkich będących wynikiem ogólnych tendencji rozwoju cywilizacyjnego. Tendencji występujących nie tylko w ramach jednego ustroju.

Oskarża się nowoczesną literaturę o szerzenie smutku, beznadziejności i pesymizmu. Jest w tym wiele prawdy. Pesymizm jednak nie jest główną i całą treścią tej literatury.

Wielcy pisarze nigdy nie tracą wiary w człowieka, w jego godność ludzką, w jego zdolność do ciągłej, pozornie choćby najbardziej beznadziejnej walki z systemem sprzeczności, powiłekami otaczających człowieka.

Ale o tym już w następnej artykule.

(Dokończenie ze str. 2)

wanym „Tajemnice krwi”, zawierającym sześć czy siedem nowel, właściwie słabych szkiców — mamy parę takich luźno rozrzuconych impresji. Zrodziły się pewnie pod wpływem odległego huków dział. Na wiadomość o wojnie dziedzic opuścił wieś. Stacjonujący we dworze żołnierze wyrzucają wszystkie książki z biblioteki i niszczą je. Obserwujący to narrator ubolewa nad zagładą kultury ludzkiej. Z naszej stacyjki odjechał przed chwilą pociąg z rekrutami. Przy opuszczonym szlabanie stoi chłopka w chuście na głowie i smutnie medytuje, że zapomniła dać swojemu mężowi ciepłe rękawice, specjalnie uszyte na drogę. Najmocniejsze słowa na jakie zdobyła się autorka znajdujemy na stronie 31 zbioru: „Wojna bierze w siebie to, co już przedtem jest gotowe: dzikość, nędzę, cierpienie i śmierć”.

Szkoda, że to trafne stwierdzenie pozostaje właściwie nierozwinięte w jakiś dojrzały kształt artystyczny. Czy ma rację Iwaszkiewicz pisząc: „Wielkie zdarzenia 1914—1918 roku targnęły przede wszystkim stylem Nałkowskiej, odracając z tego wspaniałego drzewa wszystkie złośliwe liście mioderii i tego, co Francuzki nazywają precyzją. Ale ta zewnętrzna przemiana stylu pisarskiego — pisze dalej — była, jak to się zawsze powiedzmy zdarza, tylko oznaką wewnętrznej przemiany wielkiej psychiki”.

Argument wydaje mi się bardzo zręczny i elegancki, ale również mało przekonujący i niejasny.

#### V. Motta

Czym są motta w powieści? Sprawa do dyskusji. U Stendhala stanowią najczęściej punkt wyjścia do rozważań zawartych w danym rozdziale, a w sytuacjach szczególnych, w pewnym sensie autorytet. Cytowane słowa potwierdzają wiarygodność tego, o czym pisze autor.

„Czerwone i czarne”, ta głęboka i prześliczna książka — między innymi zwraca uwagę tym, że każdy jej rozdział, z wyjątkiem trzech ostatnich, oparty jest na motcie.

Ala motto zawsze zgadza się z treścią rozdziału.

Swoją rangą odpowiada raczej poruszanemu problemowi.

I tak: gdy zapoznaliśmy się z merem miasteczka — panem de Renal mamy cytaty z Barnabiego; natomiast w trzydziestym siódmym rozdziale powieści, skoro pisarzowi zależy na zdyskredytowaniu arystokracji, wtedy dopiero powołuje się na słowa samego Napoleona.

W powieściach Zofii Nałkowskiej roi się od cytatów, ale ce-

lowość ich użycia można poważnie zakwestionować. W wielu wypadkach stanowią tylko popis erudycji autorki. Po pierwsze: uderza nas fakt, że przy opisie drobnych małych zdarzeń i błażych treści, Nałkowska sięga zaraz do najwyższych autorytetów. Powołuje się na Platona, Szekspira, Protagorasa z Abdeiry. Po drugie, co gorzej, liczne cytaty nie znajdują uzasadnienia w treści danego rozdziału. Siegnijmy po przykład:

Rozdział 7 „Wety i róża” opatrzone jest następującymi słowami z Deutero Jesaja: „I będzie igrało dzieciątko od pierśi nad dziurą zmił, a dziecię odchowane wpuści rękę swoją do jamy bazyliżkowej”.

Czy to ma w ogóle sens? W jakim stopniu słowa te wiążą się z rozmową prowadzoną w saloniku: oto Modesta i Marusia gawędzą sobie o Florencji, o swych mężach. Potem Modesta wychodzi. Marusia pozostaje sama i zastanawia się nad ubiorem przypadkowo spotkanej cudzoziemki.

Czy przytoczona przykładowo treść ma coś wspólnego z mottem?

W utworach wielkich artystów uderza nas zawsze umiar i celowość. U Nałkowskiej w wielu wypadkach, nie tylko w „Wetach i różach”, tę celowość można poważnie kwestionować i to nie wyłącznie w użyciu cytatów. Np. w „Romansie Teresy Hennert”, w jednej z najlepszych powieści mamy przebrażony opis choroby ciotki Baszki Olwinowskiej chorej na raka. „Nowotwór rozszerzał się z gardła — poprzez kark — na plecy i tam powodował najsilniejsze bóle. Pod pachą, rozepchniętą przez opuchlinę, rwał wściekle rupiejący wrzód”.

Na podstawie tego, co wyjaśnia nam autorka, gdyby nie wzmianka o nowotworze, można snuć najbardziej niesamowite domysły.

#### VI. Romans Teresy Hennert

Dwie powieści syntetyzują obraz pierwszych lat Drugiej Rzeczypospolitej: „Przedwiośnie” — Żeromskiego i „Romans Teresy Hennert”, tak przynajmniej wmawia się nam od kilku lat. Na zakończenie naszej wędrówki przez pierwszy okres twórczości Nałkowskiej zaintrygujemy więc do tego sławnego „romansu” — „wielkiej powieści politycznej i psychologicznej”, „obrazu epoki”.

Czy powieść psychologiczna?

Muszą istnieć jakieś kryteria pozwalające uznać powieść za psychologiczną, tym bardziej za nowoczesną powieść psychologiczną.

(Pamiętajmy, że w momencie ukazania się „Romansu” — znana już była twórczość Prousta). Zdaniem moim wyróżnić można cztery zasadnicze cechy powieści psychologicznej:

1) Spojrzenie na rzeczywistość poprzez pryzmat osobowości bohatera, zwykle jednego bohatera.

2) Ukazanie wewnętrznych przeżyć i przemian bohatera.

3) Psychologiczne umotywalenie czynów.

4) Względne zhierarchizowanie problemów, zależne od psychiki bohatera.

Któżkolwiek czytał choćby pobieżnie „Romans Teresy Hennert” musi przyznać, że ani jedna z powyższych cech nie ma nic wspólnego z powieścią. Dziwić się należy dlaczego powieść ta w ogóle nazywa się „Romans T. H.” a nie na przykład „Romansem pułkownika Omskiego”, który przecież cały czas kręci się na pierwszym planie wydarzeń i tyle ma wspólnego z Teresą Hennert, że ją zabija niespodziewanie w łódce. (Pseudo-Freudyzm?) W tym kobiecym romansie mężczyźni są głównymi bohaterami; ale „wielka znawczyni psychiki kobiecej” rozkłada się beznadziejnie równieź jako znawca psychiki męskiej. „Mężczyźni” z „Romansu” zachowują się i reagują po prostu jak kobiety. Oto pułkownik Omski spostrzega Teresę z córką. „Były obie w ciemnych, prawie czarnych kostiumach, ubranych ręczną plećnią. Obie miały prawie jednakowe kapelusze ze świecą czarnej słomki”.

Do trzydziestego ósmego roku życia p. Nałkowska nie nauczyła się więc, że mężczyzna zauważy i opisać zawsze nogi kobiety, ale kapelusz jest mu zupełnie obojętny!

Czy „Romans Teresy Hennert” jest powieścią polityczną?

Przy powieści politycznej potrzebna jest świadomość procesu historycznego. Tymczasem w „Romansie T. H.” mamy przypadkowe nagromadzenie faktów. Nałkowska w dalszym ciągu nie rozumie problematyki rewolucyjnej, w sposób infantylny ukazuje przemiany zaszłe w Rosji. Rewolucjonści w powieści to prawdziwie groteskowe postaci. Andrzej marzy o rewolucji, w której uczestniczyliby ludzie pokroju Omskiego.

„Tacy jak Omski — powiada — są mężni, kochają wojnę, biją się dobrze, niezależnie od tematu, niezależnie od hasła”.

Zosia, siostra Andrzeja Laterny niedawno powróciła ze Wschodu.

Czy „Romans T.H.” jest powieścią o genezie sanacji?

Dla naszego pokolenia taka ocena brzmi dziwnie, wręcz śmiesznie!

Gdzież w tym prymitywnym obrazie szamotała się plk. Om-

Druk. RSW „Prasa”, Al. Jerozolimskie 125. Nakład: 30.000.

Zam. 4461 B-62.

skiego dopatrzeć się skomplikowanej gry społecznych i społecznych!

Najlepsza stosunkowo młodej Nałkowskiej r swymi licznymi brakami stroju znużenia nie są rozwiązać: proza pseudotowska powieści, słabe wyścigów (zresztą z wzor „Lalki” — Prusa) nie opisy przyrody. I słaba, nieciekawa akcja brak motywacji czynów działających. Zupełnie żyjemy tragedii bohatera ani na moment trafi nas zaangażować wo. Śmieszny naiwnie nie potrzeby rewolucyjne potraktowanie zaszłych w ZSRR. porcja błędów rzeczowych bardziej obniża r wieści.

Na zakończenie mojej wczesnej twórczości należałoby jeszcze wiedzieć na jedno pytanie: czy pisarki? Kariera pisarki w pewnym sensie pomina bajeczne p. Françoise Sagan. Pod francuzką była „pan brego domu” prowadzą trawaganki tryb życia la erotyzmem życia mieszczański świat. Chęć sensacji i trochę nowości. Pewne zabawy nie tematu i uproszczenie stanowiły zjawisko na tle przeperformaty przesocjologizowanej powieści polskiej. A t starczyło, by wśród z bezczynnością wytwor techniczny zyskał popularyzacja.

Zbigniew

PIETRZYNOZYCE Z DZIEŁ

Trzeci numer „W

ści” skwitowany zost mach prasy literackie wzmiankami i arty M. in. „Tygodnik Zaw raczył swoich czytelników notatką na temat kiego Kwiryna oraz małych liter. W sprawie też „Nowa Kul szard Wasila zadal s dyktynski trud w: wszystkich nieporadn kładu opowiadanka z nego w trzecim nume go pisma. Niejaki p demonstrował w „Z rackim” artykułik i: cznie ocierający się cję. Myśli przewo elaboratu można si mniej więcej tak: Wysokim Władzom, czesność należałoby wać”. Wszystkim kry rzy raczyli o nas i mają zamiar uczyć przyszłości, życzymy ściana, radości z życia nego anu.

Zdzisław

Zdzisław Pietrak nie chciał firmować reformy ortografii polskiej, ze względu na swoją reputację na polonistycznym. Skończył pomyślnie. Został dyrektorem i

Szkota w Augustowie

przydawa: którym (Nal-godna z zymuje, na jest aś zaw- ob spot- szystko : nabrz- wet wa- a kobie- ka" (K). o zaiste kil Kul- nieza- rytaniem „Ars a- Przybie- : poz y oyc tylko jest pa- pięknych Wagn- A potem wy do te- sz przy- iety: szsa po- miękkie rt bout- ch zesta- inie jak i, w któ- awia się, zeciwi-ają Niemco- n, była nad palila się. zedstawi- ska robił y poprze- cytowanej charakter"

zeniu nie przekony- ależ na ak w tym, nęczyzny że na nie one same i nie są". "znajdu- ne słowa: sta pomy- lszanymi dusza tej musi być diety Nal- em słusz- zystkim o właśnie w egoizm. bie swoje ozmowy z "Wymow- po czole : rozpal- pokazać, lekna, jak na Elżbie- i różach" ulog: Erna den tylko nie każdy.

samo myśli jej są u seksualno- ne. W jej pamiętniku występują na przemian obok siebie: kapelusz, Nietzsche, futro, problem piękna, mężczyzna. Zadnej gradacji, wszystko pomieszane. Alicja swoimi przeskokami myślowymi przypomina kapka w kapkę p. Hanke pochyloną nad papierem, notującą skrzętnie swoje spostrzeżenia. Zajrzyjmy na odmianę do „Pamiętnika p. Hanksi”.

„Ciotka Magdalena przygląda- ła mi się przy stole podejrzli- wie, dopatrując się prawdopo- dobnie w moim braku apetytu objawów zakazanej miłości do rzekomego pośrednika. Niechaj ją Bóg ma w swojej opiece. W istocie sprawa jest znacznie po- ważniejsza: przybyło mi w o- statnim miesiącu kilo i czter- dzieści deka”.

A teraz na odmianę poezja. Liryczna bohaterka cyklu wier- szy „W ogrodzie” zamieszko- nych w „Chimerze” 1904 r. snuje się po ogrodzie spragniona mi- łości idealnej, odurzona wonią kwiatów, zapatrzona „smutnie w pobladał twarz słońca”. Prawdziwe piękno znajduje jęszcze w śmierci wśród kwia- tów.

Chcę umrzeć w moim ogrodzie,  
umrzeć odurzona  
Wonią kwiatów, mdlejących  
w tęsknocie do słońca,  
Umrzęć spokojna — czysta —  
wlecząc się gardzącą  
Życiem, które mi z Gałą pręży  
swe ramiona.

Chcę umrzeć w swym ogro-  
dzie, umrzeć bez tęsknoty  
Za nieziszczoną wzięją białego  
wspomnienia,  
Bez jęków pożegnania, bez  
hymnów pragnienia,  
Bijąc kaskadą śmiechu o strop  
nieba złoty.

Ladne, prawda?

Jak widzieliśmy bohaterki pierwszych powieści Nalkow- skiej zadają się często z męż- czyznami. I dlatego może nie- zwykłe plastyczne opisy erotycz- nych ich doznań rozbudzają za- interesowanie czytelnika i poz- walają dotrzeć do końca, by przy okazji dowiedzieć się w zakończeniu o szczęśliwym roz- wiązaniu Alicji czy o Raskolni- kowskim postępcu umęczonej Marusi, o jej piekielnym osa- motnieniu (nie znała jeszcze „Węzłów życia”) i ostatecznej śmierci biedaczki w spienionych wodach Wisły. Jak strasznie bo- leśnie pomyśleć, że Marusia na parę rozdziałów przed końcem była taka szczęśliwa z Czało- stańskim.

„Śmiała się, gdy ją całował. Śmiała się z tego, że tak roz-

wniosek powstały poprzez przy- mat patrzenia Alicji, że rewolu- cję robią piękni samcy, a miarą wartości rewolucjonisty jest za- spokojenie kobiety. Dalej: za- gadnienia estetyczne i rozważa- nia moralne spotykamy zarówno w „Księżcu” jak w „Węzłach i różach”. Ale rzecz w tym, kiedy te problemy występują.

Zagadnienia formy i treści, zagadnienia piękna — jakkol- wiek pojawiają się często jako udzielne wstawki, wiążą się ja- koś z postaciami albo Alicji, al- bo Marusi czy Erny. Tym sa- mym autorytatywność tych są- dów podważa nieautorytatyw- ność bohaterek. Bo zdając so- bie sprawę z ograniczoności po- staci, z ograniczonej faktury i wydolności ich umysłu, wyczu- wamy fałsz i nieprawdę. Dla- czego o estetyce, o filozofii nie mówią handlarki z placu Szem- beka? Podobnie, gdy czytałem „Sprzedaną wyspę” — Laxnessa — było dla mnie niezrozumiałe, że bohaterka powieści — służa- ca jest tak mądra jak autor, że jej uogólnienia polityczne i spo- łeczne są uogólnieniami samego pisarza.

Drugim powodem mego scept-ycznego potraktowania proble- mów w pierwszych powieściach Nalkowskiej jest pomieszanie rozważań samych w sobie słusz- nych w najbardziej ku temu nieodpowiednich miejscach. I tak: po całym rozdziale o suk- niach — rozważanie o postępie w sztuce i kierunku jego ewo- lucji. Po szale i przed skowy- tem rozkoszy, kiedy chyba nie można myśleć o czymś oderwa- nym, tu, jak jakiś obelisk wy- rasta problem wzajemnego sto- sunku formy do treści. Takie przykłady można mnożyć, takie przykłady „przekreślają” rangę psychologiczną i rozradowują artystycznie powieści. Trafne spostrzeżenia natury biologicz- nej stanowią najczęściej o rea- lizmie szczegółów, natomiast mało mają do czynienia z praw- dziwym realizmem utworu. Czyż więc Nalkowska jest znawczy- nią i to znakomitą — psychiki kobiecej, jak tego chcą nasi mądry krytycy? Czy w ten spo- sób nie wulgaryzuje się ewolu- cji pisarki?

„Mimo wszystkie apeli o wy- zwolenie kobiety, Nalkowska w pierwszych swych utworach jest poddaną urokowi mężczyzny” (J. Iwaszkiewicz)

## II. Bohater

Bohater pojawia się na mo- ment i niknie na parę rozdzia- łów. Ale zostawia po sobie ilud, który spędza sen z oczu kobiet. Nawet wtedy, kiedy jest posta-

wyrazić: „naturalnie, kocham wszystkie kobiety”. Co do in- nych bohaterów, nawet o taką charakterystykę nie możemy się pokusić.

Bo jak to lepiej określić całuj- ących we śnie „obcych ładnych ludzi”. (!)

## III. Rewolucja

Rewolucja 1905 roku znajduje w pewnym sensie zaświadczenie w „Księżcu”. Ale analiza powieści wykazuje, że Nalkowska nie rozumie zupełnie ówczesnych zdarzeń historycznych. Rzecz dziwna: córka Wacława Naikow- skiego nie zdaje sobie sprawy ze społecznych przyczyn rewolu- cji.

1) Zaszle wypadki pisarka traktuje jako wewnętrzną roz- grywkę między mężczyznami, mającą na celu zdobycie serca kobiety.

„Rewolucję dla Nalkowskiej tworzyli zdobywcy samcy, męż- czyźni, którzy jak torreadorzy walcząc na arenie świata liczyli na nagrody z rąk pięknych i ta- jemniczych kobiet” (J. Iwasz- kiewicz).

2) Bohater w rewolucji widzi wyzycie się, przezwyciężenie nu- dy, romantyczne piękno w śmier- ci i w zniszczeniu. Książę w roz- mowie z Alicją wyraźnie zazna- cza swoją niewiarę w jutro. Po- wiada: „Z chwilą, gdyby osią- gnięty został stateczny cel — do- bró, wolność, szczęście — te rzeczy, których zniszczenia bylo- by ich śmiercią... Cóż wtedy? — O jakże nie chciałbym zobaczyć tego dnia” (K). Następnie egzal- towanej Alicji narzuca autory- tetem swej osobowości wiarę w „słońce niewidzialne”.

3) Nalkowska w ruchu robot- niczym dostrzega tylko anar- chiczny bunt przeciwko wszyst- kiemu, co piękne (przy odruchó- wym, niewątpliwym wyczuciu obcości swych bohaterów spra- wie ludu). Czyż nie jest anarchi- stą podobnym Suwarinowi ten młody chłopiec z obciętymi no- gami wykrzykujący z głębi po- słańia: „powinnością znieawi- dzieć radość, piękno, przepych. Uragowisktem powinien wam się wydać blask dnia i światło nocy” (K). Aby nasi krytycy mó- gli pisać rozprawę o sojuszu pol- skiej i rosyjskiej klasy robotni- czej w powieściach Nalkowskiej, przypominać, mamy w „Księ- cju” postać Wiery; niestety tylko pół strony dotyczy tej mglistej postaci — ale czegoż to zrobić z takiego materiału nie można — nawet kandydacką monografię...

## IV. Wojna

I Wojna Światowa odbiła się w twórczości młodej Nalkow- skiej echem bardzo mizernym. W niewielkim tomiku zatytuło-

(Dokończenie na str. 7)

nikt jeszcze nie robił, ale z tych rozmaitych artykułów o Nałkowskiej wynika jasno, że autorzy tychże uważają je za zupełnie oczywiste. A to jest już śmieszne i polskiej krytyce literackiej chwały nie przynosi. Do prawdy trudno w autorce „Księcia” doszukiwać się konkurentki Stefana Żeromskiego.

W związku z drugą rocznicą śmierci Zofii Nałkowskiej pojawiły się w ostatnich czasach liczne artykuły omawiające twórczość pisarki. Przeznaczono je dla szerokiego ogółu, a miały określić miejsce i znaczenie Nałkowskiej w literaturze polskiej. Tymczasem spełniły zupełnie inne zadanie. Wykazały słabą orientację piszących, wskazały w jaki sposób tworzy się u nas mity wielkości i do założeń z góry naciąga na tyle pewne fakty. Jaskrawym takim przykładem bezwinnego i bez przygotowania podejścia do tematu i karykaturalnego potraktowania twórczości Nałkowskiej jest artykuł Wacława Sadkowskiego, zamieszczony w „Trybunie Ludu” nr 26, pod szumnym tytułem: „Nałkowska, czyli u źródeł prozy współczesnej”. Autor zakłada a priori wielkość Nałkowskiej, bezmyślnie powtarza wszystkie dotychczasowe sady o pisarce, nie zadając sobie najmniejszego trudu przeczytania omawianych pozycji. Z braku rzeczowych argumentów operuje pustymi pojęciami, pod które można podstawiać wszystko co się tylko podobia. Szczególnie rażące błędy wspomniany już autor popełnia przy omawianiu wczesnego okresu twórczości pisarki. Podnosi głęboki klimat intelektualny utworów Nałkowskiej, znakomitą znajomość psychiki bohaterów, zestawia ją z Żeromskim, Daniłowiskim, Strugiem. Stwierdza nowatorskie ujęcie tematyki rewolucyjnej w „Księciu” (w czym?) i bez dowodu (bo o dowód trudno) uznaje wyższość autorki „Księcia”, podkreślając, że właśnie takim nowemu potraktowaniu tematyki rewolucyjnej nie sprostał „klasyczny naszej literatury”. Wg Sadkowskiego pisarka porusza jakoby „generalne problemy ideowe i filozoficzne, jakie rodzi rozwijająca się rewolucja”. Tak samo, bez żadnej argumentacji, wspomniany już autor podkreśla zasadniczy zwrot twórczości Nałkowskiej, jaki rzekomo przynosi i wojna światowa.

Nic więc innego nam nie pozostaje, jak przyrzuć się temu „intelektualizmowi”, „psychologizmowi” i „doskonalą znajomości procesów historycznych” u młodej Nałkowskiej. Może rzeczywiste utwory, jakie napisała do 1923 r., stanowią ka-

nicej pozie „pani Recamier” i udaje głęboko pogrążą w lekturze. Nie trzeba dodawać, czuje się strasznie samotna. W rzeczywistości świat jej doznań i spostrzeżeń sprowadza się do tego, w czym jej ładnie, w jaki sposób udowodnić wyższość swej urody rywalce, aby ją pobudzić do lez zazdrości. Sobie wybacza wszystko, w odniesieniu do innej kobiety jest okrutna. Sama bez żadnych skrupułów oddaje się pierwszemu lepszemu mężczyźnie.

„Mężczyzna przemieniając miłością jedną kobietę na drugą uważa, że zjawisko jest całkiem naturalne. Zyczliwie powiada: była ładna, miła i dobra, a teraz znowu ta jest ładna, miła i dobra. Kobiety natomiast, czyniąc taką zmianę miłosną, doznają zawsze niepokoju i wyrzutów sumienia choćby wątplych” („Węże i róże”). Zakończenie zdania świadczy o niezdedykowanym nawet samej autorki co do wyrzutów sumienia u bohaterki. W romansach „Książę” i „Węże i róże”, śledząc losy tych ponętnych niewiast, wraz z nimi wpadamy często w ramiona coraz to innego mężczyzny. Ale jeszcze przed jego nadejściem jest chwila perwersyjnego spokoju. Alicja oczekując ukochanego nuci sentymentalną piosenkę:

C'est l'étoile d'amour  
C'est l'étoile d'ivresse —  
Les amants, les maîtresses  
Aiment la nuit, le jour  
Un poète m'a dit, qu'il était  
une étoile

On l'on aime toujours.

Potem mruczy oczy i myśli: „Ale niewola słodka jest dla chwilowej, delikatnej duszy kobiecej. Dlatego każdego dnia, gdy nie widzę Ziemowitza, tęsknię za moją niewolą” (K).

„Poza moją pięknością i celem mojego życia najbardziej kocham na ziemi czar nieprzearty zwodnej gry i słodszy jeszcze czar zapomnienia nawet o grze dla płomieni ciała” (K). Potem Alicja sama sobie daje rozgrzeszenie na myśl o swoich przewinach: „Niechaj sentymentalne mieszczki spowiadają się dla otrzymania rozgrzeszenia. Moje rozgrzeszenie jest w tym, że grzeszę ja. I nie potrzeba mi pokuty. Grzech jest dla mnie sam w sobie pokutą największą” (K). Pewnego razu Alicja ujrzała Księcia. Chce go oczywiście skokietować, ale dowiaduje się, że „ten człowiek nigdy nie patrzy na kobiety. Fakt ten niepokoi ją bardzo. W nocy długo nie może usnąć, przewraca się na łóżku i prowadzi z sobą następującą rozmowę:

„Małutkie moje serduszek, czy bardzo chciałobyś pokochać? Okropnie, ale to po prostu o-

znajając się z Księciem przypadkowo spotkany stwierdza: „Oto jest człowiek, z którym chciałabym mieć dziecko”. (Nałkowska jest tu znowu zgodna z Weiningerem, który utrzymuje, że dla kobiety mężczyzna jest tylko środkiem, celem zaś zawsze dziecko). Tego dnia po spotkaniu z Księciem — wszystko dla bohaterki wydaje się nabrzmiało zmysłowością. Nawet wazon wygląda „jak biodra kobiety, która nie miała dziecka” (K). Kobiety Nałkowskiej to zaiste prawdziwe intelektualistki! Kultuwują swoją wiecznie niezaspokojoną żądzę czytaniem „Dialogów o miłości”, „Ars amandi”, „De l'amour”. Przybiecają przy tym lubieżne pozy i myślą: „Rozkosz może być tylko zmysłowa. Rozkosz to jest patrzeć albo dotykanie pięknych przedmiotów, słuchanie Wagnera i miłości...” (WiR). A potem od razu przeskoku myślowy do tego, jak wyglądał kapelusz przygodnie zauważonej kobiety:

„Od małego kapelusza podróżnej spływały dwa miękkie pasma woliu barwy vert bouteille” (WiR). Logika tych zestawień uderzająca. Zupełnie jak w pamiętniku p. Hanki, w którym bohaterka zastanawia się, dlaczego mężczyźni sprzeciwiają się oddaniu Bałtyku Niemcom, skoro ona tego lata była nad morzem i nawet nie opaliła się. Więc, jaką wartość przedstawia morze? Sama Nałkowska robi wszystko, aby niechęć poprzeć tezy Weininger. W cytowanej już książce „Płeć i charakter” autor pisze:

„Tak więc doświadczeniu nie można chyba bardziej przekonywającego dowodu znaleźć na bezduszność kobiety, jak w tym, że kobiety zadają od mężczyzny duszy i że dobroć może na nie działać, jakkolwiek one same dobre w rzeczywistości nie są”. W „Węzach i różach” znajdujemy bardzo znamienne słowa: „Patrząc na nią, Marusia pomyślała nagle słowami, słyszany mi kiedyś u Modesty, że dusza tej cudnej dziewczyny musi być zrobiona z ciała”. Kobiety Nałkowskiej (zresztą całkiem słusznie) dbają przede wszystkim o swoją urodę. Wtedy właśnie w pełni ujawnia się ich egoizm. Alicja przypomina sobie swoje zachowanie podczas rozmowy z panem Obojańskim: „Wymownie przesunęłam ręką po czole ani trochę zresztą nie rozpalone, po to tylko, by pokazać, iż rękę mam równie piękną, jak królowa Anglii, okrutna Elżbieta” (WiR). W „Węzach i różach” mamy też zabawny dialog: Erna maluje Modestę. „Jeden tylko warunek, Erno, Wypełnią każdy.

samo myśli jej są uśmie. W jej pamiętniku na przemian obok się lusz, Nietzsche, futur piękna, mężczyzna. Z dacji, wszystko pomiecia swoimi przeskokami przypomina kąkę p. Hanke pochyłor pierem, notującą skrzepę spostrzeżenia. Zajodmianę do „Pamiętniki Hanki”.

„Ciotka Magdalena la mi się przy stole wie, dopatrując się dobie w moim bral objawów zakazanej rzekomego pośrednik ją Bóg ma w swojej istocie sprawa jest zważniejsza: przybyło statnim mściłacu, ki dzieści deka”.

A teraz na odmia Liryczna bohaterka czy „W ogrodzie” nych w „Chimerze” i się po ogrodzie spraości idealnej, odurz kwiatów, zapatrzon w poblada i twarz Prawdziwe piękno jeszcze w śmierci w tów.

Chcę umrzeć w my umrze  
Wonią kwiatów, m w tęsknocie  
Umrzeć spokojną - wleczyna  
Życiem, które mi z sv

Chcę umrzeć w s dzie, umrzeć b  
Za nieziszczoną w  
Bez jęków pożegna hymnów  
Bijąc kaskadą śmie

Ładne, prawda?! Jak widzieliśmy pierwszych powieści skiej zadają się częczynami. I dlatego zwykłe plastyczne opych ich doznań rozł interesowanie czyteln walają dotrwać doprzy okazji dowied zakończeniu o szczęs wiązaniu Alicji czy kowski postępk Marusi, o jej plekie motnieniu (nie zna „Węzłów życia”) i śmierci biedaczki w wodach Wisły. Jak st leśnie pomyśleć, że i parę rozdziałów przy była taka szczęśliwa stańska.

„Śmiała się, gdy j śmiała się z tego, z

Jednego pa-  
meża?  
jęto śmie-

e!  
pi pomysł.  
ciemowicza?  
nie? A Ja-  
ocha ciebie.

iki?

net?

serduszko,  
byś chciało  
duszek wy-  
fale, glupie  
K).

1. Ale rzecz  
ca traktuje  
częścią XX  
Pamiętaj-  
paru roz-  
e otrzymy-  
licza, z któ-  
cznymi li-  
wego męża  
ej samej.

aterka po-  
tatywności  
ty Nalkow-  
w każdym  
i najmniej-  
leki. Alicja

Musisz mi zrobić ładniejsze  
piersi. Uhm. Bo widzisz — tłu-  
maczy rozbijając i naiwnie —  
jeśli tak zupełnie nie nie zmie-  
nisz, to mię przecież każdy z  
nich zaraz pozna".

Kiedy ukochany długo nie  
przychodzi — bohaterka z nu-  
dów rozważa problemy moral-  
ne, czy też zastanawia się nad  
istotą piękna. Powtarza frazesy  
z Nietzschego (autora słynnego  
powiedzenia: „Idziesz do kobiet?  
Nie zapomnij bicza"). Marzy o  
nieokreślonym pięknie, które  
koniecznie musi być bezużytecz-  
ne. A oto dla dowodu fragmenty  
z pamiętnika Alicji i cytaty z  
cyklu wierszy zamieszczonych w  
„Chimerze".

Alicja. „Życie moje nie jest  
złe, chociaż nie ma w nim dō-  
bra. I nie jest smutne, chociaż  
— och, zupełnie nie ma w nim  
szczęścia. Jest ładne".

„Cenię ogromnie wszystkie  
swoje zalety, ale nieskończenie  
więcej swoje wady. Jestem  
próżna i pretensjonalna bez gra-  
nic. Zrozumiała jestem i nie  
potrafię zachwycić się niczym i  
nikim poza sobą".

„Czasami we śnie całują mię  
obcy ładni ludzie".

„Bezpożyteczność jest koroną  
artyzmu" najczystszy przeja-  
wem piękna".

Alicja z „Księci" stanowi typ  
naprawdę b. pokrewny p. Hance  
Dolegi-Mostowicza. Tak samo  
nie potrafi logicznie myśleć, tak

kocznie jest całować zębami"  
(WiR).

Powyższe moje może nieco  
żartobliwe uwagi poczynione o  
bohaterkach romansów Nalkow-  
skiej miały ściśle określony cel.  
Pokazałem na podstawie licz-  
nych cytatów psychologię jej  
kobiet zawartą wyłącznie w ich  
biologizmie. Jak więc tu pogo-  
dzić dwa przeciwstawne sady  
współczesnych: Nalkowska tra-  
nie pokazuje psychikę kobiecą,  
a Weininger pisze źle, nienauko-  
wo — mimo że twierdzi to sa-  
mo. Czyżby oboje mieli rację?  
Nalkowska sprowadzając swo-  
je bohaterki tylko do patrzenia  
i reagowania na świat poprzez  
pryzmat zmysłów i picia, zapo-  
mina w swoim artystycznym  
wykonaniu, że kobieta jest prze-  
cież także homo (sapiens).

Emma Bovary przede wszyst-  
kim reaguje zmysłami, stanowi  
naturę impulsywną, ale myśli.  
Poglądy Emmy jednak ściśle  
synchronizują z jej umysłowo-  
ścią. Tymczasem w przypadku  
Alicji czy Marusi jest zupełnie  
inaczej. Ważkość spraw porusza-  
nych przez pisarkę podważa  
właśnie przede wszystkim ogra-  
niczonosć umysłowa bohaterki.  
Jak mówić poważnie o rewolu-  
cji w „Księciu", kiedy zagad-  
nienie to występuje w powieści  
wtedy, gdy w Alicji wezbrała  
namiętność i domaga się fizjolo-  
gicznie interwencji mężczyzny!

Stąd odruchowo narzuca się

cią tytułową, pozostaje tylko  
manekinem, znakiem męskości  
z przyklepioną na plecach wizu-  
tówką: uprzejmie proszę nazy-  
wać mnie „Książę". Postępowa-  
nie tego typu sprowadza się  
zwykle do dwóch poważnych  
czynności: bliżej nieokreślonego  
działania celem przewycię-  
nia nudy, wreszcie chyba też  
gwoździ zabicia czasu, obłapywa-  
nia różnych Alicji i Marus, któ-  
re niby zahipnotyzowane skaczą  
mu w ramiona.

„...mężczyźni Nalkowskiej spr-  
wiają wrażenie czarnych kawał-  
ków próżni o konturze frakowe-  
go garnituru, zarysowanego o-  
tępieniem przebarwionych dam-  
skich sukien. Nie pokusiła się  
Nalkowska o pokazanie co dzie-  
je się we wnętrzu takich deus  
ex machina, jak Woroński, Cza-  
rostański" — pisze autor  
„Ucieczki Felka Okonia".

Wylania się więc ciekawy pro-  
blem: jakie cechy spełniają ci  
Don Juani, co decyduje o ba-  
jecznym ich powodzeniu wśród  
kobiet? Inteligencja, bogactwo,  
stanowisko, brutalność, doro-  
ność postaci?

I tu okazuje się, że autorka  
jak i jej bohaterki romansów  
są w jednakowym stopniu pod-  
dane urokowi nęczyzny. Boha-  
ter jest takim w powieści, ja-  
kim wyobrażają go sobie Alicja,  
Marusia, Modesta. W rzeczywi-  
stości jest silny, w miarę bru-  
talny, czysty i ładnie ubrany.  
Najmniej znaczą tu uczucia.  
Nikt o nie nie pyta. Drzwi do  
buduaru otwierają się na odgłos  
szklistych męskich stąpień  
na schodach. Magiczne słowo  
OK otwiera każde serce nie-  
wzruszliwej mężatki.

Bohater dzielnie spisawszy się  
znika, kiedy nadejdzie ku temu  
odpowiednia pora. Czasami do-  
chodzi do pewnych komplikacji  
z uwagi na zbyt małą liczbę ad-  
ratorów w powieści. Ale na to  
znajduje się rada. Jeden samiec  
zadaje się z paroma na raz  
„babkami". Kręgi upadku Alicji  
znaczą kolejno: Jan, Ziemowicz,  
Książę, a z drugiej strony w  
przypadku Marusi, Modesty i Er-  
ny — Czarostański, Orych. Sto-  
sunkowo najlepiej wypadają  
jeszcze postacie męskie drugo-  
planowe w akcji powieści: pan  
Obojański w „Księciu" i redak-  
tor w „Wężach i różach". Pierw-  
szy ma dwie namiętności. Bar-  
dzo kocha znacznie od siebie  
młodszą żonę i zajmuje wobec  
życia stanowisko estety.

W rozmowie z Alicją na temat  
bezużyteczności piękna, ten dy-  
stygowany piękny pan, radzi jej  
postępować w myśl przysłowia  
arabskiego „czyń dobro i wrzu-  
caj je do morza". Drugi, znako-  
mity redaktor poczytnego pisma,  
oprócz powodzenia u kobiet ma  
przynajmniej jeszcze dowcip.  
Gdy zapytano go kiedyś czy ko-

# W zniu Mysla arganie iętości



mień węgielny pod współczesną prozę polską?

W każdym razie artykuł ten jest próbą pokazania Nałkowskiej w zupełnie innym wymiarze niż dotychczas.

### I. Bohaterka

Swego czasu wielką popularnością cieszyła się książka Otto Weininger pt. „Płeć i charakter”. Ten nieprzejednany wróg kobiet, mocno dziś krytykowany za swoje tezy, znalazł w osobie Zofii Nałkowskiej niespodziewanego sprzymierzeńca. Dziwne, pisarka uważana za znakomitą znawczynię psychiki, ta entuzjastka kobiet, wbrew zamierzeniu konsekwentnie w swych powieściach uzasadnia tezy Weininger. Świat doznał i wyobrażeń o życiu u bohaterki jej romansów zawiera się cały w ramach ich seksualnych przeżyć. Wszelkie próby pisarki podejmowane dla uintelektualnienia Maruś i Alicji kończą się z chwilą pojawienia mężczyzny. W pierwszych romansach młodej autorki zastajemy świat ładny, dobrze ułożony. Na tle dekoracji wyobrażającej mały dostatni salonik czy buduar znajdujemy bohaterkę powieści. Jest to młoda pełna powabów młodości, zawiązana w miłość do męża, spragniona gorących pocałunków. Gros czasu spędza wyciągnięta na sofie w malow-

kropnie. A kogo? — Jednego pana.

— Czy nie mojego męża? Serduszek parsknęło śmiechem.

— Wymyśliłaś także! — Prawda. To głupi pomysł. Może więc pana Ziemowicza? Jego lepiej nie. Jego nie? A Janna?

— Nie mogę; on kocha ciebie. — No więc kogo? — Jednego pana. — Ładny czy brzydki? — Nie wiem. — Dobry czy zły? — Nie wiem. — Blondyn czy brunet? — Nie wiem.

— Ach, głupie serduszek, samo nie wiesz kogobyś chciało kochać. — Wiem. — No to kogo? Serduszek wybuchnęło płaczem. Małe, głupie — i takie biedne! (K).

Świetnie jako satyra. Ale rzecz w tym, że Nałkowska traktuje tę spowiedź dziewczęcia XX wieku z całą powagą. Pamiętamy, że w następnych paru rozdziałach Alicja będzie otrzymywała listy od Ziemowicza, z których dwa są autentycznymi listami Rygiera — byłego męża Nałkowskiej — do niej samej.

W ten sposób bohaterka powieści nabiera aurytatywności samej autorki. Kobiety Nałkowskiej są zmysłowe w każdym swym calu, w każdym najmniejszym drgnięciu powieki. Alicja

Musisz mi zrobić piersi. Uhm. Bo widzisz maczy rozbrajająco i jeśli tak zupełnie nie nisz, to mię przecież nich zaraz pozna”.

Kiedy ukochany przychodzi — bohater dów rozważa problem, czy też zastanawia istota piękna. Powtarza z Nietzschego (autora powiedzenia: „Idziesz. Nie zapomnij biczu”). nieokreślonym pięknie, koniecznie musi być bne. A oto dla dowodu z pamiętnika Alicji i cyklu wierszy zamiesz „Chimerze”.

Alicja. „Życie moje złe, chociaż nie ma w bra. I nie jest smutne — och, zupełnie nie i szczęścia. Jest ładne”.

„Cenię ogromnie swoje zalety, ale nie więcej swoje wady próżna i pretensjonalna. Zarozumiała jestem potrafię zaczynać się nikim poza sobą”.

„Czasami we śnie obcy ładni ludzie”.

„Bezpożyteczność jest artystu” najczystszy wem piękna”.

Alicja z „Księcia” naprawdę b. pokrewny Dolegi-Mostowicza. Nie potrafi logicznie n

Ach, ci mężczyźni. Im nawet do głowy nie przyjdzie, że w duszy kobiecej mogą się przewalać całe światy przeżyć. Gdyby czytali Nałkowską, zrozumieliby, co się w nas dzieje. Nie mówię już o Tade, który oprócz „Jezdźca i Hodowcy” nie bierze do rąk drukowanego słowa. Ale że taki Jacek ziewa przy „Bohaterce i Barbarze”, to jest doprawdy skandal. Powiadają o kobietach, że są zagadkami. Nie mogą nas zrozumieć, a gdy mają możliwość poznania nas przez literaturę kobiecą, wolą grać w brydża”.

(Tadeusz Dolega Mostowicz — „Pamiętnik pani Hanki”). „Pragnieniem moim jest, by linia, przeprowadzona przez moje życie, była równie wytworna, jak linia moich błędów”.

(Alicja „Książka”).

Od dłuższego czasu panuje u nas mania zachwycania się twórczością Zofii Nałkowskiej i dyptrywania się w jej twórczości podstaw współczesnej prozy polskiej, oczywiście tej możliwie najdoskonalszej. Owo bezkrytyczne i bezpodstawne mitologizowanie Nałkowskiej, stawianie jej w rzędzie największych polskich pisarzy, nie tylko nie jest zgodne z prawdą, ale wręcz krzywdzi nieją bądź co bądź pisarkę, mimowolnie ośmieszając ją przez windowanie do poziomu wielkości pierwszej klasy. Jakże dziwnie wygląda towarzystwo złone np. ze Stendhala, Manną, Victora Hugo, Conrada, Prousta i Zofii

ZBIGNIEW

DRZYK

SZARGO

ŚWIĘTO

VERTE

zbigniew

irzyk

„Kłowa, ani błękinawych łańcuchów światła na Kreszczatku — nie było nic. Tylko wiatr huczał ponad czarną, zasypaną śniegiem równiną. I że-  
lane słowo „nevermore” spadało ciężko w pustkę tej nocy, niby dzwon zegara bijącego na wiczy”.

Pamiętając o tym wszystkim z rozczarowaniem przeglądaliśmy dwa tomy „Opowiadań” opracowane przez Władysława Kopalińskiego. Wydaje się, że wydawca zbyt płytko i niedokładnie poznał twórczość Edgara Poe i lekkomyślnie podjął się trudnego zadania. We wstępie i układzie chronologicznym utworów znać wpływ prac słynnego monografisty amerykańskiego Arthura Hobsona Quinna, ale p. Kopaliński nie zdołał pożyteczny od Amerykanina umiejętność głębszego spojrzenia w tekst. Z zajątrzenia do innych monografii, choćby największej — pióra Herveya Allena i niezbędnych prac francuskich wydawców wyrażnie zrezygnował; a przecież pomógłby mu to odnaleźć właściwy sens twórczości Edgara Poe. Wstęp, przeznaczony dla masowego czytelnika (30 000 nakładu) nie może oczywiście zawierać naukowej, krytyczno-literackiej analizy twórczości Poe’go, ale winien wskazać właściwe źródła jego wielkości. P. Kopaliński wie, że Poe wywarł wielki wpływ na potomnych, ale w czym wpływ ten się wyraził i dlaczego był tak potężny, tego czytelnikowi nie ujawnia. Nie wystarcza napisać, że „przedmiotem zachwyty modernistów były przede wszystkim elementy ezoteryczne i sataniczne(?) jego twórczości” lub też, że Poe „raz wstępuje na krańce kosmosu, przysłuchując się eterycznym hymnom nieśmiertelnych duchów, kiedy indziej zaś lubuje się w kosmarnych efektach groteskowej makabry”. To wszystko brzmi ładnie, ale niczego nie wyjaśnia. Poeta bardziej znany w świecie niż nasi najwięksi romantycy, a równy im niewątpliwie rangą artystyczną, sześci w koncepcji p. Kopalińskiego na pozycję magika nieśamowitości, prestidigitatora makabry i kuglarza mrocznych krew w żyłach efektów kryminalnych czy też satyryka, którego lwi pazur poważnie nadwierał już ząb czasu. Tej koncepcji p. Kopaliński wprowadził we wstępie nie przedstawił, ale wynika ona integralnie z przedziwnej selekcji utworów. Wydawca władował w dwa tomy wiele przebrzmiałych i słotunkowo słabych utworów satyrycznych czy „grotesek”, cały drugi tom, poza „Opowieścią Gordona

nie z takich opowiadań”. Śmiało można było darować sobie „Opowieść jerozolimską”, „Hansa Fraalla”, „Człowieka interesu”, czy „Bujdę balonową”.

Ale nie wolno było pominąć najistotniejszych utworów, tworzących jednolite cykle, w których Poe zamknął swą koncepcję artystyczną i nowatorstwo: dia-logów „Potęga słowa”, „Rozmowa Monosa z Uną” i „Rozmowa Eirosa z Charmionem”, baśni „Milczenie” i „Owalny portret”, „Spokojnie”, „Bies, przewrotność”, „Serce oskarżyciela”, szkiców „Włosz arnheimski”, i „Zagłada Landora”. Te utwory, to nie tylko, jak sądzi p. Kopaliński, „sennie wizje, gdzie pretensjonalnego sztafażu draperii, zbroi, hebanów i mahoni (...) rozgrywa się w różnych wersjach motyw śmierci”, podobnie, jak „Spokojnie” nie jest tylko „melodramatyczne”. Selekcja p. Kopalińskiego skrzywdziła karykaturalnie profil artystyczny Edgara Poe. Najcenniejsze utwory Poe’go wyrwane z kontekstu właściwego im cyklu tracą swój sens, gdyż ginie wtedy linia rozwojowa zasadniczych motywów. W chronologicznym układzie twórczości Poe’go nie wszystkie ogniewa odgrywają tę samą rolę; ważniejsze trzeba niezawodnie umieścić, pomniejsze można było, jak wspomnieliśmy, pominąć.

Żwirując jest też podział utworów na dwa tomy. Tom pierwszy zawiera chronologicznie ułożone opowiadania w przekładzie Stanisława Wyrzykowskiego, tom drugi przekłady innych tłumaczy w podobnym układzie (z wyjątkiem „Opowieści Artura Gordona Pyma” wysuniętej na początek tomu). Przeciwny czytelnik nie odkryje koncepcji chronologicznego układu, bowiem wydawca nie zadbał o zaopatrzenie każdego utworu datą jego powstania, co było tym konieczniejsze, że różnorodność tematyki może sprawiać wrażenie jakiegoś bezładu. Trudno uznać wybór „Opowiadania” za odpowiadający wymogom edycji popularnej, która powinna zawierać jasny wstęp, właściwą ocenę rangi artystycznej pisarza, wyjaśnienie gatunku literackiego i specyfiki utworów, a stosować układ raczej tematyczny niż chronologiczny. Spopularyzować można było przez wydanie samych tylko „Opowieści tajemnych” („Tales of Ratiocination”) z uzupełnieniem ich o „Gordona Pyma”. Może wtedy 30-tysięczny nakład zniknąby prędzej z księgarskich półek? Tymczasem szare tomy p. Kopalińskiego zalegają magazyny „Domu Książki” i trafiają nawet do kiosków „Ru-

nu”, gazecie, jak wiadomo, bystra dystrybucja lokuje tylko najbardziej beznadziejne „cegi”.

Osiemset stron czytelnikowskiego Poe’go znudziło Jarosława Iwaszkiewicza; znakomity pisarz pokwitował nowe wydanie smutną wzmianką w swych „Rozmowach o książkach”, przypominając sobie jedynie, iż w młodości zachwycił się „Zagładą domu Ushera”. Wydawnictwo „Czytelnik” uznało plan za wykonany i przez długie lata nikt kompetentny nie zajął się pewnie nową edycją dzieł Poe’go. A szkoda — ten wielki poeta zasługuje na pełne krytyczne wydanie dzieł w polskim przekładzie. Istnieje kompletna dwutomowa edycja poezji i opowiadań Poe’go, wydana w Nowym Yorku w 1946 roku przez wydawnictwo A. Knopfa, ze wspaniałymi ilustracjami niedawno zmarłego ilustratora i rysownika amerykańskiego, Edwarda Mc Knight Kauffera, z której p. Kopaliński korzystał, ale nie skorzystał. De gustibus non disputandum est, ale gdyby „Czytelnik” uznał A. Hobsona Quinna za wystarczającego znawcę Edgara Poe, może upodobałby jakoś swe wydanie do słynnej edycji nowojorskiej?

Okazuje się raz jeszcze, iż lepiej zawczasu zasięgnąć rady specjalistów — nie odmówiliby jej chyba angliści naszego uniwersytetu. Niestety, stało się. Szkoda. Wydawnictwu „Czytelnik” pozostaje chyba tylko zebrać te cenne okrucy twórczości Poe’go, które p. Kopaliński uznał za niegodne druku i wydać w osobnym tomie.

# Krótki bibliografia:

- The Complete Poems and Stories of E. A. Poe (...) with an introduction and explanatory notes by Arthur Hobson Quinn. Illustrated by E. Mc Knight Kauffer. New York, Alfred A. Knopf, 1946.
- A. Hobson Quinn: Edgar Allan Poe. A Critical Biography. New York and London, 1942.
- Hervey Allen: Israel. The Life and Times of Edgar Allan Poe. New York, 1926.
- Leon Lemonnier: Edgar Poe et la critique Française, de 1845 à 1875. Paris, 1928.
- Emile Lauvrière: Edgar Poe. Paris, 1911.
- Ola Hansson: Edgar Allan Poe. „Zycie”, nr 50. 31.XII. 1898.
- Stefan Grabliński: Książki Fantastów. „Lwowskie Wład. Muz. i Lit.”, 1931, nr 64—66.
- Ignacy Matuszewski: Słowacki i nowa sztuka. 1911.

oskarżyciel<sup>2</sup> ukazują funkcjonowanie chorej umysłowości, a podświadomość zyskuje w nich wiele miejsca jako motyw ludzkiego postępowania. Element perwersji moralnej i intelektualnej, wyraźnie zaznaczony u Poe'go łączy go z Dostojewskim, wielkim zresztą wielbicielem twórczości amerykańskiego pisarza. Drobniawość analizy stanów psychicznych prowadzi od Poe'go wręcz do Joyce'a. Wiele momentów, uchwyconych trafnie przez Edgara Poe, dopiero w kilkadziesiąt lat później doczekało się opracowania w dziełach Ribot'a, Mortona Prince'a, Freuda, Lombrosa, Bleulera, Wundta czy Jaspersa.

Z genialną swobodą porusza się Poe w dziedzinie analizy logicznej. Jego „Tales of Ratiocination” zaprezentowały światu rodzaj literacki, który do dziś porusza i elektryzuje miliony czytelników. Opowiadanie takie, jak „Złoty żuk”, „Morderstwo przy Rue Morgue”, „Tajemnica Marii Roget” czy „Skradziony list”, należą w swym rodzaju do najlepszych i może dlatego przesłaniają w oczach przeciętnego czytelnika trudniejsze znaczenie utworów o polniece estetycznej czy założeniu psychologicznym. Wielu krytyków i autorów wstępów do wyborów dzieł Poe'go te właśnie utwory wysuwa na plan pierwszy, co nie słusznie sprowadza amerykańskiego poety do rangi jedynie prekursora powieści kryminalnej i poprzednika Conan — Doyle'a.

Za swego krótkiego życia Edgar Poe nie zyskał ani uznania, ani popularności. Złożyło się na to wiele przyczyn. Nie małą rolę odgrywały tutaj cechy osobowości poety, jego odosobnienie, manifestowanie wywyższości i nieprzejednanie wobec krytyków. Ale przede wszystkim wpłynęła na to niezwykłość jego twórczości. Utwory Poe'go, które wznoszą się na najwyższy poziom artystyczny, należą jednocześnie do najtrudniejszych w literaturze światowej. Pozbawione pozornie wyrażonej akcji i wyabstrahowane z rzeczywistości świata, przepełnione są trudno uchwytną treścią, gotującą problemów, które nie mogą nigdy zainteresować przeciętnego czytelnika. Poe porusza problemy estetyki, filozofii i psychologii, a w stosunku jego niejako się zorientować nie znając historii tych dziedzin wiedzy. Stosuje metafory obustronnie abstrakcyjne, odwołuje się do zdań wtrwających w kontekstu myślicieli epok minionych i operujących nimi jako elementem nastroju, nierzadko postępując się tekstem wielojęzycznym. Odhistorycznia swo-

ny, a większość jego dzieł uważać można za symbole problemów moralno-filozoficznych czy stanów duszy ludzkiej. Taki pisarz nie mógł pociągnąć za sobą czytelników amerykańskich. Zmarł w osamotnieniu, a twórczość jego skazano na zapomnienie. I nie Amerykanin lecz Francuz oddał mu po śmierci sprawiedliwość w słowach: „Nie stało tego, kto czystą treść nadawał słowom swego ludu.” (Mallarmé).

Twórczość Edgara Poe, pogrzebana w ojczyźnie, zmartwychwstała po drugiej stronie Oceanu, we Francji. Ktoś wyraził się, że najlepszym dziełem Poe'go był Charles Baudelaire. Powiedzenie to jest paradoksem, bowiem autor „Ligei” rangą artystyczną wielokrotnie przewyższa twórcę „Kwiatów zła”, ale podkreśla nierozrwalną więź ideowego dziedzictwa, która łączyła Baudelaire'a z Edgarem Poe. Całą prozaiczną twórczość romantyka amerykańskiego Baudelaire przyswoił kulturze francuskiej swoimi świetnymi przekładami. (Pierwsze pełne wydanie dzieł Baudelaire'a objęło siedem tomów — w tym trzy zawierają wyłącznie przekłady z Edgara Poe). Baudelaire nie był zresztą jedynym we Francji słynnym wielbicielem Poe'go. Mallarmé tłumaczył jego poezję prozą rytmiczną, a w wierszu „Grób Edgara Poe” oddał hołd cieniem zmarłego poety. Przedstawiciele oddat hołd cieniem zmarłego poety. Przedstawiciele rozmaitych kierunków artystycznych dopatrywali się w Poe'm swego poprzednika. Victor Hugo, Teofil Gautier, Delacroix, Zola, bracia Goncourt, Jules Verne, Barbey d'Aurevilly — każdy znajduje w twórczości Edgara Poe coś nowego i bliskiego sobie. Ten zjednoczony front wielbicieli poety szybko przełamał zgrzybliwą niechęć, jaką początkowo żywili dla Poe'go przedstawiciele niektórych sfer we Francji. Jeszcze za życia Poe'go „Democratie Pacifique” drukowała „Czarnego kota” i zaprezentowała go czytelnikom jako przykład zbroczenia i anomalii, opatrząc utwór następującym komentarzem: „Przedstawiamy tę opowieść, aby ukazać, do jakich szczególnych środków uciekają się ostatni zwolennicy perwersji. Oto bałeczka, której przeznaczeniem jest ratować ten upadający dogmat, i w której autor unosząc się na falach fantazji, buduje te rzekomo wrodożną perwersję nie gdzie indziej jak we własnej osobowości, zaprawionej latami pijanstwa”. Leon Lemoigner, autor szeregu studiów o Edgare Poe, opatrzył te słowa ironicznym komentarzem, nawiązując do tendencji „Democratie Pacifique”: „Oczywiście, że dzieła Edgara Poe źle nadawały się do

że już sto lat temu pewni krytycy oceniali wartość artystyczną utworów pod kątem tylko ich przydatności propagandowej. Dzisiaj ich następcy chcą wiedzieć w Edgare Poe drapieżnego krytyka Świętej Inkwizycji („Studnia i wahadlo”) czy amerykańskiego stylu życia („Człowiek interesu”). Wielbiciele Poe'go we Francji ostrzegali się jednak podobnego spychania jego twórczości. Od tam rozpoznać się pochod Edgara Poe przez Europę. Po latach i niewdzięczna ojczyzna amerykańska uznała jego wielkość. Pod koniec XIX wieku popularność utworów Poe'go osiągnęła szczyt. Kanonami artystycznymi modernistów stały się elementy estetyki i światopoglądu amerykańskiego romantyka. Kłótnie indywidualizm, pogarda pospołitej rzeczywistości, dążność do syntezy liryczno-milicyznej, sztuka odczuwania i oddawania delikatnych, niepochwytanych prawie objawów życia wewnętrzne-go, skłonność do rzadkich i niezwykłych tematów, nastrojowość i mistycyzm, egotyzm, oryginalność formy, symbolizm i wiara w wysokie posłannictwo sztuki. Słynny krytyk skandynawski Ola Hansson wyrażał egzaltację wielbicieli Poe'go pisząc: „Daleko poza nami, na odległych horyzontach opromienionych blaskiem chimerycznego kwiatu romantyki, kwitnie poezja Poe'go. Jak olbrzymi, fantastyczny powój pnie się po rozległym firmamencie płomiennym kwieciami, niby fosforyczne błyski ponad wodą, a my po-krążeni w mrokach naszego wieku spoglądamy na koronę jego rozbujałą ponad głowami naszymi i na łożdgi ginące w pomroce, która tuż przed nami roz-wiera swą głębię”.

W tym czasie Poe zawitał i do Polski. Utwory jego tłumaczyli: Bolesław Leśmian, Antoni Lange, Stanisław Wyrzykowski, Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Barbara Beaupré, Miriam Przesmycki, Tadeusz Ficowski i inni. Wpływy Edgara Poe sięgnęły daleko w międzywojenne dwudziestolecie. Uległ im np. Antoni Lange („W czwartym wymiarze”), Kazimierz Wierzyński, Gombrowicz, Żuławski, Choromański, a przede wszystkim znakomity fantastyk polski Stefan Grabiński, autor doskonałego studium o twórczości Edgara Poe.

Do dziś dnia poetycki urok twórczości Poe'go urzeka ludzi wrażliwych na piękno. Konstanty Paustowski wspomina w „Dalekich latach” pewien zimowy wieczór, gdy znany poeta rosyjski Balmont wygłaszał

ciąg dalszy na str. 9

# e sfalszowany

Jerzy Łojek

wność wyraża głębię intelektualną człowieka. Muzyka jest najbardziej abstrakcyjną i najpotężniejszą formą piękna; najgłębiej przenika do duszy ludzkiej ogarnia ją specyficznym nastrojem, stanowiącym integralną część wrażenia, wywoływanego przez prawdziwe piękno. Dlatego Poe tak wielką rolę w swych utworach powierzał rytmice i melodii słów. Jego słynne utwory prozaiczne (Ligeia, Eleonora, Berenice, Mollia, Milczenie) dają czytelnikowi impresję równie lną i nieokreśloną jak muzyczna, która dopiero po którymś kolejnym odczytaniu wzbogaca się o zrozumienie treści i konstrukcji utworu. Do szczytu doskonałości dochodzi to w poezji, a przede wszystkim w nieśmiertelnym „Kroku” (The Raven), gdzie kończące każdą strofę słowo „nevermore” zawiera w sobie ładunek emocjonalny przepięknego akordu. Poezja, to rytmiczne uosobienie piękna (the rhythmical creation of beauty), a język jest tu środkiem działania na myśl piękną. Stąd niezwykła odpowiedzialność Edgara Poe za słowa swej poezji i prozy: przemieszczenie jednego wyrazu może spowodować załamanie się strofu. Nie ma u Poe’go słów zbędnych lub źle dobranych. Jego język jest klasycznie doskonały, jest niezawodnym narzędziem realizacji celów poety.

Poe przeżywał piękno tak intensywnie, że widział w nim niekiedy jakąś fatalną siłę, obok rozkoszy przynoszącą ból i cierpienie, a nawet unicestwienie (Owalny Portret). „Piękno, jakiegokolwiek jest rodzaju — wpisane w swej „Zasadzie poetyckiej” — na najwyższych szczytach niezmiennie pobudza czułe dusze do czegoś, tak iż melancholia jest najbardziej uprawnionym ze wszystkich tonów, jakie może mieć poezja.” Władysław Tatarkiewicz uważa ten motyw za trafny i głęboki: „Słuszne jest twierdzenie, że piękno samo przez się jest źródłem nie tylko radości, ale w swych najwyższych postaciach także cierpienia. I dzięki temu jest źródłem wzruszenia”. (O szczęściu). Piękno jest niekiedy czymś chorobliwym, a w każdym razie nosi cechę niezwykłości i ponadprzeciętności”. Dlatego z wielkim przekonaniem cytuję Poe słowa Bacona: „Nie masz doskonałego piękna bez pewnej niezwykłości w umiarach” (There is no exquisite beauty without some strangeness in its proportions). Koncepcja piękna niezwykłego ukształtowała wszystkie niemal kobiece postaci Edgara Poe. Są one symbolami i uosobieniem tego piękna, abstrakcjami ucieleśnionymi w ludzkich kształtach i dlatego może erotyzm ich pozbawiony jest zmysłowości. Ligeia to „rozblask snów, wykołysanych przez opium, niby napowietrzna, wyszczytniająca ducha zjawą, cudniej boska niż zwi-

dzenia, co snuły się nad uśpionymi duszami dzieł delirycznych”. (Przekład St. Wyrzykowskiego). Piękno jest tragiczne, bo jest przemijające i każdy jego przejaw raz tylko uchwycić można w pełni nasilenia. Wzruszenie, łączące radość ze smutkiem, jakie przynosi nam kontemplacja piękna, pochodzi stąd — pisze Poe — „...że nie jesteśmy zdolni uchwycić teraz w całości, tu na ziemi, od razu i na zawsze, tych boskich i porywających radości, z których przez wiersz czy przez muzykę ujmujemy jedynie krótkie i nieokreślone błyski”. Dlatego motyw śmierci, jako symbol przemijania piękna, przejawia się tak często w utworach Edgara Poe — w „Annabel Lee”, „Kroku”, „Ligei”, „Eleonorze” i innych.

Krótkość utworów Edgara Poe wynika z jego koncepcji przemijania nastroju, jaki odczuwamy przy odbiorze piękna. Słynne jest jego zdanie: „If any literary work is too long to be read at one sitting, we must be content to dispense with the immensely important effect derivable from unity of impression...” (Jeśli jakiś utwór literacki jest zbyt długi, by przeczytać go za jednym razem, musimy zrezygnować z niesłuchanie ważnego efektu, uzyskiwanego z jedności wrażenia). Dlatego nowela i liryka niesłuchanie przewyższa, zdaniem Poe’go, jako środek wyrazu psychiki ludzkiej, powieść i epos. Epos uważał Poe za anomalię artystyczną. Sam potrafił w obrębie niewielu stron zawrzeć najbardziej skomplikowane przeżycia i zjawiska. Wierzył głęboko w potęgę słowa. „Tak wielka jest ma wiara w potęgę słów — pisał — że często uważałem za możliwe ubrać w słowa nieuchwytną fantazję, o których zamierzałem pisać.” Kto zna w pełni twórczość wielkiego romantyka, wie doskonale, że w powiedzeniu tym nie ma żadnej przesady. Pióro jego przykuwało „nieuchwytną fantazję” do kart papieru i kazało im służyć za środek najpełniejszego wyrazu artystycznego.

Wszechstronność umysłowości Edgara Poe nie pozwalała mu ograniczyć się do jednego typu utworów. Osobne miejsce w jego twórczości zajmują opowiadania głęboko wnikaające w rozmaite przejawy anomalii życia psychicznego. Na pół wieku przed powstaniem naukowej psychologii kreślił Poe z przenikliwością uczonego obrazy stanów psychopatycznych. Takie utwory jak „William Wilson”, „Czarny kot”, „Beczka Amentillado”, „Bies przewrotności” czy „Serce

ciąg dalszy na str. 8

## zbigniew irzyk i jers.

VERTE



felietonach, polemikach i wypowiedziach dyskusyjnych. Ciągłe się z nim stykam, zdaje się jednak, iż tylko niewiele osób potrafi słowo to zdefiniować, określić co ono znaczy, przetoż jest z cudzoziemszczyzny na język polski. Słowo to tymczasem jest wieloznaczne, różni różne treści nim określają. Stąd wiele zametu, nieporozumień. Stąd wiele demagogii.

Cóż więc znaczy indyferentyzm? Wiele sam indyferentyzm bez przymiotnika znaczy raczej niewiele, czyli zgoda nic. Dopiero opatrzoniy przymiotnikiem zaczyna kojarzyć się z określoną treścią.

Może więc być indyferentyzm moralny i może być indyferentyzm światopoglądowy.

U antyindyferentyzistów jednak, czyli członków tzw. Frontu Odrodzenia Moralnego te dwa indyferentyzmy występują raczej zamieszane, placzą się szanownym członkom owe indyferentyzmy w łepetkach w sposób niemiłosierny. Antyindyferentyści ci dość przypadkowo łączą przymiotniki „moralny” i „światopoglądowy” z indyferentyzmem samym. Galimatias panuje pod tym względem u nich niemałomowy.

I nie ma się czemu dziwić: dla nich bowiem indyferentyzm przestał być, od dawna pojęciem wyjasniającym cokolwiek, stał się natomiast inwektywą, wymysłem, bójką. Gdy mówią o indyferentyzmie i indyferentyście, raczej wyobrażają pracują niż mozgami. Węć indyferentyści to osobnik (tak wyobrażają go sobie) konieczny obrzydliwy, koniecznie rozpustny (jeżeli pisze, no to pornograf), koniecznie rozwodnik, koniecznie świętka moralnie ciemna (właściwie zbродnialaz potencjalny!) no i koniecznie bez światopoglądu. Ergo jednostka społecznie niewyrażająca, złośliwa, która właściwie wyeliminowana być powinna ze środowiska ludzi przyzwyczajonych, uczciwych.

Tak sobie indyferentyści wyobrażają poniekąd antyindyferentyści. Jest indyferentyzma w ich tomenkaturowie właściwie bestia a-bokalityczna, czyli uosobieniem wszystkich cech najgorszych z pranych w całość. Jeżeli akcja od-towy moralnej będzie się rozwinąć w naszym kraju nadal, jest rzeczą nielapwliwą, że zamiast „Ty zło-żizni!” będzie się wołać „Ty, in-

zwane sobie może. Posiadanie światopoglądu w minimalnym ty-ko stopniu zależy tylko od nas sa-my, od naszych przekonań, wy-siłków, rozmysłów. Tylko niewielu potrafi dokonać wyboru światopo-glądu. Pozostali (większość) skaza-ni są na beświatopoglądowość. Czyż można ich za to skazywać i odrzucać blotem, czyż można ich z tego powodu zaliczać do gorsze-go gatunku ludzi, czyż tylko świa-topogląd czyni człowieka czło-wiekiem?

Atę indyferentyzm światopoglądowy nie hańbi nikogo. Hańbi na-tomiast demagogia i faryzeizm. Faryzeizm zaś i demagogi nie brak w artykułach i wypowiedziach paxiarzy.

Więc posiadanie światopoglądu — jako się rzekło — nie jest zjawis-kiem typowym, więc jest to luksus, na który niewielu tylko pozwolić sobie może.

Oczywiście: każdy człowiek jakiś pogląd na ludzi i świat posiada. Są pesymiści i optymiści, są śle-dziernicy, wściekle skwaszeni, niezadowoleni, wściekle tylko zła i brudu dopatrujący się w czło-wieku; są ludzie pogodni, zawsze umielący odnaleźć światło w naj-agszym mroku. Są też inni, są tacy i owacy, różni... W nieskonco-ność można mnożyć podziały po-wyższe. Każdy z tych ludzi posia-da jakiś pogląd, czy wiązkę po-glądów, pogląd który kształtuje je-go psychikę i charakter, który ura-bia jego stosunek do bliznich.

Oczywiście: każdy człowiek jakiś pogląd na ludzi i świat posiada. Są pesymiści i optymiści, są śle-dziernicy, wściekle skwaszeni, niezadowoleni, wściekle tylko zła i brudu dopatrujący się w czło-wieku; są ludzie pogodni, zawsze umielący odnaleźć światło w naj-agszym mroku. Są też inni, są tacy i owacy, różni... W nieskonco-ność można mnożyć podziały po-wyższe. Każdy z tych ludzi posia-da jakiś pogląd, czy wiązkę po-glądów, pogląd który kształtuje je-go psychikę i charakter, który ura-bia jego stosunek do bliznich.

drugich (nieświatopoglądnych) jest w Polsce obrzydliwym rzekusa. Milion.

Jest ich zwłaszcza dużo wśród młodzieży. I to jest w pełni zrozumi-małe. Do wytworzenia bowiem światopoglądu własnego trzeba wielu lat doświadczeń i przemys-leń. Trudów i walk. Młodzież ich nie ma. Z konieczności więc jest i musi być w swej masie beświa-topoglądowa, czyli światopoglądowo indyferentna. Nieufnie odnozę się do człowieka, który mając lat 25 twierdzi, że wie, jaki ma świa-topogląd. Jest to albo jednooka wyjątkowo wybitna, albo wyjątko-wo mierna. Osoby piszące w publi-cystycznym przedśkołu „Kierun-ków” („Młodzi piszą”) raczej do

## Włodzimierz Maciąg

Redakcji „Życia Literackiego” zastaje Pana Włodzimierza Maciąga.

— Czy zechciałby Pan odpowiedzieć mi na kilka pytań związanych z two-rczością młodzieżą? Na przykład co Pan sądzi o pismach młodzieżo-wych? Czy spełniają one swoją ro-łę, czy nie?

— Obydwa pisma młodzieżowe zarówno warszawska „Współczesność” jak i krakowska „Zebra” mo-żą wywołać u czytelnika wiele za-strzeżeń. Idzie mi przede wszyst-kiem o sprawę sądów o literaturze t. zn. o dział krytyki literackiej. Zda-je się nie można mówić o grupach literackich, jeżeli grupa nie dyspo-nuje własnym stosunkiem do prze-życia i współczesności literackiej. Tymczasem w obu pismach trudno podobać próby odnalezienia z drugie-jednak strony znam sporo podobne-go typu pism sprzed wojny. I mu-sze powiedzieć, że w zesłaniu z nimi oba pisma im nie ustępują, a pod wieloma względami nawet je przewyższają.

— Pod jakimi względami prze-wyższają?

— Dobór materiałów jest staran-niejszy. Wiersze są lepsze, teksty żywsze, lepiej powiązane z dniami bieżącymi. Niestety, muszą zauwa-żyć, że mimo używania nazwy „grupy” oceny literackie pism nie są zgodne ze sobą, róż-nią się wszystkim: kryteriami, kulturą literacką, nawet umiarko-ścią wyśławiania się. Zresztą „Współczesność” od chwili swego powstania wyraźnie poprawiła się.

— Oczywiście, wynika ze słów Pana po trochu ocena środowisk młodzieży. Ale wolałbym zadać py-tanie osobne: Co sądzi Pan o środo-wiskach młodzieży?

— Zdaję się, że mówić można tylko o Warszawie i Krakowie ew. Łodzi, chociaż tam mamy chyba raczej do czynienia z pojedynczymi talentami, a nie ze środowiskiem, podobnie jak w Poznaniu. W moim przekonaniu wszyscy ci młodzi pisarze tobią wrażenie jak gdyby czekali na kogoś: może to jest kry-tyk, który ich odkryje, da im for-mułę, poprowadzi, a może po pro-mu, jest to marzenie, o własnym oświeceniu artystycznym.

— Jako krytyk stale przebywają-cy w Krakowie może reche Pan scharakteryzować młode talenty krakowskie?

literackich w kraju uważa interesujące?

— Dwa najciekawsze śro-artystyczne wśród młodych pa „Muszyna” (nazywająca raz „Muszyna-Zebra”) i po-tru na Tarczyński. Spr-nico komplikuje różnica „Muszyna” bardziej odpo-wia mule „młodzi”. I w sumie kawsza poetycko. Reprezen-obok poetów już wyłanse jak Harysmowicz, nieco u-nia związani — Stanisław-wiak i Tadeusz Nowak. Z-szych czy mniej znanych i-największe nadzieje rokuje Bogdala. „Muszyna” jest pr-prawdźwią grupą poetycką; i-poetów łączy podobieństw-tycznych założeń. Ale o tyc-wach pisałem już bardzo d-— Który z młodych poetów-zaików odpowiada Panu-dziej?

— Oczywiście — w poezji symowicz, w prozie: Mrozek — Czy zdaniem Pana, i-ue właściwy sposób przy-j-analizuje utwory młodych?

— To bardzo ciekawa sp-dobrze, że Pan ją poruszył. lnych dyskusji i sporów-ogromnie ważna. Kryje się i-za nią problem szerszy: p-pokolen. Młodzi wychowują-dopiero swoich krytyków. O-jeści debiutanta decydują i-nia starsze.

Ostatnio pokolenia te mia-ność wypowiedzieć się nie-przez krytyków. Myślę tu-władach przeprowadzanych-redakcję „Życia Literac-Bardzo uważnie czytałem i-ni powieści dotyczące młodej p-muszę wyznać, że chwilami-przerażony. Sądami, nie —-cja. Gdyż fakt małego zroz-u-słarszych dla młodej poez-j-swiadczy o tym, że jest to-naprawdę nowa.

Co innego jednak pisarze, których sądy o młodszych-gach to margines zaintereso-innego — krytycy. Tu — w-przez osiągnięcia czasu biolog-i-rozumienia się może pociąg-sobą gorsze skutki. Na ty-tym bardziej zaskakuje twó-krytyczna Kazimierza Wyki —-komie rozumiejącego poezję-dych i piszącego o nich bez-wy. że mu profesorska i-spadnie z głowy. W snach i-

# ZBIGNIEW STOJCZEWSKI

z. Brań sp. adreśnu czy telef  
ZIP ani do S.P.P. Nie wemy  
i tenet.

(dokończenie ze str. 1)

— Nie, na pewno nie można. To zło jest tak powszechne, tak zorganizowane... Nie, w tym jest coś więcej.

— Co?

— No, już panu przecież powiedziałem. Proszę pana, ja panu powiem więcej, ja w tym widzę działalność masonerii. Szatan działa poprzez doskonale zakonspirowaną organizację, poprzez masonów.

— Masonów, żydów i cyklistów — podpowiadam usłudze.

— Pan sobie kpi. Tak nie można. To tylko ten żartowniś Kisiel tak drwił. Ja rozmawiam z panem poważnie. To są moje poglądy. Pan się może z nimi zgadzać lub nie. Ale obowiązkiem pana jest zachowywać się poważnie. W przeciwnym razie nie będziemy mogli ze sobą rozmawiać. Podstawowym warunkiem uczciwej dyskusji jest szacunek dla poglądów przeciwnika.

— Przepraszam. Istotnie, zachowałem się niewłaściwie.

— Pan coś powiedział o Żydach. Nie! Ja antysemitą nie jestem. Parę tygodni temu „Świat” napadł na mnie i na ks. Trzeciaka w bardzo ordynarny sposób. Coś mieszychanego. Pan wie, co to znaczy dzisiaj posadzać kogoś o antysemityzm. Proszę pana, ja twierdzę, że w psychice żydowskiej są pewne rozkładowe pierwiastki, ale dla mnie Żyd to też człowiek i ja go Żyda odnoszę się jak do człowieka. Przepraszam. Pan est wierzący?

— Nie.

— Podziwiam pana. Jakże się orientować w tym galimatiasie społecznego świata bez Boga, ez busoli? Ludzie nie wierzą w Boga i dlatego nie umieją wyroznać prawdziwej hierarchii wartości. Ja, proszę pana, rozumiem: wypić kieliszek wódki, wa. Ja rozumiem: można się kochać w dziewczynie. Ale by wódka była ten numer jeden i żeby pożądlivość cielesna i ten numer jeden — to ja rozumiem. Niech pan spojrzysz Saganę: co robią jej bohaterowie? Piją alkohol i parzą się nie się da, na plaży, w łóżku.

na łódce... I tym się można zachwycać! Jeszcze nigdy nie było tak straszliwych czasów...

— Nigdy?

— Nigdy. To, co się wyprawia obecnie jest bez precedensu. Dawniej, jeżeli robiono źle to były w tym pierwiastki dobre. Dziś to się robi jawnie, cynicznie. Ten atak na kobietę. To plugawienie kobiety. Miss Warszawy, Miss Lublina... Zresztą niech się pokazują nago. Proszę bardzo. Zbliżamy się do katastrofy. Masoni wiedzą — o! wiedzą — gdzie uderzać. Uderzają w kobietę, w rodzinę, w świętość domowego ogniska...

— Czy Ojciec zamierza wznowić swój przedwojenny przewodnik „Co czytać”?

— Proszę pana. On jest w zasadzie słuszny. Ale on jest przestarzały. Trzeba by to i tamto zmienić. Nie, w swoim starym kształcie on się nie ukaże. W nowym — tak to moje marzenie — wydać nowy poradnik. Ja nie widzę w środowisku katolickim nikogo, poza mną, kto by się mógł podjąć tego zadania. Widzi pan, ja mam odczucie moralne, a to nie każdy posiada. W tym przedwojennym poradniku nie wszystko było dobre. Ja mam angielski zmysł humoru i może za bardzo ironicznie odnoszę się do niektórych pisarzy. To by trzeba skorygować.

— Czy Ojciec nadal uważa, że powieści Żeromskiego są niemożliwe?

— Proszę pana, ja byłem wtedy młodym, trzydziestoletnim kapłanem i dziś na te sprawy patrzę trochę inaczej. Wtedy, gdy się kobieta ubrała w spodnie, to był wrzes, dziś nikt by na to nie zwrócił uwagi. W porównaniu z takim Hłaską — Żeromski jest niewinny. Ale „Dzieje grzechu” to powieść obrzydliwa. Myśl przewodnią ma szlachetną, ale w szczegółach obrzydliwa. Tak samo „Przedwiośnie”...

— Czy Ojciec nie uważa, że u takiego Gołubiewa sprawy seksualne poruszane są w sposób o wiele bardziej drażliwy niż u Żeromskiego?

Jan Zbigniew Stożewski  
Rozmawiał

skiego.  
rakteru” O. Mariana Pirożyńskiego.  
Postać „Kształcenie chadardzo się panu przyda.  
panu podaruję moją książkę.  
ten poradnik. Proszę pana, ja moje wielkie marzenie: wydać „Homo Dei”. Ale to dagowanie „Homo Dei”. Ale to gotowuję obszernie dzieło o mszy tak mało czasu, ja teraz mam — Proszę pana, ja teraz mam się nowy poradnik Ojca?

— Jeszcze jedno. Kiedy ukaże się kończy...  
chrześcijańskim. No, ale mój czas ale to wielki pisarz i dobry wieściach jest coś chorobliwego, stożewskiego mnie. W wychowałem na Tolstoj. — A literatura rosyjska! — Takto ją uwielbiam. — Niech się wściekają, ja niezmierzam, ale ten sa intelektualni, ale ten geny pisarz (wszystcy

Zapadają zmroki!  
Do tej Mekki tutaj właśnie  
Kierujemy swe kroki!  
My Polacy domatorzy  
My kochamy chatę swą.  
Niechaj idzie wraz kto może,  
Przepełniemy dole zia!

Facet II: Razem z nami dziennikarze,  
Ty stań tutaj z cizła ta,  
A ty z drugą w drugiej parze,  
Przepełniemy dole zia!

Wszyscy: Hej na chatę chodźcie z nami,  
Przewybory to jest plan!  
Chodźcie razem z kobietami,  
Vivat semper wolny stan!

(bar pustoszeje)

Babcia kłozetowa (zanosi się szlochami i intonuje):  
Boże, coś Polskę...

Planista kabaretu: Chodź, babciu, chodź!...

— Gołubiew to pisarz katolicki. Może nawet wielki pisarz. Ale ma pan rację, że pewne sceny z punktu widzenia moralnego nie zawsze są poprawne. Jednak „Bolesław Chrobry” to wspaniała powieść.

— A Dobraczyński?

— Mam zamiar skrytykować w „Homo Dei” „Listy Nikodemus”. Co on zrobił z Matką Boską i apostołów? Zwykłych chamów! To jest powieść niezła, ale jak tak można przedstawiać Matkę Boską i apostołów? To samo z „Krzyżowcami” Kossak-Szczuckiej. Ten Piotr z Amiens jest pokazany jako idiota. A przecież Piotr z Amiens jest kanonizowany. Jakże to? Więc Kościół kanonizował idiotę? Proszę pana, jak pan mnie zapytał o Dobraczyńskiego, to mnie się od razu przypomniał Lichniak. To jest lobuz, nie krytyk. Józef Marian Święcicki, mój serdeczny przyjaciel, to jest krytyk, on ma prawdziwie katolicki zmysł literatury. Ale Lichniak? Proszę pana, parę lat temu na jakimś

zjeździe kulturalnym Li wykrzykiwał, że teraz on, niak, katolik społeczno-polityczny, jest reprezentatywny, katolicyzmu polskiego, a Pirożyński. I wówczas jemu kiewski odpowiedział, że to prawda. Miałem olbrzymią satysfakcję.

— No tak, ale przecież kiewski...

— Wiem, co pan chce powiedzieć. Ja wiem, co to za Pirożyński. Niedawno mój deczny przyjaciel, profesor wersytetu Zapiński, opracował przypisy do „Marysi Boya. Tam było słowo: Pirożski czy pirożyński? Czapl to określił jako symbol ws nictwa czy czegoś podobnego jemu powiedziałem: pan dobrze określił. Bo dla Boya rożyński to wstecznik. Ale, sze pana, ja mam cierpliw Ja poczekam. Pan czytał artykuł Czerwiński o moim poraku zamieszczony w „Homo Dei”? To dobry artykuł.

— Czy Ojciec nie uważa, drukowanie takich artykułów

nr 7  
czerwiec -  
lipiec 1957  
warszawa



Magda Przybylska —  
płóciarka Studenckiego Kabare-  
tu Literackiego „Stodoła”.

fol. Kazimierz Kleczewski

# STODOŁA

8 „stodoła” — to nieoficjalna nazwa popularnego wśród młodzieży akademickiej Warszawy klubu studenckiego przy ul. Emilii Plater. Przed kilkoma miesiącami kierownictwo klubu

całkowicie bezsensowne 7/1957

# pirożyński

**b**ale ślany. Na jednej z nich portret. Duża as-  
cetyczna, wychudzona twarz — jakiś zakonnik.  
Patrzy nieruchomo na zawieszony na przeciw-  
ległej ścianie krzyż. W kącie filus czy jakiegoś  
inne rodoendowu. Na wprost nule — po dru-  
giej stronie stołu o. Marian Pirożyński. Dozna-  
je dziwnego uczucia: oto rozmawiam z człowiekiem który  
za życia skamieniał w symbol. Ten symbol ma inteligentną  
twarz, duże oczy, rozumny uśmiech.

**N**ajpierw pytania: kim jes-  
tem, czym się zajmuję, ile  
mam lat. Zdziwienie, że  
tak młodo wyglądam. Następne  
pytania dotyczą pisma, które  
reprezentuję. Co to za pismo to  
„Współczesność”, czy nie jest to,  
broń Boże, pismo bezbożne...

— Nie, proszę Ojca, nie jest.  
Nasze pismo zajmuje się tylko  
zaskadzać Literaturę.

Rozmowa oczywiście schodzi  
na zagadnienia literackie. Na  
pierwszy ogień idzie — rzecz  
jasna — nieszczeni Hłasko-  
— ...wie Ojciec, ten pornog-  
raf... — O! Pornografi! Świętnie  
pan to określił, ale trzeba os-  
trzeż. Z tym się patyczkować

nie można. Ja czytałem niedaw-  
no „Panoramę”. to się powin-  
no nazywać nie „Panorama”,  
ale „Pornogram”, tam było  
opowiadanie tego Hłaski. Mało  
powiedzieć, obrażaliwe. On o-  
pluwa wszystko, co najświęsza-  
Te bluźnierstwa. (Tu O. Piro-  
żyński sierszcza opowiadanie  
na było wydawać! Panowie,  
którzy jesteście pisarzem literac-  
kim, powinniście z tym wal-  
czyć. Ten Hłasko był podobno  
szoferem...

Staram się poskromić trochę  
zapal rozmowy. Bąkam, że  
przedziś tacy wielcy pisarze ka-  
tolicy jak Mauriac czy Berna-  
nos również...

— Ależ, panie, to nie są pisa-  
rze katolicy, to są pisarze ży-  
dowsy...

— Jak to? Przedziś powszech-  
nie się sądzi...

— Niech pan nie wierzy. Ten  
nie są pisarz katolicy. Ten  
kał, ten brud. Wle pan, w psy-  
chice żydowskiej tkwią pewnie  
takie pierwiastki... Zresztą, dłu-  
go by o tym mówić. Wle pan,  
co jeszcze w Mauriacu mnie  
drażni? Pan się uśmiecha. Ja  
Mauriaca znam. Ja Mauriaca  
czytałem. U Mauriaca człowiek  
zły nie może się sam odrodzić,  
dopiero interwencja Łaski to  
sprawia. Proszę pana, to jest  
nieetyczne. Cuda zdarzają się

— Jak z tym pogodzić pogląd  
wyrażony w artykule wstępnym  
„Homo Dei” (nr 2 b br.), że zło  
w świecie współczesnym pow-  
stało w wyniku działalności sz-  
lana?

— Proszę pana, to nie jest  
tak, jak pan powiedział. Tego  
nie było w „Homo Dei”.

— Jak to? Przedziś wyraźnie  
było napisane, że księża muszą  
podjąć walkę, którą wydało  
Kościołowi piekło...

— Proszę pana, to należy ro-  
dokończanie na str. 9

zumić tak: szatan nie działa  
sam, szatan działa za pośred-  
nictwem ludzi.

— Włec jednak ostateczną  
przyczyną pozostaje szatan...

— Proszę pana — O. Pirożyń-  
ski uśmiecha się tajemniczo —  
Ja wierzę w piekło.

— Czy Ojcu rzeczywiście ta  
wiara jest potrzebna do zrozu-  
mienia świata? Czy tego zła,  
które tak Ojca oburza, nie moż-  
na wyjaśnić przyczynami natu-  
ralnymi?

## odpowiedź p. a. słonimskiemu

**W** numerze 22 „Nowej Kultury” ukazał się artykuł pana  
Słonimskiego pod znamienitym tytułem „Ofensywa  
bezsensu”. Artykuł ten porusza kilka istotnych prob-  
lemów. Pan Słonimski podaje najpierw druzgoczącej  
krytyce wiersz p. „Smak powieści”, zamieszczony  
ze „Współczesności”. Wszelkie oceny są z natury rzeczy  
subiektywne, a więc i tą oceną można się zgadzać lub nie — jest  
to sprawa do dyskusji. Lecz następnie myśli pana Słonimskiego  
budzą zasadniczy sprzeciw. Prezes Związku Literatów Polskich  
pisze: „Dobrze się legendy i tworzy mitologię polskiego futuro-  
mu. Z paru wygłupień, dość zresztą zabawnych, ale wiatrych  
i wzorowanych na futurystach włoskich i rosyjskich, robi się  
dziś jakiś kierunek rewolucyjny opromieniony aureolą męczeń-  
stwa. Poecie tej grupy więcej miały wspólnego z Marinettim i  
fascyzmem włoskim niż z literaturą socjalistyczną”.

Stwierdzenie to jest fałszywe  
muistycznego „Miesięcznika li-  
terackiego”, znany poeta Ana-  
tol Stern, Tytus Czyżewski, Sta-  
nisław Miodożeniec czynią dzia-  
łacz chłopski i innych.

Zdziwienie nasze wywołuje  
fakt, że oskarżenie futurystu  
podległego o związki z fascyzmem

czasopism. *Polityka* nr 39: 26 IX s. 10–11. – **1982:** M. Chrzanowski: Pokoleniowa Współczesność. *Poezja* nr 2: II s. 18–25. – **1985:** M. Chrzanowski: Oblicza Współczesności. *Integracje* nr XVII: III s. 81–87. – **1986:** *Poezja* nr 12: XII. Współczesność, XXX lat [tu m.in.: W. Bieńko: Jak daleko daliśmy się nabrać?, s. 24–48; Z. Dolecki: Wspomnienie o wczesnej Współczesności, s. 47–50; E. Głębicka: Grupa literacka Współczesność 1956–1959, s. 96–109; A. Lam: Na przykładzie Współczesności. Ze wspomnień redaktora, s. 4–22; Z. Ruciński: Odważyłem się... [Wspomn.], s. 76–77; A. Tchórzewski: Ijek. (4.06.1939 – 9.12.1985). [Wspomn. o I. Iredyńskim]; J. Waczków: Tak się złożyło..., s. 79–81]. – **1987:** M. Chrzanowski: Oblicza Współczesności. Warsz.: MAW, 366 s.^^

Licytacja ambicji. *Tamże* s. 1, 8. – A. Wieczorkowski: Pochwała powściągliwości. *Tamże* s. 8, 9.

– g r u p a o s o b i e: *Współczesność*: 1958: [Z. Irzyk] Arnold: Po kamiennych schodkach do poezji. Nr 11: 15–28 II s. 8, [Z. Irzyk] Arnold: Co słycać w „Kamiennych Schodkach”. Nr 14/4: 11–15 IV s. 7 [polem.: M. Koszel: Nie po kamiennych schodkach i nie do poezji. *Za i Przeciw* nr 14/15 s. 25]; [M. Malcharek] Mirek: Współczesność na wychodnym. Nr 15/5: 16–30 IV s. 6; [L. Szymański] Glob, (L. Sz.): A. Sandauer i J. Błoński we *Współczesności*. Nr 15/5 s. 8; A. B.: S. Rembek we *Współczesności*. Nr 17/7: 16–31 V s. 7; [Z. Irzyk] Arnold: Spotkania *Współczesności*. Nr 19/9: 15–29 VI s. 2; S. Grochowiak: W jaskini lwa. nr 21/11: 16–31 VII s. 3; Poznańskie spotkania. Nr 23/13: 16–30 VIII s. 2; A. B.: Wieczory *Współczesności* [w Pozn.]. Nr 24/14: 1–15 IX s. 4; *Współczesność* na Wybrzeżu. Nr 24/14 s. 4; [J. S. Czajkowski] Czajan: Szkolne kluby *Współczesności*. Nr 24/14 s. 7; [J. S. Czajkowski]: Kronika terenowa. Nr 26/16: 1–15 X s. 11; [Z. Irzyk] (abc): Augustów bez turystów. nr 26/16 s. 11; Tydzień *Współczesności*. Nr 26/16 s. 9; [J. Czajkowski] Czajan: Kronika terenowa. Nr 27/17: 16–31 X s. 2; [Z. Irzyk] ABC: Wieczorek poetycki *Współczesności*. Nr 27/17 s. 2 [M. Szypowskiej, L. Marjańskiej oraz Gdańskiego Klubu *Współczesności*]; Nr 28/18: 1–15 XI s. 7; [J. Czajkowski] (Ha-Cza): Kronika terenowa, [J. Siewierski] (ś). Nr 28/18 s. 7 [dot. wieczoru aut. grupy; tu też nota o planach utworzenia Wrocławskiego Klubu *Współczesności* – „Dlaczego Nie?”]; [H. Siewierska] (H. S.): Autorska grupa filmowa przy red. *Współczesności*. Nr 30/20: 1–15 XII s. 11 [tu też nota o przeniesieniu wieczorów grupy do „Harendy”] – 1965: E. Kabatc: Podsumowanie tęsknot. Nr 23: 17–30 XI s. 2. – 1976: Z. Irzyk: Fascynacje i negacje. *Poezja* nr 7/8: VII – VIII s. 161–164. – 1977: A. J. Wieczorkowski: Nobilitacja antytezy. *Mies. Lit.* nr 4: IV s. 140–142 [polem. z: S. Melkowski: Dwadzieścia lat. *Literatura* nr 4 s. 11]. – 1982: J. Siewierski: *Współczesność* – rok pierwszy. *Poezja* nr 2: II s. 3–17. – 1986: *Poezja* nr 12: *Współczesność*, XXX lat [numer monograficzny; tu m.in.:] J. S. Czajkowski: Kostium historyczny przyciasny nieco, s. 32–36; J. S. Czajkowski: Marian. [Wspomn. o M. Ośniałowskim], s. 110–112; J. Prokopiuk: Outsidera wspomnienia z początków *Współczesności*, s. 72–75.

– o g ó l n e: 1957: J. Karwicki: *Współczesność?* *Za i Przeciw* nr 36: 24 XI s. 13. – 1958: [J. Barbanell] J. Barski: Nowi pryszczaci. *Więź* nr 4: IV s. 98–101. – M. Moszel: Nie po kamiennych schodkach i nie do poezji. *Za i Przeciw* nr 14/15: 6–13 IV s. 25. – *Kierunki* nr 19: 11 V s. 12 [nota o planach przekształcenia grupy Dlaczego Nie we Wrocławski Klub *Współczesności*]. – [K. Koźniewski] K. Koź.: *Współczesność?* *Polityka* nr 32: 9 VIII s. 3; polem.: L. Szymański: Odpowiedź K. Koźniewskiemu. *Tamże* nr 33: 16 VIII s. 6–7. – [J. Ziegenhirte] (jota): Klub Literacki *Współczesności* powstał na Wybrzeżu. Po wizycie warszawskich poetów. *Dz. Balt.* nr 205: 29 VIII s. 4. – J. Olkuśnik: Muzyka we *Współczesności* i współczesność w muzyce. *Współczesność* nr 26/16: 1–15 X s. 11. – E. Walawski: Spotkania z młodymi pisarzami. *Now. Tyg.* nr 39: 4 X s. 3. – (ma): Wieczory poetyckie *Współczesności*. *Tryb. Ludu* nr 328: 24 XI s. 5 [nota o przeniesieniu imprez do „Harendy”]. – [J. Ziegenhirte] (jota): Warszawski wieczór gdańskich poetów. *Rejsy* nr 49: 7 XII s. 1. – 1967: Okręt nie zatonął (Malcharkowi). *Nowe Widzenia*, Warsz.: CKSW „Hybrydy”, s. 65–66. – 1970: J. Putrament: Pół wieku. *Przełom* (III). *Mies. Lit.* nr 12: XII s. 13. – 1972: P. Kuncewicz: Deklaracje i manifesty. (1956–1960). *Poezja* nr 10: X s. 32–33, przedr. w ks. zbior.: *Pogranicza poezji*. Warsz.: Iskry 1983 s. 459–462. – 1976: *Poezja* nr 7/8. Pokolenie *Współczesności* [tu m.in. Z. Bauer: Pokolenie 56 – mechanizm debiutu, s. 3–18; A. Chojnacki: Spór o pokolenie, s. 24–45]. – 1979: M. Chrzanowski: Pierwsza twarz *Współczesności*. *Zdanie* nr 3/7 s. 74–87. – 1980: Ankieta pokoleń. *Nowy Wyr.* [Wypowiedzi autorów:] nr 3: III: B. Drozdowski, s. 31–32, W.L. Terlecki, s. 32–33; P. Kuncewicz, nr: IV s. 46–47. – 1981: K. Koźniewski: *Współczesność*, czyli pożycie z rzeczywistością. Profile

widzenia, pisał m.in.: „Redaktorów i autorów *Współczesności* jakby nie interesowały generalne przemiany dokonujące się po 1956 roku w polityce kulturalnej, stosunku władz do aktualnych prądów i tendencji artystycznych, formy państwowego mecenatu rozciągane nad teatrem, filmem, plastyką czy literaturą, przemiany, które umożliwiały przecież powstanie samej *Współczesności*. Publicyści pisma patrzyli na otaczającą ich rzeczywistość wyłącznie przez pryzmat interesów literatury debiutującego pokolenia pisarzy, ich sytuacji finansowej, ich miejsca w ZLP, warunków pracy i polityki wydawniczej w odniesieniu do młodych”<sup>26</sup>. Odmienne tę kwestię ocenił Antoni Chojnacki, który analizując program grupy stwierdził, iż „Współczesnościowcy swoje zadania rozumieli przede wszystkim jako zadanie polityczne, a dopiero potem artystyczne, przy pełnej tożsamości słów i czynów”. Dla Chojnackiego, jak i wielu innych krytyków, głos *Współczesności* był głosem pokolenia – „jego najbardziej radykalnego skrzydła”<sup>27</sup>.

Trudności opisu i interpretacji fenomenu *Współczesności* wynikają z faktu, iż zakresy działalności pisma *Współczesność* i GL *Współczesność* są trudne do rozdzielenia, artykuły programowe nieliczne i niewiele mające wspólnego z praktyką grupy i pisma, skład redakcji pisma był wielokrotnie zmieniany, liczna i niestabilna była także grupa jego współpracowników. Nadto profil *Współczesności* stale ewoluował: od pisma grupy poprzez pismo młodych do czasopisma społeczno-literackiego w latach 60. Wreszcie – pojawiło się także określenie „pokolenie *Współczesności*”, oznaczające pokolenie debiutujące ok. 1956, a więc tylko w części termin ten obejmował młodych pisarzy skupionych przy piśmie *Współczesność*, oraz – szeroko i stale powracająca dyskusja o tym pokoleniu, zapoczątkowana książką J. Błońskiego „Zmiana warty”. Zdaniem Chojnackiego „pokolenie *Współczesności*” wykreowały artykuły Grochowiaka i książka Błońskiego (por. *Poezja* 1976 nr 7/8 s. 34). Uważając ów artykuł za nowy program nie tylko pisma, ale także całego pokolenia, stwierdzał: „To już nie tylko *Współczesność* była instytucją kulturową, stało się nią także całe pokolenie. A jako takie miało swoje praktyczne cele, jego członków powiązały ściślejsze stosunki nieformalne i formalne, a przede wszystkim wspólne interesy, które stawały się tym ważniejsze, im ataki ze strony starszych pokoleń były intensywniejsze”.

Dyskusja o „pokoleniu *Współczesności*” odżyła po opublikowaniu przez Annę Bukowską artykułu „Podzwonne pokolenie” (*Współczesność* 1966 nr 21) oraz w 20-lecie założenia grupy i pisma *Współczesność* w 1986.

### **@@Opracowania**

Literatura dotycząca pisma *Współczesność* jest bardzo bogata, równie obszerny jest wykaz prac dotyczących tzw. pokolenia *Współczesności* (rejestrują je roczniki *Polskiej Bibliografii Literackiej* za 1956–86). W niniejszym dziale uwzględniono tylko te pozycje, które odnoszą się do działalności Grupy Literackiej *Współczesność*.

– a r t y k u ł y   p r o g r a m o w e: *Współczesność*: 1957: L. Szymański: Zadania młodych twórców. Nr 9: XI s. 1–2; M. Ośniałowski: Przeciw pedantom. nr 10: XII s. 1. – 1958: R. Śliwonik: „Głupcy wierzą w poranek”. O rówieśnikach, epigonach, grupach, Manekinie i *Współczesności*. Nr 11: 15–28 II s. 1, 7. – 1959: J. S. Czajkowski, B. Gołębiowski, E. Kabatc, A. Minkowski, J. Siewierski: Sztuka wyboru. Nr 8/39: 15–30 IV s. 1, 9 [polem. z: S. Grochowiak: Karabela zostanie na strychu. Nr 4/35], odp.: L. Terlecki:

<sup>26</sup> Por. przyp. 15.

<sup>27</sup> Por. przyp. 15.

ludzkiego w naszych konkretnych warunkach ustrojowych. Rozsądek to duża rzecz, jeśli oznacza on racjonalną koegzystencję rozumu i serca, a nie zimną, wyrachowaną obojętność obserwatora z boku”. Nadto postulowano traktowanie literatury jako „sztuki wyboru”: „Literatura jest sztuką wyboru. Wyboru postawy intelektualnej, formy bohatera, konfliktu, obrazów sytuacji, każdego słowa. [...] Nasz wybór pada na tę literaturę, która bez względu na jej formę, nie tylko uwzględnia rzeczywisty stan naszego świata, naszego kraju, naszego społeczeństwa, ale również ma ambicje wskazywania na to, co jest w naszym życiu najistotniejsze i najbardziej wartościowe. Taką literaturę można nazwać humanistyczną, można ją nazwać socjalistyczną, można jej w ogóle nie nazywać”.

Z artykułem „Sztuka wyboru” polemizował na sąsiedniej kolumnie Władysław Lech Terlecki,<sup>20</sup> opowiadając się za deklaracją Grochowiaka, wyjaśniał budzące wątpliwości sformułowanie autora „Karabeli”. Bardziej ostro wystąpił przeciwko czwórce oponentów Aleksander J. Wieczorkowski, kwitując swą wypowiedź następująco: „Autorów ratują tylko dwa zdania; te w nawiasie: «Chętność nasza ogranicza się jedynie do postulowania, a nie realizowania. Realizacja tych ambicji to rzecz osobna». Przed czym ratują? Przed śmiesznością”.<sup>21</sup>

Polemika wokół artykułu „Karabela zostanie na strychu” zdecydowała, zdaniem Czajkowskiego i Irzyka, o rozpadzie grupy Literackiej Współczesność. Część jej członków utworzyła wkrótce → Zespół Literacki Grupa Warszawska, w redakcji zaś *Współczesności* pozostali tylko nieliczni z jej pierwszych twórców (Chąciński, Irzyk, Ośnialowski). Zdaniem Kabatca artykuł „Karabela zostanie na strychu” nie był w intencji autorów programem nowej grupy literackiej.<sup>22</sup>

Krytyka oceniała początkowo *Współczesność* jako pismo słabe (por. m.in. wywiady tamże Sandauera, Maciaga i J. Kwiatkowskiego); Jadwiga Barbanell tak pisała w 1958 w *Więzi*: „W swej dotychczasowej, burzliwej karierze było to pismo dosyć krzykliwe i co najgorsze, mało atrakcyjne nawet dla nielicznych wielbicieli młodych talentów. Racje swojego istnienia uzasadniało ono uparcie koniecznością prowadzenia walki z istniejącymi koteriami literackimi, z wielką groźbą sklerotycznej literatury [...]”. Krytyk miała także za złe *Współczesności* niewybredny ton polemik prowadzonych zwłaszcza przez Słojewskiego. Znaczącą jej rolę przewidział wcześniej Grochowiak, pisząc w 1958: „*Współczesność* jest rzadkim na polskiej mapie kulturalnej pismem artystycznym, które powstało żywiołowo – którego narodziny były wyrazem możliwości najmłodszego pokolenia inteligencji, a jej rozwój będzie świadectwem dojrzewania pokolenia”.<sup>23</sup> Dla Brychta grupa, poprzez fakt posiadania własnego pisma – „stanowiła niejako sztab całego literackiego pokolenia. Należeli do niej zarówno poeci, jak i prozaicy, krytycy, publicyści, ba – dramaturdzy nawet i przekładowcy. Grupa ta, a właściwie redakcja, skupiła wokół siebie duże grono współpracowników z innych dziedzin sztuki: plastyków, młodych aktorów, nawet muzyków. Niestety, wszystkich tych ludzi łączyło tylko i wyłącznie zainteresowanie materialne, silniejsze tu, niż w którejkolwiek innej grupie, ponieważ ukazujące się nieregularnie pismo zapewniało jednakże jakieś dochody, a przynajmniej dawało nadzieję na przyszłość”.<sup>24</sup> W szkicu poświęconym *Współczesności* (jako grupie i pismu) K. Koźniewski<sup>25</sup> analizował przemiany jej profilu na tle ówczesnej sytuacji politycznej oraz polityki kulturalnej. Maciej Chrzanowski, reprezentujący zbliżony punkt

<sup>20</sup> „Licytacja ambicji”, s. 1, 8.

<sup>21</sup> Tamże s. 9.

<sup>22</sup> Kabatek stwierdzał ponadto: „Czajkowski dopisał się do naszego wystąpienia w ostatniej chwili i pojechał na nim w dość nieokreśloną przestrzeń działań upowszechnieniowych...” (fragm. listu z lipca 1985).

<sup>23</sup> S. Grochowiak: W jaskini lwa. *Współczesność* 1958 nr 21/11 s. 3.

<sup>24</sup> A. Brycht. *Kierunki* 1960 nr 35.

<sup>25</sup> Por. przyp. 4.

1959), profil i ambicje pisma uległy istotnym zmianom; widoczne stało się odejście od modelu pisma grupy literackiej na rzecz organu literackiego młodych. W 19/9 numerze *Współczesności* pomieszczono notatkę, w której pisano m.in.:

„Ostatnio kierunek naszego pisma odbiegł daleko od jego początkowych założeń. Zespół Grupy Literackiej *Współczesność* postanowił nawiązać do uprzednich tradycji i reorganizował kolegium. *Współczesność* będzie przede wszystkim pismem literackim młodych”.<sup>19</sup>

Artykuły i polemiki Grochowiaka ogłaszane we *Współczesności* od połowy 1958, prezentujące jego poglądy na obraz i rolę młodej literatury (m.in. na temat pojęcia „realizmu”, tzw. czarnej literatury, postępu w kulturze), stanowiły zapowiedź jego programowego artykułu pt. „Karabela zostanie na strychu” (nr 4 z 1959). Artykuł ów miał być w intencji Grochowiaka rzeczą o pokoleniu – „tak jak je widzi kilka osób z grupki redagującej *Współczesność*”, miał być także prowokacją do dyskusji; autor określił nadto intencje nowej redakcji pisma, zmierzającej do odejścia od modelu pisma wąskiej grupy literackiej i uczynienia z niego trybuny pokolenia:

„Nastał czas najwyższy, aby tzw. profil *Współczesności* przestał być profilem światowida, czyli żeby zdecydował się na jakiś kierunek. Nie widzimy mądrzejszego sposobu dla mądrego sformułowania tego kierunku poza określeniem go w korelacji z pokoleniem, dla którego twórczych reprezentantów chcemy być trybuną”.

Artykuł dotyczył jednak przede wszystkim postawy młodych wobec rzeczywistości. Grochowiak, sprzeciwiając się romantycznym ideałom i tradycjom kawalerskiej szarży jako symbolom określonej postawy światopoglądowej, opowiadał się za pokoleniem „ludzi nad wszystko ceniących zdrowy rozsądek i dalekich od hysterii i fanatyzmów, mądrych i tolerancyjnych”.

Do polemiki z tekstem Grochowiaka włączyli się artykułem pt. „Sztuka wyboru” byli współpracownicy bądź – w różnych okresach – członkowie redakcji *Współczesności*: Czajkowski, B. Gołębiowski, Kabatc, Minkowski i Siewierski (nr 39). Twierdzono, iż tezy artykułu Grochowiaka reprezentują myślenie bierne, uległe wobec zastanej rzeczywistości, akceptujące jedynie to, co jest doraźne i widoczne, afirmujące p r z e j a wy. Postulowano ten typ literatury zaangażowanej społecznie, który od literatury społecznikowskiej różni się „spojrzeniem od wewnątrz”: „[...] przy pełnym naszym poparciu dla kierunku na socjalizm, kierunku politycznego, społecznego i gospodarczego, w pierwszym rzędzie interesują nas przeobrażenia zachodzące w człowieku uwikłanym w tamte polityczne, społeczne i gospodarcze procesy wraz z całokształtem swoich najbardziej osobistych i najtajniejszych spraw”. Przywołując stwierdzenie Grochowiaka: „Nic nie jest tak obce temu pokoleniu jak niepotrzebne bohaterstwo, nieuzasadnione żądanie, niepowołana egzaltacja” – przeciwstawiano mu postulat: „p o t r z e b n e, r a c j o n a l n e bohaterstwo, u z a s a d n i o n e, s ł u s z n e żądanie, u c z c i w e, s z c z e r e analizowanie problematyki życia

<sup>19</sup> W tym miejscu przypomnieć warto jubileuszowy artykuł redakcyjny pt. „50” (*Współczesność* 1959 nr 19/50 s. 1, 3), w którym przywołano fragmenty artykułów wstępnych z trzech pierwszych numerów *Współczesności* z października 1956, komentując je następująco: „Wydaje się, że w nich właśnie zawierają się wszystkie intencje i cały program, jaki stał u startu naszego pisma. Program zarówno szlachetny, jak i ogólnikowy, a w wielu miejscach wręcz idealizujący.”

Komentując fakt współpracy z Paxem, pisano o niej w kategoriach „przykrej przygody opartej na obustronnym nieporozumieniu”. Przyznając, iż była aktem oportunistycznym i finansowego wyrachowania, dopatrywano się w tym przyczyn niepowodzenia pisma i jego niskiego wówczas poziomu: „W tym czasie wychodzi kilka numerów – z punktu widzenia ideowego zupełnie martwych, eklektycznych i pełnych sprzeczności. Zawęża się jeszcze bardziej krąg nazwisk autorów, wzrasta w sposób absolutny dezorientacja czytelnika. Spada nakład. Nie znajdujemy, niestety, żadnej okoliczności łagodzącej dla tej najboleśniejszej luki w ideowym zyciorysie naszego Zespołu”.

W początkach 1958 przy redakcji pisma powstało Koło Młodych Pisarzy; w ramach jego prac organizowano dyskusje z krytykami, m.in. 17 III gościł w Kole Artur Sandauer, następnie Jan Błoński (omawiał debiuty byłych wychowanków Koła Młodych przy ZLP: Kabatca, Kotowskiej, Lei, A. Minkowskiego), zaś 24 IV – Stanisław Rembek.

Przy redakcji powstała we wrześniu 1958 Amatorska Grupa Filmowa pod kierunkiem Hanny Siewierskiej. Jej celem było realizowanie etiud i filmów krótkometrażowych. W grudniu tego roku rozpoczęto pracę nad scenariuszem „Kulisy Teatru Lalek”.

Próbowano nadto stworzyć Teatr Współczesności. W listopadowym numerze *Współczesności* z 1958 (nr 36/16) ogłoszono listę zakwalifikowanych kandydatów (51 nazwisk).

W dniach 1 – 8 X 1958, w związku z drugą rocznicą działalności grupy ogłoszono „Tydzień Współczesności; wprowadzono uliczną sprzedaż pisma (1–3 X), zorganizowano wieczór autorski grupy połączony ze spotkaniem zespołu redakcyjnego z czytelnikami (udział wzięli poeci: Bryll, Czajkowski, Grochowiak, Ośniałowski, Śliwonik, oraz prozaicy: Brycht, Chąciński, Szymański). Ilustrację muzyczną przygotowali Joachim Olkuśnik i Benedykt Konowski, recytowali D. Mancewicz i W. Siemion. Nadto w hallu kawiarni „Harenda” otwarto Galerię Współczesności; zainaugurowała ją wystawa prac Jerzego Stajudy i Witolda Czajkowskiego. Zorganizowana w ramach Galerii wystawa grafiki Piotra Krossowskiego odbyła się w Klubie MPiK.

Według informacji Czajkowskiego, Biuro Wydawniczo-Propagandowe „Ruch” wyraziło zgodę na utworzenie przy nim – Wydawnictwa Współczesność. Zawarto umowy autorskie z członkami Grupy Współczesność: na tomy poezji z Czajkowskim, Ośniałowskim, Śliwonikiem, na tomy prozy z Brychtem, Chącińskim i Szymańskim. Pozostanie za granicą Szymańskiego pokrzyżowało te plany wydawnicze. Wydrukowano trzy pierwsze książki, ale rozpowszechnianie ich wstrzymano.

Starania o objęcie patronatem wydawniczym twórczości członków Współczesności przez wydawnictwo „Iskry” nie przyniosło skutku. W tej sytuacji zdecydowano się drukować arkusze poetyckie jako wkładki do planowanego dwutygodnika *Kwartalnik Poetycki i Malarski*. Inicjatywa ta także nie powiodła się.

Od lutego 1959 funkcję p.o. redaktora naczelnego pisma pełnił Stanisław Grochowiak; współpracował on ze *Współczesnością* od lipca 1958, a do kolegium pisma wszedł w październiku tegoż roku. W tym czasie w piśmie publikować zaczął także Władysław Lech Terlecki. O autorach tych pisał Koźniewski:

„[...] obaj mający już za sobą książki debiutanckie wydane w «Paxie» i obaj zdecydowani na zerwanie z tą firmą. Uczynili to razem ze *Współczesnością* – i oni dopiero tej jeszcze mało określonej grupie literackiej przydali bardziej wyrazisty akcent. Razem z wcześniej już drukującym w dwutygodniku Markiem Nowakowskim, Eugeniuszem Kabatcem i Andrzejem Brychtem, jak również z Bogdanem Wojdowskim, Januszem Krasieńskim, Bohdanem Drozdowskim, Józefem Lenartem, z poetami Ernestem Bryllem, Ireneuszem Iredyńskim, Romanem Śliwonikiem, Jerzym S. Sito, który wrócił z Londynu, oraz z impetycznym wtedy krytykiem Janem Zbigniewem Słojewskim, oraz znacznie spokojniejszym Tomaszem Burkiem i tuzinem innych uformowali w lecie 1958 nieformalny, ale faktyczny, załazek tej grupy literackiej, która już bardzo szybko zwróciła na siebie uwagę krytyków i nazwana została pokoleniem *Współczesności*, albo pokoleniem 56”. (Por. przyp. 4.)

Po przejściu *Współczesności* pod opiekę finansową PPK „Ruch” i kolejnych reorganizacjach jej kolegium redakcyjnego (por. nry 19/9, 27/17 z 1958 i 32/1, 2/33, 4/35 z

---

PRL (po II wojnie światowej) dr Kołtoński. Przetłumaczył on na język włoski poezję J.S. Czajkowskiego i M. Ośniałowskiego. Próby zorganizowania przedstawicielstwa *Współczesności* w USA nie powiodły się. Amerykański sławista (polskiego pochodzenia) prof. Edmund L. Odon wycofał się z tej misji”.

robotnikami Zakładów im. Kasprzaka. Swoje wiersze recytowali Czajkowski i Grochowiak. Imprezę prowadził A. Kowalczyk.

W tymże roku przedstawiciele redakcji i Grupy Literackiej Współczesność prezentowali swoją twórczość w innych miastach, m.in. w Krakowie (21 V – wieczór poetycki w siedzibie ZLP z udziałem Bieszczadowskiego, Czajkowskiego, Ośniałowskiego, Śliwonika i Szczawińskiego; 23 V w Klubie TPPR Wieczór Poetycki „poetów z kręgu Współczesności”: Czajkowskiego, Ośniałowskiego, Szczawińskiego), w Poznaniu (VII – wieczór autorski w Klubie TPPR z udziałem Brychta, Czajkowskiego, Ośniałowskiego, Śliwonika, nadto 12 VIII spotkanie z grupami Swantewit i Wierzbak przy okazji zorganizowanego przez Współczesność wieczoru Kedara Natha).<sup>17</sup> Nadto Czajkowski, Grochowiak i Ośniałowski odbyli w dniach 19 – 27 VIII szereg spotkań autorskich na Wybrzeżu (w kawiarni „Bałtycka”, w Klubie Stoczniońca, w siedzibie TPPR i w Interklubie w Gdańsku oraz w Sopocie) i ponownie we wrześniu z udziałem Brychta i K. Natha. Grupa wzięła m.in. udział w spotkaniu w Gdańskim Klubie Stoczniońca, w czasie którego powstał pomysł utworzenia w klubie sekcji literackiej, współpracującej ze Współczesności. We wrześniu 1958 pisarze z kręgu Współczesności przez dwa tygodnie gościli na terenie Rzeszowszczyzny z cyklem wieczorów autorskich (Rzeszów, Przemyśl, Mielec, Stalowa Wola) oraz w Tarnowie i Świdniku.

Według informacji Czajkowskiego grupa posiadała umowę o współpracy autorskiej z ZG TPPR. Wspólnie zorganizowano wieczory poezji radzieckiej (w tym poezji Włodzimierza Majakowskiego, w recytacji A. Kowalczyka) oraz poetów Grupy Współczesność w klubach TPPR (m.in. w Warszawie, Gdańsku, Krakowie, Krynicy). Zorganizowano wieczór poezji Maksyma Ryłskiego z udziałem autora w Instytucie Kultury Radzieckiej przy ul. Foksał. M. Ryłski przełożył wiersze poetów Współczesności na język rosyjski, ogłoszone m.in. w *Litieraturnoj Gazecie*.

Wiele wieczorów autorskich członków grupy zorganizowano w sanatoriach (m.in. Krynicy, Inowrocławia, Zakopanego), domach kultury, klubach fabrycznych (m.in. w Radomiu, Kielcach, Starachowicach) oraz w szkołach.

Według informacji Czajkowskiego patronat nad działalnością terenową Współczesności objęła CRZZ, współorganizując wiele odczytów i spotkań autorskich w zakładowych domach kultury (m.in. w Nowej Hucie, w hucie w Ostrowcu).

Grupa Literacka i redakcja pisma były inicjatorkami zorganizowania w 1957 kilku klubów literackich Współczesności: w Gdańsku (18 IX; założony przez Mirosława Stecewicza, Bogdana Justynowicza, Halinę Urbaniak-Czychowską i Mirosława Czychowskiego pn. Gdański Klub Literacki Współczesność), w Płocku (X; klub pod opieką Komitetu Powiatowego ZMS), Krakowie (założony przez Aleksandra Wilkonia), w Koszalinie (kierowany przez Czesława Kuriatę), w Szczecinie (prowadził go Józef Bursewicz), Lublinie (pod kierunkiem Jerzego Ksińskiego) a także, według informacji Czajkowskiego – w Toruniu, Kielcach, Poznaniu i Katowicach. We wrześniu 1958 redakcja ogłosiła apel skierowany do polonistów i dyrektorów szkół, dotyczący powołania szkolnych klubów Współczesności (nr 24/14); wiadomo jedynie o powstaniu takiego klubu w Augustowie.<sup>18</sup>

<sup>17</sup> Postanowiono wówczas zorganizować wymienne wieczory grup poznańskich w Warszawie oraz opublikować utwory ich członków we *Współczesności*. Łącznikami między redakcją a Swantewitem i Wierzbakiem zostali J. Ratajczak i J. Sauer. Por. wsłodka literacka pt. „Młody Poznań” w numerze 26/16 z 1 X 1958.

<sup>18</sup> Według świadectwa J.S. Czajkowskiego grupa czyniła próby zorganizowania oddziałów Współczesności także poza granicami kraju. Pisał on na ten temat: „[...] kierownikiem oddziału Współczesności na Anglię był poeta Jerzy Niemojowski, mieszkający na stałe w Londynie. Mecenasem i ambasadorem członków grup Współczesności w Italii był członek Rzymskiej Akademii Sztuki i ambasador

Bruno Jasińskiego i Aleksandra Wata. O zainteresowaniu literaturą międzywojenną tak pisał Irzyk we wspomnieniu o *Współczesności*:

„Dwudziestolecie międzywojenne poczyniło wtedy odzyskiwać w historii i krytyce literackiej należne sobie miejsce, lecz w wersjach podręcznikowych nadal ograniczało się do przedstawicieli nurtu tradycyjno-literackiego. Krytycy *Współczesności* zaczęli proponować odwrócenie hierarchii wartości, współdziałając niejako z Arturem Sandauerem, który ówczesnie zaczynał publikować swe szkice, które złożyć się miały na zbiór «Bez taryfy ulgowej». Bruno Schulz, Witold Gombrowicz, Witkacy, Leśmian, wśród krytyków Karol Irzykowski, sięgając dalej wstecz – częściowo Stanisław Brzozowski, byli to autorzy, których dzieła budziły w nas zainteresowanie, stanowiąc wartości cenniejsze niż dzieł nurtu ściśle realistycznego, jako wytyczające drogi rozwoju literatury po dzień współczesny. Wyrastał z tych fascynacji swojego rodzaju program, którego z początku nikt sobie wyraźnie nie uświadamiał, a który z czasem stał się faktem”. (Por. przyp. 6.)

Nadto publikowano liczne przekłady z literatur obcych, zachwycono się twórczością Becketta, Kafki i Prousta. Numery 5–7 z 1957 w całości poświęcone były literaturze francuskiej, amerykańskiej i rosyjskiej.

Stosunek redakcji *Współczesności* do jej antypatii i preferencji literackich z lat 1956–59 zweryfikowano w jubileuszowym artykule pt. „50”; przypomniano chybioną batalię o Tadeusza Kosteckiego, zachłystnięcie się twórczością futurystów polskich, ataki na Zofię Nałkowską.

Obok publikacji w organie grupy, literaci *Współczesności* prezentowali swą twórczość na licznych spotkaniach autorskich oraz wieczorach poetyckich, organizowanych niemal od początku istnienia grupy. Po rozwiązaniu Koła Młodych przy ZLP w 1956, od września 1957 grupa *Współczesności* urządziła co dwa tygodnie wieczory poezji w staromiejskiej kawiarni „Kamienne Schodki” (reklamowane drukowanymi afiszami, rozsyłano też zaproszenia oraz umieszczano anonsy w prasie codziennej). Były one poświęcone twórczości debiutantów lat 1956–57 – członków grupy oraz autorów skupionych wokół *Współczesności*: Śliwonika, Ośniałowskiego, Makomaskiego, Brylla, Doleckiego, Czachorowskiego, Czajkowskiego, Sawki, Szypowskiej, Choińskiego, Delinikajtisa, Gielo, Iredyńskiego, Marjańskiej. Z reguły wiersze recytowali współpracujący z grupą aktorzy scen warszawskich (H. Jabłonowska, Wojciech Siemion, Danuta Mancewiczówna). Wieczory miały także oprawę muzyczną. W lutym 1958 imprezy te przeniesiono do kawiarni „Krokodyl” (gdzie odbywały się przez dwa miesiące), po czym ponownie do „Kamiennych Schodków” (zainaugurowane wieczorem Bieszczadowskiego i Szczawińskiego). W listopadzie 1958 kierownictwo kawiarni cofnęło zgodę na organizowanie imprez poetyckich; wówczas spotkania przeniesiono do „Harendy”, tradycyjnie kawiarni studentów UW (rozpoczęto od wieczoru autorskiego Mieczysława Czychowskiego i Mirosława Stecewicza – 21 XI, a następnie Tadeusza Kubiaka). Owe wieczory spotkały się z ostrą krytyką publicystów *Za i Przeciw*, którzy zarzucali grupie zbytnią śmiałość propozycji poetyckich, niski poziom dyskusji oraz prowokowanie chuligańskich ekscesów.<sup>16</sup>

W 1958 organizowano ponadto spotkania autorskie: w warszawskim KMPiK (m.in. 27 III wieczór Czajkowskiego i Ośniałowskiego z udziałem D. Mancewiczówny i W. Siemiona; 8 X – zbiorowy wieczór grupy z udziałem Czajkowskiego, Grochowiaka, Ośniałowskiego, Śliwonika oraz Brychta, Szymańskiego, Chącińskiego, ich utwory czytali D. Mancewiczówna i W. Siemion, o planach grupy mówili Irzyk i Słojewski), w Klubie TPPR (27 III – wieczór autorski Czajkowskiego, Doleckiego, Łączkowskiego, Ośniałowskiego, A. Piotrowskiego, Śliwonika, Szczawińskiego, wiersze recytowali A. Zalewska i W. Siemion). 29 IX odbyło się spotkanie Grupy Literackiej *Współczesność* z laureatami „Czytelniczej Zgaduj-Zgaduli”,

<sup>16</sup> M. Koszel: Nie po kamiennych schodkach i nie do poezji... *Za i Przeciw* 1958 nr 14/15 s. 25.

Edward Stachura, Bogdan Loebel, Jerzy Harasymowicz, Jan Czopik, Salomea Kapuścińska, Maciej Zenon Bordowicz, Sławomir Kryśka, Bohdan Drozdowski, Barbara Sadowska, Halina Poświatowska, Józef Ratajczak, Jerzy Waleńczyk, Jerzy Skolimowski, Witold Dąbrowski, Andrzej Mandalian, Stanisław Chaciński, Zbigniew Jerzyna, – prozaików: Roman Samsel, Wanda Konarzewska, Andrzej Brycht, Stanisław Wygodzki, Zdzisław Umiński, Jan Himilbach. Artykuły, recenzje, eseje publikowali tu m.in. Tomasz Burek, Stefan Lichański, Zbigniew Pędziński, Bogdan Wojdowski, Leszek Elektrowicz, Wojciech Bieńko, Barbara Eysymontt, Karol Eberhardt, Ryszard Zengel. *Współczesność* miała stałe działy recenzji literackich, filmowych, teatralnych i muzycznych, kronikę kulturalną, kronikę terenową (tu m.in. informacje o działalności Grupy Literackiej *Współczesność*), stałe felietony (m.in. R. Śliwonik: „Lekcje banalne”, J. Siewierski). W 1958 pismo wprowadziło nowe cykle; były to ankiety o współczesnej literaturze, wywiady z pisarzami, krytykami i twórcami kultury oraz kolumny poświęcone literaturze na prowincji. W ankiecie literackiej pt. „Prosto i krzywo o literaturze”, ogłoszonej w 11 numerze pisma, wypowiadali się w rubryce „Kartki o rówieśnikach”: Wojciech Janicki, J. Hanisz, Stefan Lichański i ponownie W. Janicki. W cyklu wywiadów z twórcami (nr 12–30) publikowali: Artur Sandauer, Jerzy Zawieyski, Lucjan Rudnicki, Ludwik Hieronim Morstin, Władysław Jan Grabski, Krystyna Skuszanka, Kazimierz Dejmek, Anatol Stern, Włodzimierz Maciag, Jerzy Kwiatkowski, L.E. Stefański, Jerzy Jarocki, Stanisław Rembek, Jerzy Grotowski. W ramach akcji „Prowincja '58” (ogłoszonej w 20 nrze pisma) opublikowano wkładki literackie: dwukrotnie „Młode Pomorze” oraz „Młody Wrocław”, „Młody Poznań”. Owa penetracja prowincji odbyła się w myśl zasady sformułowanej przez Ośniałowskiego w 10 nrze *Współczesności* z 1957 (s. 1): „Nie interesuje nas niczyja legitymacja sławy. Ale jedynie legitymacja talentu”.

Spośród młodych prozaików uparcie nie drukowano Hłaski, co więcej – atakowano go zawzięcie (por. dyskusja redakcyjna pt. „Causus Hłasko” w 28/18 nrze z 1958 z udziałem Lenarta, Strumffa, Szymańskiego, Siewierskiego, Irzyka, Chacińskiego, Śliwonika i Grochowiaka). Polemizując w 1958 z Kazimierzem Koźniewskim na łamach *Polityki* (nr 33), Szymański tak pisał o profilu *Współczesności*: „[...] domagamy się wyraźnie literatury ideowej, literatury zaangażowanej w walkę o socjalizm w naszym kraju, w którym występujemy ostro przeciw histerii w literaturze najmłodszej i wyrażamy swoją dezaprobatę dla naśladowców i epigonów Hłaski. [...] nasza działalność krytyczno-literacka nabrała znamion pracy konstruktywnej. Że dzisiaj przeciw hłasczyźnie i histerii walcząc, mamy ambicję pomagać partii w jej polityce kulturalnej”.

Ocenę postaci i twórczości Hłaski Koźniewski łączył z ideologią pisma i grupy: „Powiedzieć jednak, że *Współczesność* zamieszczała przede wszystkim teksty literackie i o literaturze – to powiedzieć zbyt mało. Literatura zawsze była formą ideologii. Więc jaką była ideologia tego pisma – to jest pytanie najważniejsze. Była nią z g o d a n a r z e c z y w i s t o ś ć. Jeszcze jesienią 1958, gdy pismo z Paxu przeszło do «Ruchu» Józef Lenart opublikował artykuł, w którym kategorycznie i jednoznacznie zadeklarował udział współredaktorów i współpracowników *Współczesności* po stronie tworzącego się w Polsce socjalizmu. A w kilka tygodni później, gdy Marek Hłasko ostatecznie zdecydował się pozostać za granicą, zawsze mu niechętna grupa *Współczesności* [...] opublikowała dyskusję odsadzającą Hłaskę od czci i wiary. I gdy przewodniczący temu sądowi nad Hłaską Leszek Szymański w pół roku później też został za granicą – zespół pisma, już kierowany przez Grochowiaka, opublikował oświadczenie, iż, wbrew informacjom Szymańskiego, *Współczesność* nigdy dotąd nie było tak dobrze jak na garnuszku państwowego wydawcy”. (Por. przyp. 4.)

Niezależnie od otwarcia łamów pisma dla wielu młodych literatów *Współczesność* sięgnęła do futuryzmu polskiego – drukowano teksty Anatola Sterna, Tytusa Czyżewskiego,

[...]. Pragniemy także rozwiązać skomplikowaną sytuację wzajemnej nieufności powstałą między młodymi. Podobnie jak pośród twórców starszego pokolenia, wśród młodych pisarzy i poetów panuje kompletna dezorganizacja, ogólny brak zaufania i całkowity brak własnych propozycji czy perspektyw. Tak dłużej być nie może. Zwalczyć pesymizm, dać ogólne przynajmniej, a jednocześnie zawężone i niekrepujące indywidualności – wytyczne działania młodych jest zadaniem ruchu twórców *Współczesności* [podkr. E.G.].

Wśród głosów polemicznych dotyczących grupy i jej pisma była także wypowiedź S. Grochowiaka, który podawał w wątpliwość zasadność używania terminu „grupa” dla zespołu redagującego *Współczesność*; w artykule „Niedźwiedź na rowerze” pisał:

„Tylko czy grupa? Czy rzeczywiście grupa? Niestety, to jest tylko grupa... z pozoru. Przejrzałem skrupulatnie wszystkie numery *Współczesności* i nic poza dużym tupetem nie znalazłem w niej, co by jakoś wiązało artystycznie i filozoficznie jej członków. Być może dlatego, że jak na razie i z artyzmem, i z filozofią jest we *Współczesności* dość krucho...”<sup>12</sup>

Wyjaśnieniu charakteru *Współczesności* służyć może artykuł Ośniałowskiego z 1957, w którym autor polemizował z atakami na profil i działalność grupy i pisma. Na zarzut braku kośca ideowo-artystycznego odpowiadał, iż grupę łączą „przekonania polityczne, natomiast w sferze twórczości preferuje się pełny indywidualizm:

„*Współczesność* jest jedyną grupą literacką, do której mogę i chcę należeć, właśnie dlatego, że nikt tu nikim nie chce kierować, że toleruje się indywidualność”. Ośniałowski negował konieczność formułowania programów artystycznych, uważając je za szkodliwą ortodoksję, ograniczającą wolność słowa. To przekonanie było podstawą do wyrażenia sprzeciwu wobec „kompleksu Przybosia”: „[...] jest chyba jedynym wśród krytyków i poetów, który stwarza definicje i przepisy. To musi zawieść. W dobrej poezji wszystko polega na niespodziankach i na tym, że nie ma żadnych zasad”.<sup>13</sup> R. Śliwonik za najistotniejszy element istnienia *Współczesności* uważał stawianie zadań organizacyjnych: „[...] jeśli grupa, to tylko w sensie organizacyjnym. Najlepszym dowodem jest *Współczesność*, gdzie zebrali się kilku świetnych organizatorów i to dzięki nim *Współczesność* w ogóle wychodzi”.<sup>14</sup>

Krytyka zgodnie podkreślał mglistość i sloganowość deklaracji programowych *Współczesności* oraz fakt, że wiele z nich nigdy nie zostało zrealizowanych.<sup>15</sup>

*Współczesność*, główna platforma wypowiedzi grupy, była w 1956–59 pismem przede wszystkim literackim. Pierwsze jej numery zawierały z reguły prace członków grupy: najczęściej pojawiały się nazwiska Szymańskiego, Chącińskiego, Bołka, Czajkowskiego oraz Ośniałowskiego i Śliwonika. Mimo to, jak twierdził Kabatc, w początkach istnienia pisma stawiano *Współczesności* zarzut nadmiernego upolitycznienia. Autor pisał na ten temat (list z lipca 1985): „[...] za drugi, nazbyt upolityczniony numer została zawieszona i dopiero nasza (moja) rozmowa z Gomułą po styczniowym wiecu w Sali Kongresowej i obietnica, że będzie literacka, przywróciła jej życie”.

Stopniowo także następowało odejście (potwierdzone też deklaracjami programowymi) od modelu pisma grupy – zaczęto drukować teksty autorów nie tylko z kręgu *Współczesności*, ale także innych autorów warszawskich i pozawarszawskich. W 1957–59 na łamach pisma publikowano kolejno utwory m.in. takich poetów, jak: Miron Białoszewski, Janusz Żernicki, Kazimierz Jułga, Józef Bursewicz, Andrzej Bursa, Bolesław Taborski, Andrzej Tchórzewski,

<sup>12</sup> *Za i Przeciw* 1957 nr 4.

<sup>13</sup> *Współczesność* nr 10 s. 1.

<sup>14</sup> „Głupcy wierzą w poranek”. O rówieśnikach, epigonach, grupach, Manekinie i *Współczesności*. *Współczesność* 1958 nr 11 s. 7.

<sup>15</sup> Por. M. Chrzanowski: Pierwsza twarz *Współczesności*. *Zdanie* 1979 nr 3 s. 74–87. Omówienie realizacji programowych pisma i jego profilu daje A. Chojnacki w artykule: Spór o pokolenie. *Poezja* 1976 nr 7/8.

«Paxu». Kiedy zaś po paru miesiącach kuratela wyznaniowa wydała się tym chłopcom nazbyt uciążliwa – lekkim krokiem zmienili mecenasa dysponującego kasą: z katolików rządowych na rządzących marksistów. Zmienili ideologię, ale starannie pamiętali o jednym: o lojalizmie wobec tych, którzy państwem kierowali. Nie chcieli się buntować. I w tym właśnie byli autentyczni. To im dawało prawo – choć sami nigdy by tego nie przyznali – by swoje pismo nazwać *Współczesnością*. Byli niezmiennie współcześni”.<sup>9</sup>

Pierwszą deklarację programową (autorstwa R. Śliwonika) grupy i redakcji pt. „Zamiast manifestu” ogłoszono w 2 nrze *Współczesności*. Na temat charakteru grupy i linii programowej pisma przez nią redagowanego istnieją krańcowo różne opinie samych członków. I tak Kabatc, wspominając początki pisma, pisał: „[...] Wbrew pozorom i deklaracjom nie istniała żadna grupa literacka w pełnym tego słowa znaczeniu, mówienie o niej miało służyć jedynie uzasadnieniu powołania do życia tego faktu literackiego, jakim jest pismo. Powołano go zaś i utrzymano dla celów wielce utylitarnych, to jest dla publicznego zamanifestowania swego istnienia”.<sup>10</sup> Irzyk natomiast stwierdzał: „W początkach swego istnienia *Współczesność* była pismem dość nieokreślonej grupy literackiej; jej program formował się stopniowo jako wypadkowa wystąpień indywidualnych” (miał na myśli trzy serie artykułów publikowanych w piśmie, dotyczących: reformy studiów polonistycznych i roli polonistyki w kulturze, tzw. Warszawki jako zjawiska kulturalno-obyczajowego oraz oceny tradycji literatury polskiej).<sup>11</sup>

Tekst „Zamiast manifestu” został ogłoszony „aby uczynić zadość żądaniom”; członkowie *Współczesności* byli przeciwni formułowaniu programu przed rozpoczęciem działalności (por. wstęp do deklaracji). Akcentował on, poprzez wytłuszczenie druku, dwa postulaty:

„Chcemy by nasza sztuka pomagała w budowie socjalizmu, odzwierciedlając wszystkie problemy polityczne i moralne nurtujące nasze społeczeństwo. Chcemy pomóc w procesie demokratyzacji i walczyć ze wszystkim tym, co dzieło to hamuje, bez względu na ośrodki, z których takie tendencje wychodzą. [...] Pragniemy skupić wokół *Współczesności* wszystkich młodych twórców, którzy chcą swoją sztuką służyć wielkiemu dziełu odnowy naszego życia społecznego i kulturalnego”.

Nie formułowano żadnych postulatów artystycznych. Mówiono jedynie o pisaniu „żywym, nowoczesnym językiem”. Zakładano otwartość pisma dla ludzi o najróżniejszych przekonaniach światopoglądowych i artystycznych, oraz jego wielotematyczność (obok literatury także plastyka, film, teatr), planowano dużo miejsca przeznaczyć dla eseistyki, krytyki i teorii sztuki, przy zachowaniu charakteru pisma literackiego.

W artykule programowym L. Szymańskiego pt. „Zadania młodych twórców” (nr 9) także nie było postulatów teoretyczno-literackich, nacisk położono natomiast na zagadnienia politycznego usytuowania młodego twórcy:

„Pisarza obowiązuje uczciwość wobec siebie, swojej sztuki i społeczeństwa. Nie zgadzamy się na oportunizm i konformizm uzasadniony chociażby najszczytniejszymi zasadami. Należy przestrzegać zasad moralności i etyki. Nie wierzymy, że prawdziwego pisarza mogą nie interesować problemy polityczne i że można istnieć bez samookreślenia politycznego.

Zdajemy sobie sprawę, że program negacji już nie wystarcza. Negacja wpływająca choćby z najbardziej szlachetnych źródeł nie da dziś nic. Musimy konkretnie działać. Nie wolno nam stać na uboku. Upowszechnienie kultury, skierowanie uwagi młodzieży na sprawy artystyczne, uaktywnienie kulturalnie zaniedbanych prowincji, a zwłaszcza Ziemi Zachodnich, pomoc dla twórców regionalnych – oto pobieżnie naszkicowane zadania stojące przed nami

<sup>9</sup> Por. przyp. 3.

<sup>10</sup> Podsumowanie tęsknot. *Współczesność* 1965 nr 23 s. 2.

<sup>11</sup> Szczegóły zob. *Poezja* 1976 nr 7/8 s. 163.

wszyscy, którzy nie mieścili się – z racji swojej młodości lub braku konkretnych koneksji towarzyskich – w sferach redakcji *Nowej Kultury* czy *Przeglądu Kulturalnego*, przychodzili właśnie na Ludną, następnie na Wspólną, później na ul. Kopernika, na Krakowskie Przedmieście...<sup>6</sup> W 1956 ukazały się tylko dwa numery pisma. Drugi numer redagowany był także przez E. Kabatca i A. Korczaka; ukazał się w połowie listopada dzięki poparciu nowego ministra kultury i sztuki Karola Kuryluka.

W tym czasie wśród członków Współczesności nastąpiło starcie, w wyniku którego Kabatek odszedł z kolegium. Pisał on na ten temat: „Moje rozmowy (z udziałem Śliwonika i Wieczorkowskiego) z bardzo rewolucyjnym wówczas ZMS-em (Lenart) na temat stworzenia wspólnej platformy ideowej nie spotkały się z aprobatą Szymańskiego – on wołał pójść do Pax-u”.<sup>7</sup> Kolejny, 3 numer pisma (I 1957) zredagowany był już bez udziału Kabatca, natomiast do kolegium przystąpili: A. J. Wieczorkowski (nr 3–4) i J. Z. Bolek (nr 3–5). Od nru 4 do nru 10 z 1958 podawano w stopce redakcyjnej przybywających współpracowników; byli to m.in. (nr 4): Wojciech Albiński, Zbigniew Boniecki, J. S. Czajkowski (należał następnie do kolegium redakcyjnego numerów 11–34), A. Delinikajtis (w kolegium nrów 10 i od 19), M. Ośniałowski (w kolegium od nru 5)<sup>8</sup>, Zdzisław Pietrzak, J. Prokopiuk (w kolegium nrów 5–10), Kazimierz Szubert, Józef Waczków, Antoine Slenzak, Zbigniew Zapert, (nr 5:) Zbigniew Dolecki, M. Malcharek (w kolegium od nru 7), Waldemar Lach, Mikołaj Bieszczadowski, Wiesław Rustecki, Piotr Graff, (nr 6:) Władysław Makomaski, Leszek Okołów, Sławomir Suchański, Z. Irzyk (w kolegium od nru 7), Jerzy Łojek, Maria Szypowska, Zygfryd Sawko; (nr 8:) Bogdan Barej, Leszek Moczulski; (nr 10:) Andrzej Brycht (w kolegium nrów 27–30). Z pismem i grupą literacką współpracowali także autorzy, których określano jako pisarzy z kręgu Współczesności; byli to m.in. K. Choiński, S. Swen Czachorowski, A. Dobosz, J. Gielo, I. Iredyński, M. Kotowska, J. Krasieński, M. Leja, L. Marjańska, M. Nowakowski, W. Odojewski, J. Szczawiński, M. Szypowska, P. Wierzbicki. Do osób współpracujących z pismem zaliczano tak młodych piszących, jak i plastyków, muzyków, publikujących we *Współczesności* (zamieszczano w niej m.in. recenzje z wystaw, koncertów, premier filmowych, wystawień teatralnych, kabaretów).

Początkowo grupa wydawała pismo bądź w oparciu o jednorazowe dotacje (np. subwencja Koła Młodych przy ZLP w Warszawie), bądź ze środków własnych członków Współczesności lub też „na kredyt” (pismo drukowano na papierze z nadwyżek RSW „Prasa”, nie płacono honorariów, członkowie redakcji sprzedawali pismo wprost na ulicach, dworcach, na dziedzińcu uniwersytetu). Na wspomnianym wyżej spotkaniu jubileuszowym 29 kwietnia 1986 Śliwonik mówił także o jednorazowej pomocy Jerzego Putramenta w wysokości dwóch tysięcy złotych oraz dotacji z Ministerstwa Kultury i Sztuki (dwadzieścia tysięcy). Tekst podziękowania wydrukowanego w 4 numerze *Współczesności* z 1957 roku świadczy o tym, iż wydanie pierwszych numerów pisma poparł swym nazwiskiem m.in. Jerzy Broszkiewicz, Jarosław Iwaszkiewicz, Leon Kruczkowski, Edmund Osmańczyk, Jerzy Putrament, Mieczysław Rakowski, Jan Wyka i Jerzy Zagórski. Problemy finansowe skończyły się w kwietniu 1958, gdy najpierw pismo związało się ze Stowarzyszeniem Pax, a następnie w czerwcu tegoż roku przeszło pod opiekę Biura Wydawniczego „Ruch” i Wydawnictwa Prasowego „Ruch”.

O powiązaniach grupy Kazimierz Koźniewski pisał: „Szymański holendrował. Najpierw brał pieniądze od kogo się dało i obszcze kiwał *Po prostu* oraz ZLP. Potem – w lutym 1958 – podłączył *Współczesność*, ku grozie paru najbliższych przyjaciół do katolicko-prorządowego

<sup>6</sup> Z. Irzyk: *Fascynacje i negacje. Poezja 1976* nr 7/8 s. 161–164, *Pokolenie Współczesności*.

<sup>7</sup> Fragment odpowiedzi E. Kabatca na ankietę dotyczącą jego udziału w grupie (VII 1985).

<sup>8</sup> Według Z. Irzyka – M. Ośniałowski uczestniczył w redagowaniu także wcześniejszych numerów pisma, nie wyrażał jednak zgody na podawanie jego nazwiska w stopce.

zniecała zażądać papieru na pismo młodzieżowe. Zaskoczony Gomułka się zgodził. Stąd wzięła się «Współczesność» wielokrotnie później zmieniająca oblicze. Słusznie. Bo jakże inaczej dotrzymać kroku własnej nazwie».<sup>3</sup>

Rolę Szymańskiego w zorganizowaniu i podtrzymaniu przy życiu *Współczesności* w początkach jej istnienia docenił Kazimierz Koźniewski: „O Leszku Szymańskim, pierwszym organizatorze i redaktorze naczelnym *Współczesności*, napisano już wiele nieprzyjemnego: że bezczelny, arogancki cwaniak, który niezwykłym sprytem potrafił ukrócić bicz z piasku. Bez żadnego stałego mecenasa państwowego wydał w ciągu piętnastu miesięcy 1956–57 roku dziesięć numerów parustronicowego półtoramiesięcznika. Potrafił wymusić niejaki zainteresowanie tym pismem. Potrafił, na początku 1958, znaleźć dlań regularnego wydawcę i sprawić, że od lutego 1958 *Współczesność*, dotąd efemeryczna, stała się pismem, jakie przez następnych piętnaście lat będzie się ukazywać z dokładną, dwutygodniową regularnością. W każdym numerze coraz bardziej gromadząc wokół siebie młodych, autentycznych poetów i prozaików».<sup>4</sup>

Pierwszy numer pisma *Współczesność*<sup>5</sup>, wydany przez Grupę Literacką, ukazała się pod koniec października 1956 z datą: 1 X 1956. W stopce redakcyjnej widniały nazwiska Szymańskiego, Śliwonika, Siewierskiego i Chacińskiego; według świadectwa Siewierskiego w jego przygotowaniu uczestniczyli też Bolek i Ośniałowski. Numer ten zawierał obok tekstów członków kolegium także utwory autorów, którzy ze *Współczesnością* współpracowali odąd stale: wiersze Wojciecha Barańskiego, Wojciecha Albińskiego, Jerzego Z. Bolka, Zygryda Sawko, przekłady Mikołaja Bieszczadowskiego, prozę Magdy Lei i Moniki Kotowskiej, a nadto artykuł Jana Wyki poświęcony młodej literaturze oraz tekst redakcyjny pt. „O sytuacji młodych”.

Nazwa grupy, a także pisma, zaproponowana przez J. Siewierskiego (kontrpropozycja: Gong) pojawiła się, według świadectwa tegoż autora, w kwietniu 1956 roku.

Nieliczna początkowo grupa piszących szybko powiększała się: Z. Irzyk, członek kolegium numerów 7–20 *Współczesności* wiązał to z faktem istnienia pisma właśnie: „ci

<sup>3</sup> Pół wieku. Przełom (III). *Mies. Lit.* 1970 nr 12 s. 123.

<sup>4</sup> K. Koźniewski: *Współczesność, czyli pożycie z rzeczywistością. Profile czasopism. Polityka* 1981 nr 39 s. 10–11.

<sup>5</sup> *Współczesność*, niereg., od lutego 1958 dwutygodnik. Warszawa 1956–59 [po rozwiązaniu grupy pismo wychodziło nadal do 1971] (od października 1956; 1956 nr 1–2, 1957 nr 3–10; od 15 lutego 1958 nr 11 dwa razy w miesiącu). Wyd.: Grupa Literacka *Współczesność*; od 15 lutego do 1 czerwca 1958 (nr 11–18) Stowarzyszenie PAX; od 15 czerwca 1958 (nr 19/9) PPK „Ruch” (Biuro Wydawnicze „Ruch”, Wydawnictwo Prasowe „Ruch”). R e d. n a c z.: Leszek Szymański; od 16 lutego 1959 (nr 4/35) Stanisław Grochowiak (p.o.). Z a s t. r e d. n a c z.: do stycznia 1957 (nr 1–3) Roman Śliwonik; od 16 października 1958 do 1 lutego 1959 (nr 27/17 – 3/34) Józef Lenart. S e k r. r e d.: w styczniu 1957 (nr 3) Andrzej Korczak; od 15 lutego 1958 (nr 11) Józef Szczawiński; od 15 czerwca 1958 (nr 19/9) Andrzej Chaciński. K o l. r e d.: w 1956–57: Zdzisław Jerzy Bolek (nr 3–5), A. Chaciński (nr 1–4, 7–10), Andrzej Delinikajtis (nr 10), Zbigniew Irzyk (nr 7–10), Eugeniusz Kabatc (nr 2), A. Korczak (nr 2–10), Mirosław Malcharek (nr 7–10), Marian Ośniałowski (nr 5–10), Jerzy Prokopiuk (nr 5–10), Jerzy Siewierski (nr 1–3, 5–10), Lech Emfazy Stefański (nr 10), L. Szymański (nr 1–10), R. Śliwonik (nr 1–4), Aleksander J. Wiczorkowski (nr 3–4). W 1958 (nr 11–18): Kazimierz Augustowski, Jerzy S. Czajkowski, Z. Irzyk, Zenon Komender, A. Korczak, Henryk Kraszewski, M. Malcharek, M. Ośniałowski, Iwo Plachecki, J. Szczawiński, L. Szymański, Józef Wójcik. Od 15 czerwca 1958: Andrzej Brycht (nr 27–30), Ernest Bryll (od nr 31), Janusz Budzyński (nr 33–35), A. Chaciński, J. S. Czajkowski (nr 19–34), A. Delinikajtis, Jerzy Falkowski (od nr 35), S. Grochowiak (od nr 27), Z. Irzyk, A. Korczak (nr 19–10), Aleksandra Korewa (od nr 31), J. Lenart (nr 27–34), M. Malcharek, M. Ośniałowski, Jerzy Radliński (od nr 31), J. K. Siewierski (nr 19–30), Jan Z. Słojewski (od nr 24), L.E. Stefański, Jeremi Strachecki (nr 31–34), Tadeusz Strumff (od nr 27), Andrzej Szmidt (od nr 40), L. Szymański (nr 19–34), R. Śliwonik (nr 19–30), Władysław Lech Terlecki (od nr 31), Barbara Zbrożyna (od nr 35). Z m i a n y p o s t y t.: nr 2–3 *Pismo Grupy Literackiej Współczesność*, od 15 czerwca 1958 *Dwutygodnik literacki. Z m i a n y c z e s t o t l i w o ś c i*: w 1956 i 1957 co miesiąc lub dwa miesiące; od 15 lutego 1958 dwa razy w miesiącu.

EWA GŁEBICKA

## WSPÓŁCZESNOŚĆ\*

Grupa Literacka „Współczesność”.

Inna nazwa: Zespół Grupy Literackiej „Współczesność”.

Warszawa III 1956 – VI 1959.

Grupa literatów skupionych przy czasopiśmie *Współczesność*.

Członkowie: (skład pierwotny) Andrzej Chąciński, Eugeniusz Kabatc, Andrzej Korczak, Jerzy Siewierski [pseud. KWIRYN, (ś)], Leszek Szymański [pseud. L. Sz., Glob], Roman Śliwonik; w 1957 dołączyli kolejno: Zdzisław Jerzy Bolek, Jerzy Stanisław Czajkowski [pseud. Czajan, (Ha-Cza)], Aleksander J. Wieczorkowski [pseud. CHOCHOŁ; do poł. 1958], Jerzy Prokopiuk, Marian Ośniałowski, Zbigniew Irzyk [pseud. (abc), ABC, Arnold], Mirosław Malcharek, Andrzej Delinikajtis, Lech Emfazy Stefański; od 1958 także: Jan Zbigniew Słojewski [pseud. HADRIAN], Stanisław Grochowiak, Józef Lenart, Tadeusz Strumff, od 1959: Ernest Bryll, Janusz Budzyński, Jerzy Falkowski, Aleksandra Korewa, Jerzy Radliński, Władysław Lech Terlecki, Barbara Zbrożyna. – Ponadto krąg pisarzy nie będących członkami kol. red. pisma, m.in. Krzysztof Choiński, Stanisław Swen Czachorowski, Andrzej Dobosz, Józef Gielo, Ireneusz Iredyński, Monika Kotowska, Janusz Krasieński, Magda Leja, Ludmiła Marjańska, Marek Nowakowski, Włodzimierz Odojewski, Józef Szczawiński, Maria Szypowska, Piotr Wierzbicki.

Według świadectwa Jerzego Siewierskiego<sup>1</sup> pomysł powołania grupy literackiej, która nazwana została następnie Grupą Literacką *Współczesność*, zrodził się w styczniu 1956 roku w czasie wieczoru towarzyskiego w domu Szymańskiego. Na jubileuszu *Współczesności* zorganizowanym 29 kwietnia 1986 w Domu Literatury w Warszawie Siewierski wspominał, iż to on właśnie zaproponował założenie pisma młodych. Ostatecznie, w połowie marca tego roku, w mieszkaniu Alicji Wankrac odbyło się spotkanie osób zainteresowanych inicjatywą; przybyło na nie blisko trzydzieści osób, m.in. Zdzisław Jerzy Bolek, Józef Lenart, Monika Kotowska, Marian Ośniałowski, Roman Śliwonik. Zredagowano petycję do władz z prośbą o wyrażenie zgody na powołanie pisma. Znalazł się tam także podpis Marka Hłaski (nie uczestniczył on w owym, wspomnianym przez Siewierskiego spotkaniu, lecz podpisał petycję później); ze *Współczesnością*, gdy powstała, nie współpracował, nie cieszył się też sympatią jej członków.

Oficjalną zgodę na wydawanie pisma zespół otrzymał w sierpniu, a we wrześniu 1956 Szymański pojawił się na zebraniu warszawskiego Koła Młodych ze zredagowaną przez siebie jednodniówką. „Śmiech i drwina towarzyszyły tej prezentacji – wspominał Aleksander J. Wieczorkowski – była to bowiem wydrukowana esencja grafomanii i pretensjonalności, bez ładu, składu i sensu, bez korekty w dodatku. Padła wówczas propozycja, aby przestać szydzić i skorzystać z okazji – było wszak pismo, wystarczyło wejść do kolegium redakcyjnego, aby zrealizować program literacki, który wałkowaliśmy w Kole bez większego rezonansu. Leszek Szymański, spiritus movens grafomańskiej jednodniówki, był tą propozycją zachwycony. W gruncie rzeczy jego ideą nadrzędną było – podpisywać jako redaktor naczelny obojętnie co, obojętnie gdzie i nieważne pod jaką firmą”.<sup>2</sup>

\* Hasło konsultowane z J.S. Czajkowskim, Z. Irzykiem, E. Kabatcem i A.J. Wieczorkowskim (VII-X 1985).

<sup>1</sup> Por. *Współczesność* - rok pierwszy. *Poezja* 1982 nr 2.

<sup>2</sup> Nobilitacja antytezy. *Mies. Lit.* 1977 nr 4 s. 140-142.

Andrzej Pelin: Kajtyś

radą znajomego prawnika, cichaczem przekształciliśmy Grupę Literacką „Współczesność” w... spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością o tej samej nazwie. Rozwiązywało to trudności formalnoprawne, ale ani na włos nie poprawiło sytuacji finansowej pisma. Podstawę jej istnienia stanowiły dochody z prowadzonego na własną rękę kolportażu i nielicznych ogłoszeń, które udało się dla „Współczesności” zdobyć. Na łanach pisma literackiego reklamowaliśmy m. in. zakłady kosmetyczne, prywatne zakłady rzemieślnicze, kawiarnie itp. Stawało się to powodem szyderstw nieprzyjaźnie do nas nastawionej prasy.

Trudności finansowe i permanentny brak papieru

Jak pisał Jerzy Siewierski, „Współczesność” nie płaciła wtedy jakichkolwiek honorariów (przekazywano tylko autorowi 20—30 egzemplarzy pisma), a była kolportowana przez samych członków redakcji i jej współpracowników na ulicach, dworcach PKP, w kinach i teatrach. Jak czytamy we wspomnieniach jednego z redaktorów:

Okolo godziny szesnastej wszedłem na kamienne stopnie przed wejściem do Klubu Prasy na skrzyżowaniu Nowego Świata i Alei Jerolimskich. Na głowie miałem wymiętoszoną czapkę studen-

sprawiły, że „Współczesność”, teoretycznie dwutygodnik, ukazywała się bardzo nieregularnie. W ciągu pierwszego roku istnienia pisma udało się nam wydać zaledwie osiem numerów, a fakt wydania każdego z nich, prawdę mówiąc, graniczył z cudem. Z każdym numerem było zresztą trudniej. Rosło zadłużenie, drukarnie domagały się zapłaty zaległych rachunków, wysychały źródła dostaw papieru, „Ruch” w dalszym ciągu odmawiał kolportażu. Poza tym musieliśmy z czegoś żyć. Przypominam, że „Współczesność” nie płaciła swoim redaktorom ani honorariów, ani symbolicznych nawet pensji.<sup>40</sup>

cka, pod pachą piłk około stu numerów czasopisma o nieznanym nikomu tytule. Po kilkunastu sekundach otoczył mnie zwarty tłum ciekawozolmiskich. Na głowie miałem wymiętoszoną czapkę studen-

<sup>40</sup> Tamże, s. 3.

ne zostały wszystkie numery. Byłem oszołomiony tym, co się stało... Podobne były wróżenia i innych kolegów rozprawiających „Współczesność” w innych punktach

Caołość spraw finansowych pierwszej „Współczesności” prowadził samodzielnie Leszek Szymalski, którego inicjatywie pismo zawdzięczało swe powstanie i przetrwanie najtrudniejszego okresu. O powodzeniu finansowych i organizacyjnych działań Szy-

miasta, pod Uniwersytetem, przed Politechniką (odbywał się w niej właśnie wielogodzinny, burzliwy wiec) i przed siedzibą Związku Literatów Polskich.“



mańskiego zdecydowały zapewne jego cechy charakteru, tak określone przez Kazimierza Koźniewskiego:

Inspiratorem tej gromadki [mowa tu o grupie „Współczesności”] przyp. M. Ch.] był niejaki Leszek Szymański — ktoś dziś pamięta tę postać? — półcwaniak,

Oczywiście inaczej wspominają postać Szymańskiego jego najbliżsi współpracownicy z pierwszej „Współczesności”:

Starania o utworzenie samodzielnego pisma młodzieżowej literackiej rozpoczął Szymański od rozmów z ówczesnym kierownictwem ZLP. Wyobrażam sobie, jakie musiało być zdumienie i rozbałwienie osób, do których zwrócił się niktomu nie znany, niechłujnie ubrany młody człowiek z włosami zlepionymi tłustą brylantyną, domagający się w sposób stanowczy w imieniu jakiejś enigmatycznej „grupy literackiej młodych”, aby ZLP utworzyło dla niej — i to natychmiast — organ prasowy...

Młodzieńca wysłmano i w ogóle nie chciano z nim rozmawiać. Szymański był jednak człowiekiem, którego nie sposób było speszyć. Należał do gatunku tych, którzy wyrzuceni jednymi drzwiami natychmiast pukają do dru-



Leszek Szymański

gich, a gdy i te zostają zamknięte, bez żenady wiażą do wnętrza przez okno. Wiele mieścięcy później ta właśnie cecha jego charakteru

Znaczną pomoc powstającemu pismu okazał Zarząd Główny ZLP i szereg starszych pisarzy — szczególnie zaś Jerzy Putrament i Stanisław Ryszard Dobrowolski. Prawdopodobnie kilku znanych autorów przekazało również Szymańskiemu część własnych honorariów, przeznaczając je na finansowanie druku „Współczesności”. W czwartym numerze pisma na pierwszej stronie ukazało się w związku z tym następujące Podziękowanie:

Redakcja wyraża serdeczne podziękowanie pp. J. Broszkiewiczowi, J. Iwaszkiewiczowi, L. Kruczkowskiemu, J. Mondowi, S. Mielkowskemu, E. Osmańczykowi, J. Putramentowi, M. Rawadce, J. Zagórskiemu (Ruch), M. Jędrzejewskiemu (Ruch), K. Kuskowskiemu oraz tym wszystkim, którzy pomogli nam w ciężkim okresie wydawania pierwszych numerów.

Pierwszy numer „Współczesności” — jeszcze jednodniówki — nosił datę 1 października 1939 roku, a ukazał się w listopadzie tego roku. Zawieśm osiem kolumn wydrukowanych w nakładzie egzemplarzy. W jego stopce redakcyjnej cz

42 Koźniewski, op. cit., s. 1.

43 Siewierski, op. cit., s. 7.

nej literatury krytycznej. Zatem ograniczamy się tylko do przypomnienia najbardziej podstawowych wyróżników pokoleniowej odrębności interesującej nas generacji, wyróżników istotnych z punktu widzenia dziejów dwutygodnika.

Istnieje duża różnorodność stosowanych w praktyce i w konstrukcjach teoretycznych definicji terminu „pokolenie literackie”<sup>3</sup>, a interesująca nas generacja „Współczesności” realizuje poniekąd wszystkie te definicyjne schematy. I tak będzie to równieśnicza grupa autorów urodzonych między 1930 a 1935 rokiem (z wyjątkiem Zbigniewa Herberta i Mirona Białoszewskiego — rówieśników „Kolumbów”, którzy zostali zaliczeni do „pokolenia 56” ze względu na daty debiutów książkowych i charakter twórczości), dla których wojna jest tylko wspomnieniem dzieciństwa, których młodość upływała pod znakiem Związku Młodzieży Polskiej. Pisarze ci debiutowali w prasie między 1951 a 1957 rokiem, pierwsze książki wydawali w latach 1955—1959 — w przypadku niektórych autorów zwykliśmy tu niekiedy mówić o tzw. debiucie powrotnym<sup>4</sup>. Ich wspólnym przeżyciem pokoleniowym stały się wydarzenia zapoczątkowane przez śmierć J. Stalina, następnie przez XX Zjazd KPZR i październik 1956 roku, przemiany o bardzo istotnym znaczeniu pokoleniotwórczym, bowiem:

<sup>3</sup> Zob. np. Janusz Maciejewski, *Kategorie pokolenia w badaniach literackich*, (w:) Janusz Maciejewski, *Przedburzowizmy. Z problematyki przełomu między romantyzmem a pozytywizmem*, Kraków 1971, Kazimierz Wyka, *Pokolenia literackie*, Kraków 1977.

<sup>4</sup> Szerzej istotnych uwag na temat okoliczności debiutów autorów pokolenia „Współczesności” zawiera szkic Zbigniewa Bańkiera, *Pokolenie 56 — mechanizm debiutu*, „Poezja 1976, nr 7/8, s. 3—18.

awans jednak określonych roczników do roli pokolenia literackiego jest do pewnego stopnia dodatniego rezultatem dodatkowego sprężenia między ich przedysponowanymi a nastaniem nowej, wyrażające odmiennej sytuacji, która wysuwa nowe zadania kulturowe. Zmiana ta zachodzi bądź to w sferze polityczno-społecznej, bądź to w sferze duchowej, światopoglądowej<sup>5</sup>.

Negatywną tradycją, punktem odniesienia, była dla nich literatura i sztuka realizmu socjalistycznego w wydaniu z lat 1949—1955, jego schematyzm i uproszczenia w sposobie przedstawiania świata, poetyka. Zaprzeczenie poszczególnych postulatów rodem z owej tradycji negatywnej było podstawą zarysu programów i tendencji wstępującego pokolenia — dopiero w późniejszym okresie rozpoczęli pisarze „Współczesności” poszukiwania tradycji pozytywnej, podejmowali próby tworzenia konkretnych postulatów pod adresem literatury, sztuki. W ramach pokolenia „Współczesności” istniały grupy programowe o nieco wyższej, niekiedy w wielu szczegółowych hasłach rozbieżnej, świadomości artystycznej (np. poznański „Wierzbak” czy krakowska „Muszyna”). Będzie to zatem pokolenie pełne, wewnętrznie zróżnicowane, a przy tym świadome swej odrębności od poprzedników. Największą trudność sprawia usystematyzowanie jakiegoś możliwie jednoznacznego i dyskusyjnie sformułowanego programu pokolenia „Współczesności”. Jan Błoiński w *Zmianie warty* wysuwał — co można tłumaczyć brakiem odleglejszej perspektywy czasowej — wnioski negujące zasadność twierdzenia mówiącego o odrębności tego pokolenia:

<sup>5</sup> Henryk Markiewicz, *Przedmowa do Kazimierza Wyki, Pokolenia literackie*, Kraków 1977, s. 8.

Wydawnictwo  
Literackie

WYDAWNICTWO  
LITERACKIE  
Rozdział 10

Opracowanie graficzne:  
Miroslaw Malcharek  
No 12 produkcja

Recenzent:  
prof. dr hab. Walery Pisarek  
Redaktor:  
Andrzej K. Waśkiewicz  
Korektor:  
Krystyna Bajkiewicz

Maciej Chrzanowski

# OBLICZA „WSPÓŁCZES- NOŚCI”

O prawo

Komercyjnego  
przedruku, proszę  
się zwrócić do  
Autora.

Sandauer.

Inspiratorem tej gromadki był niejaki Leszek Szymański — ktoś zis pamięta tę postać? — pół cwa- niak, pół mętniak, cały hochsztapler, który po kilku latach, naclagnawszy wnych opiekunów z „Paxu”, wyładował na zawsze aż w Indlach. Szymański rychło zorientował się, że do wydawania pisma nie wystarczy je- inorazowe, kapryśne, tu i ówdzie wyzebrywane subwencje, że należy się oprzeć na jakimś bardziej solid- nym źródle finansowym. Wybrał „Pax”, choć, dalibóg, akurat z tą koncepcją ideowo-polityczną grupka młodej, warszawskiej sul generis cy- ganerii najmniej miała wspólnego. Gdy za dalekimi horyzontami znik- ał Szymański — pismo objął poeta najprawdziwszego zdarzenia, Sta- nislav Grochowiak, który wpraw- dzie nie zdołał zmienić lekkomyśl- nych nieco obyczajów panujących w espole, ani, powiększyć niziutkiego akładu, ale dokonał zamiany wyda- wcy: „Współczesność” zaopiekował się „Ruch”, z biegiem lat przekazu- ac dwutygodnik do RSW „Prasy”, o było już początkiem jakiejś rze- czywistej stabilizacji zespołu i kro- kiem ku klarowaniu się bardziej wy- ażnego profilu pisma. Była to epoka y dziejach „Współczesności”: nader urzliwa — młodzi poeci i publicy-

dokonana została analiza sytuacji w estetyce marksistowskiej: w jakim stopniu ta mało skodyfikowana dzie- dzina myśli marksistowskiej odpo- wiada, a w jakim nie odpowiada, współczesnemu rozumieniu sztuki i jej zadań. Niemal przez cały ostatni rok publicyści i naukowcy zajmo- wali się w dwutygodniku różnora- kimi problemami współczesnej per- cepcji w humanistyce i filozofii, myśli Lenina (cykl „Lenin dzisiaj czytany”).

## WOKÓŁ POJĘCIA NARODU

Najbardziej charakterystyczną dy- skusją, od dwóch lat toczącą się na łamach dwutygodnika, a podejm- waną okazjonalnie i nie zawsze po- ważnie przez inne pisma, jest cykl około trzydziestu artykułów i szki- ców, różnej wagi i wartości, konse- kwentnie i z uporem podejmujących analizę pojęć takich, jak socjalisty- czny patriotyzm, tradycja narodowa, naród, internacjonalizm oraz zwi- azane z nimi zjawiska negatywne, jak nacjonalizm czy nihilizm naro- dowy. Były to w artykułach prof. J. J. Wiatra próby określenia specy- ficzności „patriotyzmu socjalistycz- nego” zrodzonego w walkach ruchu robotniczego, stanowiącego nową ja- kość w rozwoju świadomości naro-

jednym komentarzem, ale cała, u paru już lat trwająca, tutaj tylko za- sygnalizowana, ciekawa i ważna publicystyka tego pisma.

## FORUM ESEISTÓW

Przed dziesięciu laty zostało sfor- mulowane — mocno na wyrost — pojęcie pokolenia literackiego „Współczesności”. Miała to być gru- pa młodych piszących — jeszcze nie pisarzy! — którzy bądź w 1956 r. bądź wkrótce potem debiutowali nie obciążeni żadnymi skazaniami socrealizmu ani serwitutami moral- nej problematyki okresu tzw. kultu jednostki. Próbowano przypisywać im rozmaite pokoleniowe, wspólne cechy. Rzeczywistość pisarska roz- minęła się z prognozykami i tych wspólnot. Poszczególnych pisarzy, którzy wyszli ze „Współczesności”, trudno razem klasyfikować, a i pismo jeszcze do niedawna upiegające się o przymiotnik pokoleniowy, straciło — jak się wydaje — te zain- teresowania. Każdy z eks-współcze- śnościowców stał się, naprawdę współczesny, przez swój indywidual- nizm, przez własny wyraz literacki. Być może, że w wyniku różnorakich spekulacji można by ustalić jakiś wspólny mianownik, łączący np. Bryllę z Grochowiakiem, Terleckie- go z Kuncewiczem, Nicikowskiego z Marszałkiem czy Mętraka ze Sło- jewskim, ale byłaby to spekulacja dość ryzykowna. Jeżeli już op mia- łoby być tym mianownikiem, to tyl- ko — mimo wszelkie gesty roman- tyczne poezji Bryllę! — jakiś zasad- niczy, jednak im wszystkim wspólny racjonalizm, każący z dużą dozą sceptycyzmu podchodzić do rozma- itych mitów lansowanych w naszej literaturze i publicystyce.

Jest to jednak raczej określenie tego pokolenia „literackiego, która zrodzone w łonie „Współczesności”, w zasadzie już pismo opuściło, nie tworzy ono żadnej wyraźnej grupy literackiej, działa na zasadzie odreb- nych indywidualności. Na łamach samej, dziś istniejącej, „Współcze- śności” literatura piękna nie odgry- wa specjalnej roli. Kolejne następne już pokolenie młodych piszących pu- blikujących swe utwory między in- nymi w tym dwutygodniku, prezen- tuje nam literaturę dość jałową, nudną, nader letnią, rozgadana, ukazującą rzeczywistość nie w obra- zach realistycznych, drabiniowych, pamfletowych nawet, ale jakby przez mgły półsennych majaczeń. Być mo- że, iż to pokolenie — jak każde — przejdzie przez swoje stadium wzro- stu, odrzuci się z gnębnych je- manierizmów, utraćni bardziej in- teresujące indywidualności. W tej jednak chwili pismo częściowo opu- ściła (pozostając nawet w pewnych sentymentalnych z nim skojarze- niach) grupa uformowanych twór- ców poprzedniego literackiego poko- lenia, a jeszcze się nie uformowała grupa następnego pokolenia. Na- leżąc przy tym, żeby dobra szkoła pisarzy miała być ta szkoła kryty- ków literackich, która ujawnia się we „Współczesności” w cyklu arty- kułów Andrzeja Mencwela. Jego je- zyk publicystyczny błą wszelkie re- kordy nieproporcjonalności i pretensjo- nalności.

Najsilniejszą stroną prozy dzisiejszej „Współczesności” są reportaże społeczne (T. Strumf, K. Debnicki), ale stanowią one rzadkość w tym piśmie.

# WSPÓŁCZESNA „WSPÓŁCZESNOŚĆ”

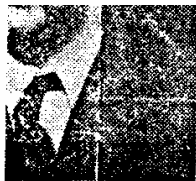
ci prowadzili wojnę przeciw nie- stety (niestety: nie wszystkim — to byłoby bardziej prawidłowe) ustalonym słowom literackim, nie uważając przy tym na wyrządzone niesprawiedliwości i krzywdy. Fale wewnętrznych napiętności zespołu ciągle były rozkołysane: redaktorzy zaczęli zmieniać się, z zespołu od- chodzili jedni, przychodzili doń inni. Tak fermentowała każda z której od- nętnów zaczęli się wyłaniać pojedyn- cy, wyraźni, indywidualni twórcy: Ernest Bryll, Władysław Terlecki, Włodzimierz Odolewski, Ireneusz Iredyński, Roman Sliwonik, Marek Nowakowski, Andrzej Brycht (ten ostatni na długo został przy „Paxie”, choć też pochodzi ze źródła „Współ- czesności”). Fermentacja była zresz- tą ostra: w styl życia niektórych twórców in statu nascendi ingero- wać musieli i prokuratorzy i sędzio- wie. Prócz tego sytuacja ideowo-po- lityczna pisma była jeszcze pełna dwuznaczności.

W tym względzie dzieło pisma — i to było pewnie nader charakte- rystyczne wydarzenie. W lecie 1963 r. „Współczesność” na czołowym miej- scu umieszcza artykuł związany z „Paxem”: krytyka Zdzisława Jastrzę- pskiego, który za pozytywny głos pokolenia młodych pisarzy czasu okupacji uznał przeprowadzoną przez publicystów konspiracyjną „Sztuki Narodu”, krytykę poezji Tuwima Leśmiana, podjętą z pozycji zde- cydowanie nacjonalistycznych. Za ten artykuł „Współczesność” została

dowej, który nie jest — by zacyto- wać J. Wiatra — i nie może być ideologią narodowej izolacji i zamy- kania się we własnym podwórku. Były to polemiki wrocławskiego na- ukowca Ireneusza Kustrzeby z tymi publicystami, którzy rozpatrując problematykę bytu narodowego, se- parują ją od klasowych kryteriów, stając się — świadomie lub mimo woli — wyrazicielami niemarksisto- wskich tendencji. Kustrzeba — wraz z nim — „Współczesność” ostrzegali przed akceptacją rozmaitych form megalomanii narodowej.

Inicjując spór o tradycję polskiej filozofii narodowej, „Współczesność” dopuściwszy do głosu J. Bańkę, któ- ry domagał się rehabilitacji całej, z najbardziej konserwatywną włącznie, polskiej filozofii XIX w. — zamieszcza niezwykle pryncypialne polemiki Andrzeja Walickiego oraz prof. Konstantego Grzybowskiego. Walicki odrzucił możliwość rehabi- litowania filozofii „antyrewolucyjnej, mistycznej, solidarystycznej”. Grzy- bowski przestrzegał przed „bezkr- tywną gloryfikacją własnego naro- du, uznając, iż jest to nie tylko o- szustwem narodowym, jest — prze- tknięcie w autogloryfikacji własne- go narodu opium bezkrytycznego stosunku do jego wad i niedociąg- nięć — osłabianie sił własnego na- rodu.

„Współczesność” przeprowadziła trafną krytykę cyklu artykułów Ja- na Szewczyka w „Wychowaniu”. Prof. Jarosław Ładosz podjął się



ROCHOWK  
CAF - KOŁOWSKI



Eugeniusz KABATC.  
Fot. Danuta B. ŁOMACZEWSKA



Roman SLIWONIK  
Fot. Włodzisław PNIEWSKI

ścisła, najpierw i ogłoszany w „Przełutnym” potem w *Włosy warty* traktując o bardzo palące, niepisarstwo „amandra”, ich adreśd zasadniczą łasnie o k wielkich mych epoców. „Współ-wielekroć lejmowano Błofiskiej Czynyli to jhdan Drowski, i Jawewski, i Haa Zaworzespu pa ze stron ale Helen Zaworskiej czy tej ok — w 1962 na z najba ej celnych tyk grupy bisma. Na-że Błofiskawiodi sie zsenosci”, p. sadził, że i stwory laturę wielmów, a itymczasem sowato oadce prawd lecz możliunajciekaw-ze dostosnie sie do przjyeli z czywiste”. wali sie — nstawałoa — na technyżnia, a nie z życiu”.

rze dwóhym, 17 listo-r. redakcytorą wów-wał A. Lanowu prz-tery obowjakie Błof-drebniał „Pokolenia snosci”: o ja odmiennielowej, oja nieszczę-a erotyzmbesja lum-riatu. Nie bila ich — rzyznawali żadna obwa ani p'czna. Pier-wienie literie całkowi-łowane włose Ludowiaśnie takjak sformu-worska: nteresoawo-aniem pra świata, tym zmianą, gneli możli-iej dostowić się do tych, tli za rzywiste. W styl (gdymyich pismach iyskusja „Siedmiu grze-łownych” Żalskiego, a snosc” odezwała się o jednym powem) Stani-howiak, zolowym mjei-ru spłwał wyciągnąć tych wtkich rozważeń ani nadekimi i małym . Z wórkobwał uczy-nie je to manifest deklard — za Przybo-rew nia — nową szkołę to mysl „turpizm! Je-” ogło-... Współ-

następnych naczelnych, „Współczesność” — ta „Współczesność” afirmująca rzeczywistość polityczną — zgromadziła niemal całe pokolenie młodych prozaików i poetów (jedyne reportery i literacyści od niej stronią, gdyż ona ich nie potrzebuje — nie drukując niemal reportaży). Nie ma ani jednego prozaika bądź poetę ani jednego krytyka „pokolenia 56”, który by nie ogłosił utworu bądź artykułu w tym dwutygodniku. Jesien 1957, gdy bardzo brutalnie zamknięto „Po prostu”, stała się szansa „Współczesności”. Po likwidacji „Po prostu” i wielu innych, powstałych na fali październikowej, pism młodych wydawanych w miastach uniwersyteckich — „Współczesność” pozostała na placu, jako jedyny periodyk literacki młodego pokolenia. I całe to pokolenie — nie wyłączając Mirona Białoszewskiego, Zbigniewa Herberta, Tomasza Burka — znalazło się w tej „Współczesności”, nadal istniejącej, gdyż nie obciążonej skazą jakiegokolwiek buntu politycznego. Nagle zaczęła profitować neutralna ostrożność z poprzedniego okresu — zaczęła dawać prawo, by w sytuacji popaździernikowej, nowej stabilizacji, „Współczesność” mogła stać się pismem otwartym, liberalnym, walczącym przeciw schematycznej, socrealistycznej literaturze na rzecz literatury ciemnej, pesymistycznej, eskapistycznej, literatury rezygnującej ze stawiania wielkich i zasadniczych pytań, interesujących się przede wszystkim techniką i obyczajem życia codziennego.

Czy była to literatura już po buncie? Nie jestem pewien, czy tak to należy określić. Była to raczej literatura, w której nigdy jeszcze nie doszło do buntu. To była od samego początku literatura zgody na rzeczywistość — rzeczywistość oglądana poprzez pokoleniowo obsesję. A obsesja ta była rezultatem i wydarzeń historycznych, i odebranego wychowania.

Nikt z młodych pisarzy nie zboldował być „Współczesność” za to, że wykorzystuje sytuację jak gdyby dwuznaczną — bowiem dwutygodnik korzystał teraz na zamknięciu „Po prostu”. Było im wszystko jedno: „Po prostu” czy „Współczesność”. Drukować — to było dla nich najważniejsze.

**Za iaka cene?**

establishment zaakceptowała i zo-  
stała przezeń zaakceptowana.

## SERIAL POLITOLOGICZNY

"Współczesność" czyli rzeczywistość. Literacka zgoda na rzeczywistość. Takie było pismo robione przez Stanisława Grochowiaka i jego trzech następców. Grochowiak był redaktorem naczelnym przez rok, Witold-Dąbrowski niemal przez dwa lata, Stanisław Kuszewski — znów przez rok, Andrzej Lam przez lat sześć. W lipie 1966 roku redaktorem naczelnym dwutygodnika został Józef Lenart, od jesieni 1958 roku związany z piśmem stałym — z roczną przerwą w czasie kadencji Grochowiaka — udziałem w kolegium redakcyjnym.

Lenart objął pismo — i z miejsca poprzestawał w nim zasadnicze akcenty. Z pisma literackiego, które wyrażało zgodę na rzeczywistość, na pismo literacko-politologiczne (tak by to należało określić), które silnie pragnęło uczestniczyć w przemianach tej rzeczywistości. A to już jednak nie było to samo.

Ale uczestniczyć — i w tym było nowum w praktyce tego rodzaju pism — nie publicystyka i reportażem, ale esejem, rozprawą teoretyczno-naukową. Była to polityka wy-prowadzona nie z codzienności i nie z pragmatyki, ale z teorii, z nauki. Jeśli słowo „nauka” ma cokolwiek wspólnego (moim zdaniem nie ma) z małym (wspólnego) z domeną polityki i światopoglądu. W rozprawach tych i esejach teorie klasyków marksizmu konfrontowano z aktualnymi badaniami, ułożycielami socjologicznych i filozoficznych. Głównymi współpracownikami pisma stali się w ciągu 1937 roku doktorzy docenci J. J. Wiąti, J. Jarosław Ładosz, Ireneusz Kustrzeba, Jan Szewczyk, Jan Kurowicz, Janusz Michałki, Stanisław Kozyra-Kowalski, Jacek Syski i tuzin innych. Cykle ich artykułów — ogromne, dochodzące do dwudziestu i więcej tekstów, kontynuowane były miesiącami: „Lenin dzisiaj odczytywany”, „Marksizm i niemarksiści”, „Ideaty i świat współczesny”, i inne. Jedne cykle rozkładały się sprężyście i były jasno rozpalitowane, inne rozpyływały się w meandrach i błędziły po manowcach. Autorzy analizowali marksz-

eznej — doszło do gorących politycznych, „Współczesność” by spróbowała usunąć się z tej sprawy. Choć sam Leśniewski nie wyrażał silnego niezadowolenia na forum Związku Literatów, w rzeczywistości dwukrotnie wyrażał swój sprzeciw. Były to (poza pojedynczymi kampaniami) echo — oczywiście z stanowiska ówczesnego — i twa partii, ale echo swą siłą i skutecznością sugerujące przymus a nie ochotniczość. W literackiej „pokolenie” nie było się z umiarem. Znowo respektowało siłę polityczną. Jeszcze ciagle najważniejszych własny status literacki — jak potem wykazywały utworów — nad dziełami, były ich wprowadzić na oświatę literatury. Nie piastowali najważniejsze — od latwo politologom. Właściwie — to było najważniejsze.

## WOLNO SPEKULOWAĆ

Na przełomie 1970 i 71, gdańskich zmieniło kierownictwo partii, między Lenartem a nowymi szefami, zarysowała się już szczelina różnicy politycznej, nader wstrzemięźliwej, a nowa sytuacja partyjna. A oto literaci warszawscy, szcze w chwilach politycznych, zażądali dla siebie prackiego, nowi kierownicy kulturalnej uznali, iż na okazja ubicia dwóch kacy, nym strzałem. „Współ” okazała się partnerem, stała nie miała za sobą jawnej pści wśród czytelników. „sność” przekształcono w „godnik”, w „Literaturę”, po pismo zupełnie innemu rektorzemu. W październiku niemy protest przeciw wywici pisma wyszedł ze się to robi: do służby dynej — Józef Lenart. Nowego nie mianowano. W 1971 ukazał się ostatni nr tygodnika — z obłudnym czeniem pogwałconej redy, prawdziwie wyjaśniającym likwidacji pisma. Pisma, i wybitną rolę odegrało w waniu się całej plejady poarzy współczesnych, ich „56”. Pismo, które „pokoleni” łączyło z polską rzeczywistością. Które — faktem — oraz otwartą polityką redakcyjną, amortyzowało potencjał między emocjami tych pówczesną polityką kulturalną i partii.

Proces radykalizowania  
tycznego pisarzy „pokolenia  
li pokolenia „Współczesność  
się dopiero w połowie lat  
dziesiątych, już po  
„Współczesności”. Wolno  
wać, czy nieobecność tego  
nawet w tej jego ostatniej  
tologicznej i czysto marksis-  
formule — miała w tym pry-  
dykalizacyjnym jakiś św-  
Wolno spekulować!

Artykuł powyższy jest jakby  
ze 140-stronicowego eseju o „Wła-  
ści” napisanego do kolejnego  
stosunku co tydzień.

yczo-literackich, proza-poetyckich nad publiczno-społeczną z reportażem. To było — od samego — pismo przede wszystkim na literaturę i sztucę w o wiele dalszej koła sprawy społeczne. Stąd anizowane zainteresowanie nikim w szerszych krę-  
gach.

Ile jednak, iż „Współczesność” nie została przede wszystkim literackie i o literaturze iedziele zbyt mało. Litera-ze była formą ideologii, była ideologia tego pi- jest pytanie najważniejsze. zgoda na rzeczy- Jeszcze jesienią 1958, gdy „axu” przeszło do „Ruchu”, art opublikował artykuł, w ategorycznie i jednoznacz- larował udział współreda- wspópracowników „Współ- po stronie tworzącego się socjalizmu. A w kilka ty- niej, gdy Marek Hłasko e zdecydował się pozostać a, zawsze mu niechętna „spółczesności”, z Szymań- chowickiem, Lenartem na blikowała dyskusję odsa- łaskę od czci i wiary. I gdy cy temu sądowi nad Hła- k Szymański w pół roku z został za granicą — ze- na, już kierowany przez aka, opublikował oświad- wbrew informacjom Szy- o, „Współczesności” nigdy było tak dobrze, jak na i państwowego wydawcy. j, i tak dalej.

czenia lojalności wobec so- nego ustroju państwa lu- gęda się mnożyły przez wszy- pisma. Ale nie one świad- ódzie „Współczesnych” na- łość. Świadczy o tym lite- oczja, proza, dramat — za- ora — „Współczesność” nie emkiem młodych grafo- najchętniej zamawiała się ziczna, moralna obyczajowa tanów i sytuacji marginesu go. Człowi redaktorzy pi- lyskusji z zawżem przy- Jerzym Putramentem będą prawa do owej, jak na- rnej literatury, pesymizmu, cjalizmu, eskapizmu. Ale to literatura buntu, to była a marginesu. Tę była litera- wająca się od zasadniczych eowych ku anizacji stanów codziennej. Zazwano ją: em małego rżizmu. Jan bardzo wcześnie dostrzegł tę i na przełomie lat pięćdziesią-

zył: „Turpizm wybiera trudną dro- gę afirmacji tego co jest, mniej i w swoistej perspektywie fascynuje się- tym, co może będzie lub co się szczególnie zdarza”. Zaakcentował ważny związek z przeciętnością, na- wet z przeciętną brzydotą i pospoli- tością. Nowym terminem określił bardzo starą postawę pisarską.

W roku 1963 Grochowiak już od dawna nie był redaktorem naczel- nym pisma, już go właściwie zegnał — manifestem „turpizmu” jak gdyby podsumowywał postawę swoją i pi- sma. Postawę wyrażającą zgodę na rzeczywistość, ale zgodę w jej pesy- mistycznym, ponurym, ciemnym, ta- jemnym, marginesowym, nieszczęśli- wym wyrazie. Obsesja nieszczęścia, obsesja lumpenproletariatu — jeżeli te dwa określenia będziemy rozumi- mieć szeroko i metaforycznie, bez za- dnych dosłownych uproszczeń. Stąd anty- albo a-romantyczna postawa wyrażana przez Grochowiaka, wspierana — niekonsekwentnie — przez Terleckiego i paru innych ko- legów z pisma (przy proteście jesz- cze innych — „Współczesność” nig- dy nie prezentowała się monolitycz- nie i na tym jej nie zależało). Gro- chowiak tak jak kiedyś, w 1959 roku, sformułował w artykule „Karabela została na strychu”. Poszerzył w re- cenzji z powieści komilitona z dwu- tygodnika — Janusza Krasieńskiego, kiedy to skrytykował „samosier- szczyne” naszych minionych działań narodowych; może dlatego potem już „Współczesność” dyskusję o ksi- ężce Zbigniewa Żaluskiego skwitowa- ła milczeniem; swoje już powiedzieli, woleli ostrożnie milczeć. Błóński ich rugał za omijanie prawd świata, Za- worska charakteryzowała: „koncen- trowali się na technice życia, a nie na wiedzy o życiu”. Grochowiak stawiał sprawę jasno: „afirmacja te- go co jest”. A więc zgoda na rzeczy- wistość! „Współczesność”, która pi- smem gniewnych nigdy naprawdę nie była — była przez wiele lat, gdy dyrygowali nią Stanisław Gro- chowiak, Witold Dąbrowski, Stani- sław Kuszewski i Andrzej Lam, pi- smem dostosowujących się. I jako takie właśnie pismo — takie a nie inne! — zgromadzi wokół siebie og- romną, przytłaczającą większość pi- szących z „pokolenia 56”. Musiało minąć dopiero następnych lat pię- tnastcie, nim ci „współcześni” — byli „współcześni” — już łysiejac, odkry- wają swoją porcję nieskonsumowa- nego w młodości gniewu życiowego.

#### PEŁNA PALETA

Począwszy od chwili, kiedy reda- kcję pisma objął Stanisław Grocho- wicki, i potem przez kadencje trzech

postawy ideowej nie interesowała ich jako twórców. „Współczesność” bardzo dokładnie odzwierciedlała rzeczywistość. Tę rzeczywistość, któ- ra uformowała się w rezultacie Paź- dziernika, a która polegała na odrzu- ceniu całkowitym stalinizmu, za- akceptowaniu pewnego pluralizmu ustrojowego (rola Kościoła w pań- stwie, prywatna własność wiejska), odrzuceniu — w domenie sztuki i nauki — zasad socrealizmu.

Zgoda na rzeczywistość oznaczała również coraz większą akceptację rzeczywistości pisarskiej, akceptację sytuacji w środowisku literackim — oczywiście: tym starszym. „Współ- czasność” nigdy nie była pismem młodych generalnie negujących star- szą literaturę. Przeciwnie: z furją krytykując Kazimierza Brandysa — z entuzjazmem akceptowali Juliana Przybosa i Artura Sandauera. Ata- kowali Antoniego Słonimskiego i ówczesny Zarząd Główny ZLP, ale akceptowali Jarosława Iwaszkiewi- cza i Jerzego Putramenta. Ich anty- patie i sympatie miały nader istot- ne źródła w taktyce politycznej. Lecz z biegiem lat miały furie, rodziły się generalne, środowiskowe akceptacje. Jan Zb. Słojewski zaczął być kiedyś od kaśliwego warknięcia przeciw Marii Dąbrowskiej, która w każdej sytuacji — zdaniem młodego kryty- ka — umiała znaleźć się w wygodny dla siebie sposób. Ale już w kilka- naście miesięcy później młodzi „Współcześni” pielgrzymowali do Marii Dąbrowskiej z kwiatami i dru- kuując jej teksty w swym piśmie, ocenili ją jako pierwszą w polskiej literaturze. Witold Dąbrowski objął redakcję — ukazała się przychylna recenzja z książki Kazimierza Bran- dysa. Nie znaczyło to oczywiście, że ówczesni nie znaczyli to oczywiście, że krytycy czy recenzenci pisma mieli już odtąd chwalić każdą książkę pi- sarza od nich starszego — skoro tak ostro potrafili traktować książki własne — znaczyło to jednak, iż sze- roko otworzyli łamy swego pisma dla wielu, dla bardzo wielu pisarzy starszej generacji. Drukowali Dą- browską i Sandauera (choć ich ka- śliwie krytykował), drukowali felie- tony Juliana Rogozińskiego, czyniąc zeń ich czołowego krytyka poetyc- kiego. Choć nie wszyscy pisarze star- szego pokolenia ich akceptowali — oni gotowi byli wydrukować każde- go. Ta metafora była niezmiernie charakterystyczna. Gdy dwaj młodzi ze „Współczesności” — Eugeniusz Kabato i Janusz Krasieński zostali na początku lat sześćdziesiątych wy- brani do Zarządu Głównego ZLP — grupa, która rodziła się w szczeniackim proteście przeciw literackiemu establishmentowi — całkowicie ten

cym, za wzbogacającą- cymi. Badali trudności egalitaryzmu w warun gospodarczego państw ich uroszczenia i zagro- ny technokracji. Propa- sizm otwarty i niedog- starannie unikali znar- nizmu i w swych rozlic rewizjonizm zwalcza- li. stami — raczej teo- pragmatykami. I dla przełomie 1970 i 1971 z niezmiernym przypie- dło w kolejny polity- pragmatycznej, małą wiążącej do podstaw i klasycznych — dwi akcentowany znalazł s- niu, niedocześnie, szcz- Co miało swoje szybkie.

Ale póki co był rol- pewien jeszcze czas za- nego redaktora Lenar- Ernest Bryll. Pismo k- terackie, choć najchę- smem krytyczno-liter- rym poezja i proza zo- wane przez krytykę również pragnącą by- ską. „Współczesność”, czątko, organ młodzi- ucharakteryzowanych teraz stała się pisme- skich teoretyków lit- logii i filozofii.

Z dwutygodnika ju- dał odchodził jego c- współpracownicy. Da- neli Grochowiak i 5- śnie rozstawali się J. batc, A. Bukowska. techki Bryll i Wojc- Drozdowski już od w- cował w Instytucie F- dynie. Ale — i to na — cała ta ewolucja- bywała się bez spekte- stacji, bez rozłamów bez skandali. Wręcz- wszyscy, którzy odc- a odchodził przeważ- pracy literackiej, po- pie przyjaźnie współ- luźnej, ale jednak ws- cy oni akceptowali- oraz ewolucję ideow- tego pisma. Nie zgła- Od czasu do czasu i- fragmenty swych- wiersze, nawet artyku-

Symptomatyczny b- Gdy w środowisku „Współczesności” — tów, pisarzy, intelligen- cznej — doszło do gor- litycznych, „Współcz- by próbowała usun- nes sprawy. Choć sa- dowania polityczne- się na forum Związki- skich — w swym- rzecz taką jakby- Były to (poza pojed- kami) echa — oczyw- stanowisko ówczes- twa partii, ale echa- wtórnością sugeru- przymus a nie och-

tów, pisarzy, intelligen- cznej — doszło do gor- litycznych, „Współcz- by próbowała usunąć- nes sprawy. Choć sam



mu przewodził Antoni Słonimski, to właśnie dlatego, że zarząd ten, zlikwidował koła młodych przy ZLP, a oni, członkowie tych kół, tak bardzo już chcieli mieć literackie legitymacje zawodowe. Ich polityczna wyobraźnia była zbyt skromna, by rozumieć, iż wsparto ich niewielkimi pieniędzmi i małą pulą papieru właśnie dlatego, by atakowali „Po prostu” i Związek Literatów.

## INDYFERENTYZM

O Leszku Szymańskim, pierwszym organizatorze i redaktorze naczelnym „Współczesności”, napisano już wiele nieprzyjemnych: że beczelny,

arogancki cwaniak, który niezwykłym sprytem potrafił ukłębic bicz z piasku. Bez żadnego stałego mecenasa państwowego wydał w ciągu piętnastu miesięcy 1956—57 roku dziesięć numerów parustronicowego półtoramiesięcznika. Potrafił wymusić niejaki zainteresowanie tym piśmem. Potrafił, na początku 1958, znaleźć dlań regularnego wydawcę i sprawić, że od lutego 1958 „Współczesność”, dotąd efemeryda, stała się piśmem, jakie przez następnych piętnaście lat będzie się ukazywać z dokładną, dwutygodniową regularnością. W każdym numerze coraz bardziej gromadząc wokół siebie młodych, autentycznych poetów i prozaików.

Szymański holendrował. Najpierw brał pieniądze od kogo się dało i obścizkiwał „Po prostu” oraz ZLP. Potem — w lutym 1958 — podjął „Współczesność”, ku grozie paru najbliższych przyjaciół, do katolicko-prorządowego „Paxu”. Kiedy zaś po paru miesiącach kuratela wyznaniowa wydała się tym chłopcom nadbyt uciążliwa — lekkim krokiem zmienił mecenasa dysponującego kasą: z katolików rządowych na rządzących marksistów. Zmieniali ideologię, ale starannie pamiętali o jednym: o lojalizmie wobec tych, którzy państwem kierowali. Nie chcieli się buntować. I w tym właśnie byli autentyczni. To im dawano prawo — choć sami nigdy by tego nie przyznali — by swoje piśmo nazywać „Współczesnością”. Byli niezmiernie współcześni.

Fakt, że w latach okolo październikowych, a tym bardziej popaździernikowych, znakomita większość młodych kandydatów na pisarzy była doskonale obojętna wobec ideowych bądź politycznych aspektów polityki partii i państwa. Ani za, ani przeciw — jak gdyby neutralni. Przecież nawet Marek Hłasko był akurat takim — tylko współborcą z „Po prostu” przydawała jego tekstom inną wymowę; gdy zdecydował się pozostać za granicą, gdy wybrał tę swoją wolność całkowitą — z czasem odsunął się od jakiejkolwiek działalności zaangażowanej politycznie czy ideowo, wołał kamienie tute i wódkę pić w Jaffie, niż uczestniczyć w marszach ideowych emigracji politycznej. A ci ze „Współczesności”, którzy Hłaskę krytykowali, właśnie



Władysław TERLECKI  
Fot. Tadeusz POŹNIAK

i rozsądną „jedenaknadzieję”; jej akcent pozytywistyczny zalecał ostrożne uniki ideowe, niezbędne, by w przyszłości oszczędzić sobie rozczarowań i klęsk. Z tego wewnętrznie sprzecznego wychowywania bardzo szybko wyrosło pokolenie czujnych pragmatyków, którzy nad jakąkolwiek walkę ideową przekładali możliwość publikowania swych egzystencjalistycznych, eskapistycznych, lirycznych nowel i wierszy. Najpierw druk... — reszta już miała znaczenie podrzędne.

Ich indyferentyzm ideowy doskonale pasował do rzeczywistości. Był tej kwiatem. Nie chcieli łamać sobie skrzydeł — ani jak ich rodzice, ani jak ich starsi koledzy. Im samym, i wszystkim dookoła wydawało się, że oto rośnie piękne, konformistyczne pokolenie ideowych pragmatyków. Jan Zbigniew Słojewski, jeden z tych najzdolniejszych, który się do Szymańskiego przyłączył, napisał był — gdy się z pociągu „paxowskiego” przesiadali do pociągu już wyraźnie rządowego, a więc trwali w pewnym niedoczasie — że postawa indyferenta jest ta, która szczególnie przystoi tej generacji. Długo przy tym tłumaczył, iż chodzi o indyferentyzm wobec Kościoła, ale przecież te tłumaczenia były zbędne. Rzecz, była niezmiennie oczywista: oni naprawdę byli indyferentni! Po przejściu buntu październikowego państwo wolało mieć do czynienia z młodymi pisarzami indyferentnymi niż z młodymi buntownikami. „Współczesność” to była rzeczywistość.

## TECHNICY ŻYCIA

Na początku 1959 roku arcyśpiący Szymański, wyjechał za granicę na stypendium rządu indyjskiego. Otrąbił tam rozkład i upadek pozostawionej za sobą „Współczesności”. Z całą pewnością nie wiedział, jak bardzo jego pismo już było związane z krajową rzeczywistością — a będąc tak z nią związane, tak bardzo odpowiadając potrzebom młodego pokolenia pisarzy, nie mogło upaść. Przeciwnie — gdy pałeczkę redaktora naczelnego przejął Stanisław Grochowiak, rozpoczął się dwutygodnik literackiego „Współczesności” wiek złoty.

Trwał on, jak każdy zawsze „wiek złoty”, stosunkowo krótko: półtora



Jan Zbigniew SŁOJEWSKI  
Fot. Marek Wojciech DRUSZCZ

Zbigniewem Słojewskim, oraz znacznie spokojniejszym Tomaszem Burkiem, i tuzinem innych uformowali w lecie 1958 nieformalny, ale faktyczny, załazek tej grupy literackiej, która już bardzo szybko zwróciła na siebie uwagę krytyków i nazwana została „pokoleniem Współczesności”, albo „pokoleniem 56”. W tym ostatnim terminie tkwi jakaś ironia losu. Gdy dzisiaj mówimy o literackim „pokoleniu 56”, to myślimy nie o publicystach z „Po prostu”, jacy faktycznie tworzyli najważniejsze piśmiotwo tamtego 56, październikowego, roku, ale myślimy o tej gromadce prozaików i poetów, którzy — debiutując w 1956 — przeciw debiutowali w mniej czy bardziej gwałtownej opozycji wobec tych z „Po prostu”. Taką bywa rzeczywistość czyli współczesność.

W tym 21 numerze „Współczesności” Stanisław Grochowiak napisał w prezentującym siebie i swoich kolegów felietonie dwa zdania, które wtedy zabrzmiały szczeniacką fanfaronadą, ale których w ćwierć wieku później już nie zbywamy ironicznym uśmiechem: „Współczesność” trzeba zacząć traktować serio. W końcu ona, jakby nie było jest „Skamandrem” dzisiejszości, a każdy ma takiego „Skamandra”, na jakiego go stać”. Choć nadal nie jesteśmy przekonani czy Grochowiak był Tuwimem Polski Ludowej, Terlecki jej Iwaszkiewiczem, a Słojewski jej Słonimskim — to jednak wiemy, że tych pisarzy należy traktować bardzo poważnie, są oni bowiem liczącą się częścią naszej literatury. Grochowiak nie pomylił się.

Nie pomylił się — ani jako felietonista, ani jako redaktor naczeln dwutygodnika. Choć formalnie był nim około roku, bardzo krótko, to jednak dopiero pod jego przewodnictwem ukształtował się ten model piśma, który zmienił model poprzedni, i trwał aż po rok 1966, w którym z kolei został znów zmieniony. To piśmo, z którego wywiodła się generacja pisarzy współczesnych, przez Jana Błońskiego uznana za „zmianę warty” w naszej literaturze — to piśmo zapoczątkował Grochowiak na przełomie 1958 i 1959 roku.

Czym się głównie charakteryzował ten model „Współczesności”? Od strony form redaktorskich — ide-



Stanisław GROCHOWIAK  
Fot. CAF

siatych i sześćdziesiąt w artykułach ogłasza gładkie „Kulturalnym” książce „Zmiana warty” ich piśmiotwo bardzo mała tak jak piśmiotwo zgłosił pod ich adres pretensję; właśnie o pytań stawianych epoki „Współczesności” wielokrotnie krytykę też Błoński kolejno i Bohdan Drnusz Maciejewski, i I ska. Bronili zespołu i rozmaitych, ale Heleń udała się przy tej ok roku — jedna z najbardziej charakterystycznych grup pisała ona, że Błoński na „Współczesności”, pokolenie 56 stworzyli kich problemów, a i „nie interesowało o światła (...) lecz możliw sze, najlepsze dostos tych, które przyjęli z „Koncentrowali się — Zaworska — na techn na wiedzy o życiu”.

W numerze dwóch pada 1965 r. redakcja czas kierował A. Lan pomniła cztery obse ski wyodrębnił „Współczesności”; o: ności pokoleniowej, o: scia, obsesja erotyzmu: penproletariatu. Nie sami to przyznawali: sesja ideowa ani p: wsze pokolenie liter: cie ukształtowane w: wej było właśnie tak: łowała Zaworska: p: się odkrywaniem pr: mniej ich zmianą, a: wie najlepiej dostos: ad które uznali za rze: w: czniu 1963 (gdy w: n: grzmiała dyskusja „S: chach głównych” Z: „Współczesność” n: id: tym ani jednym p: w: sław Grochowiak n: z: scu numeru spró: w: wnioski z tych w: s: t: i utyskiwań nad w: k: realizmem. Z w: ad: r: nie jeżeli nie c: ne: zasad. Zadeklarow: — siem i wbrew niem: — poetyckiego myśl: — dyndy „izm” ogłosz: 1

**W** PAŹDZIERNIKU 1956 wszyscy czytający czasopisma czytali „Po prostu”, tygodnik młodej inteligencji. W emocjach Października mało kto zauważył niemal ulotne piśmko, które w formacie i kształcie tygodnika chciało zwiastować nowy miesięcznik literacki: „Współczesność”. I nikt, ale to nikt nie przewidywał, że to właśnie piśmko stanie się kolebką dużej grupy autentycznych pisarzy.

Tytuł był dumny, ale treść piśmka nie pozostawiała w żadnym z nim wyraźnym związku, choć Roman Sliwonik w wierszu wydrukowanym na pierwszej kolumnie buńczucznie zapowiadał: „nie pozwolimy, żeby nam kazano dźwigać kamienie na piramidy (...) nie możemy mieć jednej twarzy niewolników faraona”. Poetyckie zapowiedzi były zwyczajnym frazesem, zwłaszcza w porównaniu z publicystyką w „Po prostu”; odgrazania „Współczesności” nie były już nawet dalekim echem tamtej publicystyki — były jakimś wobec niej oporem, wprowadzie kryptonimowanym krytyką Marka Hłaski czy Kazimierza Brandysa, ale jednak oporem. Ich skargą jedyną był „donos” na redaktorów „Po prostu”, iż przyjęte wiersze młodych poetów gubili gdzieś w drodze do drukarni. „Więc co do cholery zrobić? Gdzie pisać? Chyba w klozecie?” — krzyczyli młodzi we „Współczesności”. Tym „klozetem” jak i małymi literami w tytułach i nazwiskach, chcieli epatować

za jego bezideowość, byli dokładnie tacy sami.

W „Po prostu” o socjalizm z ludzką twarzą dopominali się ich nieco starsi koledzy, działacze organizacji młodzieżowej oraz publicyści, których młodzieńcza wiara w socjalizm doznała zawodu w zetknięciu z praktyką dyktatury proletariatu, w jej para-stalinowskim (boć nie prawdziwie stalinowskim!) wydaniu. W „Nowej Kulturze” i w „Przeglądzie Kulturalnym” frustrowali ci o dekadę starsi, którzy mając lat około dwudziestu i więcej przeżyli gorzkie Powstania Warszawskiego, potem klęskę okupacyjnych złudzeń politycznych; w 1945 pragnęli odzyskać nadzieję nowej wiary, nowego poranku. Uwierzyli, w swym kraju, brażie po klęsce, w tęczę socjalizmu, w diamenty, które znajdują na dnie popiołów — nie chcieli wiedzieć, iż każda ideologia spełnia tylko niewielki procent swych zapowiedzi programowych i że sceptycy bywają wierniejszymi kombatantami niż entuzjaści. A świat posuwa się naprzód jedynie małymi krokami.

Garnący się do „Współczesności” byli pierwszym pokoleniem wykształconym, więc wychowanym, już w Polsce Ludowej. Wychowanym z jednej strony przez bardzo dogmatyczną i totalistyczną szkołę myślenia para-stalinowskiego, z drugiej strony przez rodziców, którzy oba-żożeni głębokim rozczarowaniem wojennego zwycięstwa, dzieciom swoim pragnęli przekazać jakąś zdrową

roku, dwa lata, ale charakteryzował się ogromnym, dynamicznym rozkwitem redakcyjnym oraz równie dynamicznym ogarnięciem przez „Współczesność” niemal całej „generacji 56” naszej młodej literatury.

W rzeczywistości owa „era Grochowiaka”, rozpoczęła się pół roku wcześniej, dokładnie w 21 numerze ogólnego zbioru, opatrzonego datą 18 lipca 1958. Wydawcą pisma już był „Ruch” i to umożliwiło — odrzucając ograniczenia „paxowskiego” katolicyzmu — takie szerokie otwarcie pisma. W tym samym numerze, w którym Słojewski zareklamował indyferentyzm, jako postawę właściwszą dla młodej literatury, współpracę ze „Współczesnością” rozpoczęło dwoma opowiadaniem dwóch kolejnych autorów: Stanisław Grochowiak i Władysław Terlecki, obaj mający już za sobą książki debiutanckie wydane w „Paxie” i obaj zdecydowani na zerwanie z tą firmą. Uczynili to razem ze „Współczesnością” — i oni dopiero tej jeszcze mało określonej grupie literackiej przydali jej bardziej wyrazisty akcent. Razem z wcześniej już drukującymi w dwutygodniu Markiem Nowakowskim, Eugeniuszem Kabatcem i Andrzejem Brychtem, jak również z Bogdanem Wojdowskim, Januszem Krasieńskim, Bohdanem Drozdowskim, Józefem Lenartem, z poetami Ernestem Bryllem, Ireneuszem Iredyńskim, Romanem Sliwonikiem, Jerzym S. Sito, który wrócił z Londynu, oraz z im-  
petycznym wtedy krytykiem Janem

cydowaną, całkow-  
stów krytyczno-  
torskich i poetycz-  
styką polityczno-s-  
żem włącznie. To  
początku. — pism-  
kim nastawione na  
kę, a dopiero w o-  
lejszości na spraw  
może ograniczone  
dwutygodnikiem  
gach czytelnich  
Powiedzieć jedn-  
sność” zamieszcza-  
kim teksty literac-  
— to powiedziec  
tura zawsze była  
Więc jaką była i  
sma — to jest pyta-  
Była nią zgod-  
wistość. Jeszcze  
pismo z „Paxu” pr-  
Józef Lenart opubl-  
którym kategorycz-  
nie zadeklarował  
których i współprac-  
czesności” po stor-  
w Polsce socjalizm  
godni później, gd-  
ostatecznie zdecy-  
za granicą, zawsz  
grupa „Współczes-  
skim, Grochowiaki-  
czele, opublikował  
dzającą Hłaskę od  
przewodzący temu  
ską Leszek Szyma-  
później też został  
spół pisma, już  
Grochowiaka, opul-  
czenie, iż, wbrew i  
mańskiego, „Współ-  
dotąd nie było tał  
garnuszkowi państw  
i tak dalej, i tak da-  
Oświadczenia loż-  
ejalistycznego ustr-  
dowego będą się m-  
stkie lata pisma. A  
czą o zgodzie „W-  
rzeczywistość. Świa-  
ratura, poezja, proz-  
wsze dobra — „W-  
była piśmkiem m-  
nów — najchętnie  
psychologiczną, mor-  
analizą stanów i sy-  
społecznego. Człow-  
sma w dyskusji z  
chylnym Jerzym Pi-  
bronić prawa do  
zwą, czarnej literat-  
egzystencjalizmu, e-  
nie była literatura  
literatura margines-  
tura usuwająca się  
pytań ideowych ku  
psychiki codziennej  
pisarstwem małego  
Błoński bardzo wcze-  
pocławie i na przebie-

## PROFILE CZASOPISM

# „WSPÓŁCZESNOŚĆ” CZYLI POŻYCIE Z RZECZYWISTOŚCIĄ

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

POLITYKA, NR 39 (1282)  
26 IX 1981

I skandalizować, ale przecież w ich okrzyku wyrażała się troska najbardziej autentyczna: im rzeczywistość zażęła tylko na drukowaniu ich wierszy! Na niczym więcej! Jeżeli atakowali nowy rząd główny Związku Literatów Polskich, któremu przewodził Antoni Słonimski, to właśnie dlatego, że zarząd ten zlikwidował koła młodych przy ZLP, a oni, członkowie tych kół, tak bardzo już chcieli mieć literackie legitymacje zawodowe. Ich polityczna wyobraźnia była zbyt skromna, by



Jerry Stanisław Czajkowski

dziesiątych, stalinowskich...), ta nasza przygoda intelektualna, literacka, teatralna, plastyczna, muzyczno-kompozytorska (Olkuśnik, Fotek, Penherski, Pruszyński, Konowalski, Wilma, Wysocki) poczęła rodzić na nas nagonki. Polityczne (ukryte Putramenta, Starewicz, Lenarta, T. Strumfła), prasowe, paszkwilankie. Sami też publikowaliśmy artykuły—„paskwile”. Celowali w nich najbardziej Zbyszek Irzyk i Jan Zbigniew Słojewski.

Wreszcie dobrało się do nas Biuro Prasy. Zabawa w literaturę zaczynała się kończyć.

Miało wkrótce „wybuchnąć” pokolenie „Współczesności”, już przez duże „W”, ale bez członków Zespołu Grupy Literackiej „Współczesność”. Nasz dwutygodnik rychło mieli przejąć rutyniarze dziennikarszczyzny... Na dobitkę Leszek Szymański utknął wraz z azyłem i żoną w Indiach. A za rok miał wrócić z prozą o Indiach.

Po moim debiucie zagranicznym dziewięcioma wierszami na pierwszej kolumnie londyńskich „Wiadomości Literackich” u Mieczysława Grydzewskiego z piśmem od naczelnego redaktora „Wiadomości” walcę do dyrektora Biura Prasowo-Wydawniczego „Ruch” p. Ostrowskiego, by mi dał delegację na festiwal do Awignonu. Naturalnie, z dumą pokazałem pismo Grydzewskiego o pokryciu kosztów mego pobytu we Francji funtami honorarium za moje wiersze. Za parę tygodni otrzymałem wypowiedzenie z pracy w redakcji „Współczesności”.

Nie da się ukryć. Miałem zagrania zaiste „współczesnościowe”. Zorganizowałem Państwowe Wydawnictwo „Współczesność” (dyrektor „Ruchu” Herbst i naczelný redaktor p. Kornatowska podpisał na to zgodę) opublikowałem sam sobie tomik poetycki *Zadymione pejzaże*, podpisując się żem redaktor swojego tomiku (tak kazał prezes Grupy, Leszek Szymański. Byłem jego „prawą ręką” i wszystkim jego rozkazy spełniałem bez zmruczenia powieki!).

Sam sobie przyznałem nagrodę (symboliczną i fikcyjną we „Współczesności”), koleddy ją w Grupie „W” zatwierdził, a nawet Irzyk ułożył i podał do druku jakieś podziękowanie czy uznanie dla mnie z tej okazji...

Pora kończyć te wspominki. Zabawa we „Współczesność” dawno się skończyła. Pozostało później nudne czasopismo, które ukradło nam tytuł, przywłaszczyło go sobie. Nam pozostała satysfakcja.\*

JERRY STANISŁAW CZAJKOWSKI

\* Nikt tu niczego nikomu nie ukradł. Autor zapomniał, że większość osób związanych z „prehistorycznym” czasem „Współczesności” uczestniczyło i w „historycznym” czasie dwutygodnika. (dop. red.)

## Polonez czyli historyczna scena żywcem z arrasów wzięta

Śniły mi się postaci wydłubane z wawelskich arrasów przewiazane paradnie jakby na maskaradę lub na zapusty, powracające z tych lasów bez mchów gdzie gałęzie bezlistne wysmagane radośnie kuśtykając lubo na kłęczkach powracają po laskę białą

\*

cicho  
zaraz zapadnie milczenie na twoich ustach, w twoich oczach dotknie nas, obejmie — my także niebios będziemy dotykać

cicho, uspokój się — o już spada pierwsza gwiazda  
— przerażone nagle przestały świecić i szumieć

trzeba umieć krwiobieg gwiazd znać i rozumieć

cicho, nie budźmy Kartezjusza!

\*

pocerujesz arraszy?

## Megalopolis

wiatr kodysał cienie guiazda rozrzucone? — ależ inni tu będą

Ignacemu Gogolewskiem

i dokładać do... wydawania dwutygodnika literackiego Zespołu Grupy Literackiej „Współczesność”.

Klub, kawiarnia literacko-artystyczna „Manekin” na warszawskiej Starówce to była wtedy Mecka nas wszystkich, którzyśmy w sztuce, w literaturze zwrócili interes... metafizyczny, mistyczny, „spiritystyczny” kontakt ze światem ducha, z życiem duchowym narodu.

Ktoś wpadł na pomysł, że przetwarzaniu grupy i pisma pomaga wieczorki autorskie, organizowane gdzie tylko to jest możliwe, jeżdżąc gdzie tylko się dało. Za honoraria i bez. Za zwrotem kosztów podróży i nie. Nikt z tego nie robił problemu, nawet jeśli (jak A. Brycht) musiał wracać pociągami „na gapę”.

Po każdym spotkaniu autorskim odbywały się dyskusje. Nieraz do późnych godzin nocnych, jak w augustowskim Klubie Kultury, który z poświęceniem i wspaniałe prowadziła pani Larysa Kuźnicz — piękność nad pięknościami! Stały współpracownik „Współczesności” — Hindus Kedar Nath podczas wieczorów śpiewał swoje nowele i... wzrósł w nas skłębienie i nastroje modlitewne zawodzącym jak muezyn głosem, nawoływaniem do... czego, to za groźną pojąć nie byliśmy w stanie. Bo nie z tego się nie rozumiało. Kedar Nath z pewnością dał początek w Polsce poezji śpiewanej.

W czasie swojego poetyckiego „benefisu” Jurek Walenczyk usiłował naśladować naszego Hindusa w „Kamiennych Schodkach”, ale za dużo wypił bez przekąski i zamiast czytać swoje wiersze tak się rozszalał podnieśnięciem folklorem, że obecnych naszych nowych mecenasów obraził. Musieliśmy po tym wieczorze drukować przeprosiny P.T. publiczności i sprostowania.

Zjazdki (ogólnokrajowego zjazdu młodych twórców nigdy nie udało się zorganizować), festiwali, sympozjony, sesje krytyczno-literackie, dyskusje, polemiki i niebawem wielkie polemiki tak na łamach „macierzystej” — „Współczesności” (wówczas przez małe „w”), podrywaliśmy się także mały literkami, jak i na gościnnych łamach starych czasopism (gdzie niekiedy z naszymi tekstami raczono nas dopuścić).

Najważniejsze było jednak, że wychodziło, że wydawaliśmy czasopismo „Współczesność”. Miesięcznik, później dwutygodnik. Przeważnie średnio biorąc, raz na trzy miesiące...

Dotacji nie było, funduszy na rachunki za druk dla drukarni nie było, etatów ani ryczałtów nie było. Honorariów za teksty nie było. „Współczesność” nie płaciła honorariów, o ile ktoś, jak np. „Alik Wierczkowski”, się o nie nie wykiścił... kosztem opóźnienia zapłacenia rachunków za skład i druk „Współczesności”.

Zatem pisywaliśmy do swojego czasopisma, sami je wydawaliśmy, sami gryzmoliśmy artykuły, to wiersze, to prozy i próżki, to esaje i recenzje, to manifesty i programy działania, to „linie” pisma, to polajanki dla startujących w literaturze. [Sławny esej Z. Iryka *Monika, popraw się* (Monika Kotowska), po jej debiutanckiej książce i późnagrodzie wydawców. Drugą półroczną nagrodę zainkasowała *Megda Leja*].

Swoją twórczość (interakcję jak „radosną”) sami zatwierdzaliśmy do druku, sami ją (bywało) ocenizowaliśmy, sami składaliśmy na maszynach płaskich na Smolnej lub na Tarczyńskiej. Oczywiście, pod okiem zecerów, metampę, inspektorów produkcji (druków). (Najczęściej „Współczesność” drukowała się wtedy za litr wódki i kilo kiełbasy dla

numery sprzedawać od razu i od ręki to na dziedzińcu UW, to przed klubami prasy, to na peronach, to na ulicach Śródmieścia.

W administracji „Ruchu” udawało się niekiedy wygnać „Nyskę” z megalomanią. Zwrotów numerów „Współczesności” w ogóle nie było. I oto bez dopłat, dotacji, bez planistów, księgowych, bez kolejności co i kiedy będzie drukowane... redagowaliśmy pismo, kolportowaliśmy je, umożliwiając debuty i starty literackie, plastyczne, a nawet czy Stemonem nie odkrył. W każdym razie jego upór w towarzyszeniu dobrej poezji miał się szybko przemienić w stałą współpracę z nami podczas licznych wieczorów poezji w Warszawie. Najczęściej towarzyszyli startom debiutanckim podczas wieczorów autorskich aktorzy: Joanna Radzyńska, Wojciech Stemon, August Kowalczyk, Alicja Zalewska.

I Tadeusza Kantora obrazy (reprodukcje) rozstawialiśmy (po jego otwarciu Galerii „Krysztofor”), i Artura Sandauera, umożliwiając mu w debiut prozatorski pt. *Pamiętnik Arnolda Rozenzweiga*, podbudowując już wtedy mentorzy, moralizował i tworzył językowe konstrukcje jego erudycji, znajomości greki i łaciny, jidysz i innych języków i kultur.

Aż oto pewnego pięknego dnia przyszło autentyczne objawienie — ośnienie. Zataakowało nas „Życie Literackie” w sławnym wtedy artykule „Współczesność” czyli pokolenie plakatowe pióra Krakowskiego krytyka Jerzego Kwańkowskiego. „Kości zostały rzucone”. Obwołano nas z dnia na dzień pokoleniem literackim. Wprawdzie z brakami, nie bardzo jeszcze dojrzałym, jeszcze tylko się zaledwie dobrze zapowiadającym, ale mającym już coś do powiedzenia w literaturze. Jan Rembek, Arthur Sandauer, Jerzy Zawieyski, Ludwik Hieronim Morstin pospieszyli nam z intelektualną „przynaką”.

Zaprawdę, zaprawdę nie wiedzieliśmy wtedy, co to w ogóle jest literatura i sztuka. Wyrosnięci podówczas młodzieżowcy naprawdę staraliśmy się być wobec wszystkich ryccerzy. Gra, zabawa, aktorstwo, przerwano, choć płatania psikusów i figli, zgola proweniencji sztabackiej... rzycho miały trafić na łamy pism, atakujących nas za różne pozy.

Udawaliśmy i naśladowaliśmy futurystów (ja — imaginistów), Ba, zaraz wdowa po samym Marinettim przystała dla mnie i dla Anatola Sterna zaproszenia imienne na półroczne stypendia pobytowe w Italii w jej pałacu w... A. Stern odrzucił mi wyjazd na to stypendium, a sam Schodkach” członka Rzymskiej Akademii Sztuki, znanego tłumacza dra Kołtońskiego. (Cieszył się moimi wierszami, kilkanaście przełożył na włoski, wydrukował i przysłał zupełnie przyzwoite honorarium we włoskich walorach. Przyszło nowe zaproszenie na pobyt do Italii i w Avignone).

Euforia szybko miała przeminać po lekturze całej serii atakujących nas artykułów. Za podpisywanie się małymi literami, za naśladowanie futurystów, za „szarganie świętości”, za wiersze, za prozę, za krytykę literacką, za próby wpływania na zmianę lektur w szkołach, za atakowanie drobniomieszczanckiego kołtuństwa, bigoterii, fałszu, obłudy i zakłamania.

JERZY  
CZAJKOWSKI

# KOSTIUM HISTORYCZNY PRZYCIASNY NIECO



Jerzy Czajkowski na wiecej autor-  
skim „Współczesności”. Fot. A. Klu-  
kowski 1959 r.

30 lat „Współczesności”. Jak to się wszystko zaczęło? Najpierw konieczne tu będzie nawiazanie do socrealizmu. Szczytna była ta doktryna. Jednakże w realizacji piśnarskiej miała przynieść przede wszystkim tak zwane „produkcyjniaki”, o nikłych wartościach artystycznych. „Czasy socrealizmu (lata 1949—1955) uformowały dwa pokolenia pisarskie, funkcjonujące do dziś.

Rychło jednak wśród tych, którzy mieli przeciwstawiać się doktrynstwu, schematyzmowi, dogmatyzmowi twórców „produkcyjniaków”, prym zaczęli wiesć nie opierzeni jeszcze wtedy licealiści i studenci.

Było ich niewiele. Garska skupiona wokół nowych teatrzyków i grup literackich, klubów dyskusyjnych czy wokół nowych czasopism. Lubelska grupa literacka „Pod wiatr” (i pismo literackie o takim tytule), wrocławska grupa literacka „Dlaczego nie?” Bartyńskiego, poznański „Wierzbak”, krakowska „Zebrak” (grupa literacko-artystyczna i pismo o takim tytule), grupa „Muszyna” Harasymowicza, gdańskie „Żaki” i „Bim-Bomy”, łódzkie „Pstragi” i Waleńczyki... Było ich niewiele. Było nas niewiele we „Współczesności” (grupa literacka i pismo o takim tytule). No i przede wszystkim była najbardziej prężna i znacząca wtedy grupa literatów, polityków i dziennikarzy „Po prostu”, mająca za sobą poparcie prawie całej polskiej braci żakowskiej i części młodych polityków wszystkich naszych partii, stronnictw i organizacji studenckich czy młodzieżowych wtedy działających.

Wszystko zaczęło się od naszego spontanicznego artystycznego „dziwactwa” czy „wariactwa”.

Urządzaliśmy spotkania autorskie, zapraszaliśmy młode aktorki, aktorów, plastyków, śpiewaczy, śpiewaków, kompozytorów, kompozytorki, — była to przednia zabawa w... literaturę, sztukę, teatr, wernisáže.

# WIECZÓR MŁODYCH ARTYSTÓW

POEZJA:

Melporczy Hilary, Jerzego Ciepińskiego, Stanisława Grochowiako, Mariana Ośnińskiego

MUZYKA:

Jana Folka, Benedykta Konowskiego, Joachima Olkuśnika

WYKONAWCY:

JOACHIM OLKUŚNIK  
JANA FOLKA  
BENEDIKT KONOWSKI  
MELPORCZY HILARY  
STANISŁAW GROCHOWIAKO  
MARIAN OŚNIŃSKI

W PIĘKARSKIM GALEM MŁODZI PIŚNICY

JANINA WILKIN  
REŻYSER STUJÓW  
PIOTR BRASOWSKI

Towarzyszący naszym działaniom Zbyszek Kupczyński zaczął wystawiać swoje obrazy pod gołym niebem na Starówce, na Krakowskim; dołączali inni artyści malarze jak Słowiński, Karol Węslow (pseudonim), Ewa Salamon, Mitek Steciewicz...

Takie improwizowane wystawki zaczęły się przekształcać w salony wystawiennicze, w miejsca spotkań poetów, nowelistów, krytyków, plastyków — tam gdzie tylko się dało. W klubach prasy, w domach kultury, w fabrykach. Najwspanialsze były spotkania autorskie w halach fabrycznych lub w wielkich przykładowych świetlicach, a nieraz w przykładowych stołówkach, które naprędce przystosowywano na spotkania z grupą młodych pisarzy. Bo przeważnie jeździliśmy grupkami, po dwóch, trzech, czterech.

Spotkania autorskie w kawiarniach i klubach Gdańska, Gdyni, Szczecina, Koszalina, Kołobrzegu. Marynarskie „Intercluby”, kluby stoczniowców, sale konferencyjne ZMS, ZMW, ZSP, TPPR, kluby Stronnictwa Demokratycznego, sanatoria, domy czasowe. I te w górach, i te nad morzem, i te na nizinach. (Zakopane, Krynica, Inowrocław).

Irek Iredyński zorganizował kilka wspaniałych spotkań autorskich w Krakowie. Jak wymagająca, jak wyrobiona to była publiczność. U literatów na Krupniczej, u dziennikarzy, gdzieś dla aktyw politycznego, w Galerii „Krzysztofor”, w piwnicach i klubach studenckich, w klubach TPPR Krakowa i Nowej Huty, w teatrach.

I te nie kończące się dyskusje o literaturze, kulturze, sztuce, o książkach i wystawach, o sztukach teatralnych i ich realizacjach. Ale najbardziej uprzywilejowana była w naszych działaniach sztuk wszystkich królowa-Poezja. Nowa poezja polska. Przerywaliśmy naukę w

Rejsterze recepta na świecie na obczernienie.  
Weź fakty, lub pseudo fakty, znijszaj starannie z  
igarettem, podgrzej, podgotuj, okraś paroma epitetami  
i wyjdzie taka maza, z której i aniołowi trudno by  
się domyśle.  
Trudno nie powitaśzować, ...i wykazać dużą zdolności.  
L.S.

Żyby teraz wszystko w porządku.  
W ostatnim liście wysłałem panu pocztę lotniczą  
artykuł polemiczny w odpowiedzi na artykuł p. Chciuka.  
Jak Panu to się podoba.  
O jakich op. władaniach Pan wspomina. Mnie chodziło o  
jakiś z mojego nie doświadczonego tomu. Jeśli tak to Pan  
powidien wiedzieć, które Panu odpowiadają.  
Reportaż ze z Indii i Filipin (a raczej wspomnienia  
napiszę jak tylko znajdę trochę czasu, bo narazie to  
tylko praca i nauka, przykładowie i socjalistycznie.

Leżak Zygmunt  
A.H. College

Jeny Giedroyc

16/IX, Coorambong, N.S.W.  
Australia

drogi i Szanowny Panie:

Dziękuję za szybką i serdeczną odpowiedź z dnia  
6 września.

W dalszym ciągu twierdząc, że w moim sprostowaniu nie  
ma nieścisłości (nieufność zaczyna się szerzyć w  
różnych regionach, pewnie wynik wizyty Chruszczowa)  
O Tygodniku Polskim słyszę pierwszy raz od Pana, opowiada  
tam nie drukowiskiem, zarówno tytuł jak i treść zarejestrowana  
przez P.K. są mi absolutnie obce. Będę musiał prosić  
redakcję o zamieszczenie sprostowania. Będę wdzięczny Panu  
Pani za adres. Nie sądzę by kto się podszyczał pod  
moje nazwisko. Moja "skłowa" nie sięga Londynu. Prądo-  
podobnie zbłąd nazwisk, lub pomyłka.

Punkt drugi. Komunikat o otępieniu był zamieszczony  
w paru pismach (Współczesność, Kierunki, Życie Literackie  
, lecz komunikat o wynikach konkursu był zdjęty przez  
cenzurę. Jeśli można polegać na zapewnieniach dyktatora  
p. Łowickiego że wszystkie pisma nie tylko naszego.

W każdym razie proponuję następujące przeredukowania  
Strona 2 sprostowania, punkt b po słowach...

zdjęta przez cenzurę powinna w nowości (jeśli nie  
we wszystkich pismach to przynajmniej w naszym, którego  
P.K. zdaje się być jednolitym czytelnikiem)

Strona 5 górna. początek pierwszego wiersza zamieść,  
"Różnię" Władysława Łosia, zamieść "również" oś innych  
firm wydawniczych. Po poprawkach zdanie powinno  
brzmić: Władysław Łosia część sumy otrzymanej od  
innych firm wydawniczych jako honoraria... itd.

Pod wierszem 12 po słowie "utwory" dopisać i najstarsza  
na świecie. Zdanie powinno brzmieć: Najlepsze utwory  
na tego rodzaju "utwory" i najstarsza na świecie.

4 aby zaś wyjaśnić zakres Tygodnika lub Tygodnika  
prawy zamieścić t.j.

P.S. Ostatnio dowiedziałem się, że w piśmie "Tydzień"

nie "Tygodnik Polski" ukazało się sprostowanie opatrzone

*Wielkie wiesz* *ad unykt fin wydawnictw*  
Razem sumy otrzymałem również jako honoraria, na książki,  
które bawian się, nigdy teraz w Polsce nie będą wydrukowane.  
Rzeczy jaknajbardziej do sprawdzenia.

Natomiast nie wiem skąd p.K. strzeliło coś do głowy, że drukowało  
nowelatkę w londyńskim "Tygodniku Polskim". Pierwszy raz słyszę  
nazwę tego pisma, jak również nie przypominam sobie żadnej  
Reginki, która przeszła na katolicyzm. Jeśli taki utwór napisa-  
łem w życie. Domagam się stanowczego honorarium od "Tygodnika  
Polskiego".

Jak widać atak p.K. jest spoletem faktów o pewnym prawdopo-  
dobieństwie z wysanymi z palca. Najlepsza metoda na tego rodzaju  
"utwory". *na p. K. na i. u. i. c.*

Wiekaw jestem natomiast czy p.K. sobie przypomina jeden  
ogólnie znany w wytykach redakcji "Polityki" oraz innym  
czynnikiem fakt, jak to jeden z cenionych i powszechnie  
szanowanych współpracowników wyżej wymienionego pisma, przyszedł  
do mnie w ciemną noc, i żądał pieniędzy na wódkę. W przeciwnym  
wypadku groził zamknięciem pisma. Groźba bynajmniej nie tak  
śmieszna jak to się może wydawać.

Nyć może jednak całą sprawę ataku "Polityki" dałoby się  
prościej wyjaśnić, gdyby moje domysły były słuszne. Mianowicie  
gdyby pod literką K. ukrywał się p. Koźmiński. Jeśli tak to  
trzeba przypomnieć, że jest nie pierwszy raz, gdy p. Koźmiński  
atakuje "Współczesność". A wszystko, dlatego, że ośmielił się  
wytknąć mu drobną nieskonsekwencję. Pisarz tępiący powieści  
sensacyjne nie powinien pisać ich pod pseudonimami.

L.S.

Natomiast atak Polityki jest znacznie bardziej poważny. Zaczyna się on mniej więcej w ten sposób "Rok temu straszył Warszawę, pewien młody nonszalancki tu następuje długa lista epitetów, młody człowiek.

Albo prawda straszył, mądził, chodził, nawiedzał wszelkie znaczące osobistości. Wtargnął do paru zacisznych gabinetów na kilka Niezwykle Ważnych Konferencji, gdy go wyrzucono jednym oknem wziął przez drugie [Święta prawda]. A wszystko to robił, że uratować pewne pismo, któremu do pewnego momentu nikt nie był skłonny pomóc, po za obietnicami.

Z dalszych insynuacji wynika, że ofiarowałem się jako korespondent. Dalej że brałem pieniądze z powietrza (szkoda, że zapomnieliem tej umiejętności). Potem, że gdy pismo przeszło do "Ruchu" w dalszym ciągu otrzymywałem stypendium z "Pax" i że za tego pieniądze wyjechałem do Indii.

Tu musi nastąpić szereg rzeczowych wyjaśnień. Mianowicie P. K. (wszystkie tego rodzaju ataki za plotki są zwykle oznaczone tylko literkami) wie, że gdzieś biją dzwony tylko nie wie w którym kościele. Rzeczywiście część pieniędzy miałem od "Pax" a to a) honorarium za książkę, która po naszym zerwaniu z tą instytucją, nigdy nie została wydrukowana.

b) stypendium imienia Teodora Parnickiego, również wypłacone przez "Pax". O tym, że byłem stypendystą Teodora Parnickiego mógłby P. K. wiedzieć, gdyby nie to, że notatka o tym wydarzeniu została zdjęta przez cenzurę.

(pili nie usypialił się mała  
to przypuszczalnie naszym, dlatego  
P. K. wypłacać nie było gotowym  
zwał tylko kłuskiem)

Wydaje się wspaniały wielostronicowy numer 100 ~~jaż~~to co  
było kiedyś marzeniem grupki młodych pisarzy i poetów ~~stał~~  
ma oficjalną sankcję. *Wtór z jawnie i nie rest. 2*

Patrzę się ~~w~~ na stopkę redakcyjną. ~~W~~ nieestety  
sprawdza się to co pisałem dwa lata temu. Ze starego zespołu,  
z ludzi, którzy stworzyli pismo nadawali mu treść i charakter  
~~pozostali~~ tylko dwie osoby. W dodatku na <sup>Techniczny 2</sup> pozycjach ~~na~~ których  
nie mają wpływu na linię pisma.

Współczesność istnieje. Prawdopodobnie będzie istnieć, gdyż  
potrzeba takiego pisma jest oczywista, lecz stała się  
poprostu uproszczoną edycją Nowej Kultury dla początkujących,  
jest grzecznie przylizana, poprawna, nie straszy błędami  
korekterskimi <sup>ulica - ...</sup> pisownią <sup>skłoniem</sup> nazwisk z małej litery, lecz jest także  
zwyczajnie i poprostu nudna. A to jest grzech śmiertelny  
dla każdego pisma.

Szanowny Panie Redaktorze. W związku z wydaniem setnego  
numeru pisma, którego kiedyś byłem naczelnym redaktorem,  
a także odkryciem irytującego artykułiku w star. numerze  
tegoż pisma proszę uderzyć o zamieszczenie ~~nie~~ tej  
wy. iedzi

*Tak więc  
z powodu ... nie ...  
... i ...  
... w kulturze ...  
... ..*

mi się w pracy pisarskiej. Nie jestem nai zachwycony ani rozczarowany, decydując się na emigrację nie spodziewałem się złotego runa i wiedziałem, że materialnie bym miał znacznie lepiej w Polsce.

Następnie zarzucono mi w tym samym artykuliem lawirancstwo polityczne i wulgryzację literatury. Powtarzam, że jeśli byłem zmuszony lawirować to jedynie dla tego, że innej drogi nie było. <sup>Wtedy widać</sup> Liczności zmuszały mnie do ~~wielu rzeczy by ratować~~ pismo i jego idee. Nie należy zapominać, że to co było czasem na pierwszej stronie nie pokrywało się z resztą zawartości pisma i nie ja jeden to widziałem. <sup>A ja nie widzi na mnie</sup>

<sup>Wtedy pisałem, że skoro bodejda od</sup> Pisał dalej koledzy, że uważałem, że skoro bodejda od Współczesności pismo upadnie, a oni dopiero poczuli się wolni i twórczy, gdy przeszło ich państwo.

Otóż nie, wcale tak nie uważałem, żadne pismo nie upadnie, <sup>zresztą</sup> które na subwencje państwowe, choćby miało 99% <sup>zresztą</sup> Uważam natomiast, że zaginęła idea Współczesności jako pisma, które chciało wnieść coś nowego do literatury, wstrząsnąć niejedną czcigodną a zapróchniałą osobistością i nie zawsze być grzecznie przytłaczane, słowem być niezależnym chociaż <sup>by</sup> tylko literaturze.

Cóż upłynęło te parę lat. Współczesność z prywatnego

mieszkania przesunęła się do oficjalnej redakcji. Od użerania się o gotówkę na druk i płaćenia honorariów wdeń ocen komu

bardziej buty się roz latują i sprządały przez redakcję <sup>zresztą</sup> numerów ~~zresztą~~ na rogu Aleji i Marszałkowskiej do stałych finansów.

5 TO NUMEROŹ

W owym czasie pękata koperta z wycinankami prasowymi, zaginęła gdzieś na swój drodze do mnie, tak że mogłem odpowiedzieć jedynie na ataki na mą osobę zawarte w Polityce i Kierunkach.

Otóż <sup>nie</sup> odwrót artykułik jest ~~przez~~ <sup>jest</sup> bardzo paskudny.

Otóż ~~czyż~~, że że po tych paru latach mogę o to pisać.  
 Żyję z ciężkiej i <sup>ciężkiej</sup> fizycznej pracy. Absolutnie o to tego  
 nie wotuję i nie rozpisuję, że mogę to zrobić nie przegadując

dokończenie ze s. 21

wiązał kontakt z PAX-em, który zgodził się być wydawcą. Wychodząc z prywatnego mieszkania Szymańskiego przy ul. Ludnej, gdzie mieściła się „redakcja”, wyszedłem z zespołu. Powróciłem na początku 1958 r., gdy „Współczesność” oderwała się od PAX-u i znalazła wydawcę w Biurze Wydawniczym „Ruch”.

Wtedy to w coraz większej grupie literackiej młodych skupionych wokół pisma pojawił się Stanisław Grochowiak, by od czwartego numeru z 1959 r. stanąć na czele pisma. Niestety, był jedynie p.o. (pełniącym obowiązki) redaktorem naczelnym i takim pozostał do szóstego numeru w 1960 roku. Po odrzuceniu propozycji nie do odrzucenia, wstąpienia do partii (na żądanie biura prasowego KC PZPR, a personalnie Jerzego Putramenta) przestał „pełnić obowiązki”. Na osłode miał przez pewien czas tytuł zastępcy naczelnego, później był już tylko członkiem zespołu. Przeszedł w końcu w 1961 r. do „Nowej Kultury” (późniejszej „Kultury”), gdzie prowadził dział poezji przez dziewięć lat, a zakończył karierę redaktorską w „Poezji” i „Miesięczniku Literackim”.

Jerzy Putrament był zarówno przy narodzinach, jak i śmierci „Współczesności”. Ostatni, 357. numer pisma ukazał się w grudniu 1971 r. Putrament przekazał od Nowego Roku 72 lokal, archiwum, drukarnię i – po weryfikacji – część zespołu nowemu tytułowi, „Literaturze”. Zabrakło w niej miejsca dla Grochowiaka...

### Poezja i proza życia

Wspomnienie, które wiąże nasze biografie, pochodzi z 1964 roku. Pojawiła się wtedy w moim życiu 17-letnia dziewczyna Elżbieta Ch., która wkrótce stała się uczestniczką spotkań literackich, wieczorów autorskich i prywatnych imprez. Staszek, gdy ją pierwszy raz zobaczył, określił ją najpierw jako „Madonnę Oświęcimską”, ale natychmiast cofnął błuźnierstwo i poprawił na „Miss Birkenau”, co się dość szybko w środowisku

któremu przysługiwało *ius primae noctis*... Zresztą i tak utyli i wyszła za mąż za angielskiego biznesmena.

### Symposion

Symposion to starogrecka nazwa drugiego etapu uczty (jak u Platona), gdy przyjaciele-biesiadnicy po spożyciu posiłku toczyli przy winie dyskurs, to poważny, to zabawny. Takimi pozostały w mej pamięci uczty z Grochowiakiem.

W okresie szefowania Staszka redakcja „Współczesności” była na Krakowskim Przedmieściu, tam, gdzie dziś mieści się Wydział Dziennikarstwa UW. Wychodząc po redakcyjnym kolegium, mieliśmy do wyboru zatrzesienie knajp w pobliżu: od wytwornych, hotelowych, po swojski w lecie „ogródek” – stoliki przy fontannie w kształcie kaczk – w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich na Foksal. Skład uczestników uczty ustalał Staszek, po prostu zwracając się do zaproszonych krótkim: idziemy!

To nieprawda, że chłaliśmy na umór. Pierwsze lata wspólnego picia pamiętam jako nader umiarkowany udział alkoholu w parogodzinnych biesiadach. Staszek pił równo połowę tego, co pozostali, gdyż z reguły opróżniał kieliszek w dwóch ratach. Nigdy też nie pamiętam go z tego okresu pijanego. Doprawdy, wódka była wtedy stymulatorem nastroju, rozluźniała poredakcyjne napięcie, powodowała większą szczerość i otwartość.

Dyskutowaliśmy o wszystkim, od problematyki metafizycznej, w której Staszek przejawiał ogromną erudycję, po złośliwe komentowanie wydarzeń artystycznych i występujących w nich osób. Grochowiak był obdarzony kapitalnym poczuciem humoru, był gawędziarzem znamiennym, sypał paradoksami. Sekundował mu Roman Sliwonik, wtórował ścichapek poważny, apoliński Władysław Lech Terlecki. Mirosław Malcharek, nasz etatowy grafik i satyryk ostatniej kolumny, błyszczał anegdotami środowiskowymi. Pamiętam uczty z Eugeniuszem Kabatcem, Januszem Krasińskim. Jerzy Fal-

## ŚWIĄTECZNA literatura

konformizmu politycznego; przeciwnie, walczył o poszerzenie wolności słowa, co w owych czasach było równoznaczne z buntem przeciw partyjnemu zamordyzmowi. Protestował przeciw aideologicznemu pięknoduchostwu pseudoromantycznych wzlotów, przeciw „pawim pióram” na głowach i potrząsaniu karabelami w muzeum literatury w imię narodowej tradycji; przeciw zawłaszczeniu romantycznej tradycji przez ludzi niezdolnych do czynu, którym wydaje się, że złoty róg jeszcze na sznurze wisi.

Jakże przyjemnie być buntownikiem, bezpiecznym, bo w deklaracji, nie w czynie! Niewielu dostrzegło, że Grochowiak występuje jedynie przeciw buntom nieskutecznym. Wychowany w tradycji udanego, solidnie przygotowanego powstańca w Wielkopolsce po prostu nie cenił z góry przegranych powstań. Do tych, którzy jego intencje zrozumieli, należeli niewątpliwie partyjni propagandiści. Wyczuli zagrożenie nurtu „romantyzmu rewolucyjnego”, sławiącego „bohaterów walki Nowego ze Starym”, ze strony autora wiersza „Powołal mnie Pan na bunt”.

Nie wiem,  
czemu przypisać  
tak długi czas wiary  
Grochowiaka  
w możliwość  
„socjalizmu  
katolickiego”.  
Wiary, że idea  
humanizmu  
socjalistycznego  
przepojonego  
chrześcijańskim  
duchem, jest szuszną,  
mimo ludzkiej  
małości i podłości  
jej głosicieli

Nie jestem miratorem politycznego i ny w poezji Staszek usi znajdować w najnows: haterowie w konflikt ona i Anty pretekstem nie dobrego nym dobri nych, a spi ło Grochov zystencjalr

I w tym t dorównał mii” w zmi nież w częś dostrzegan niecie, o k tator tomu kasiewicz: tu w istoci zie Groch od niej, z i mechan: ze sobą ze to przede jaca, częst wiara!) w sem (...) z su coraz v pisarza gr tyką. Takt dzała się: Mówią – Grochc ewoluc runku „cz lenia na t się w lep uznali je na nieput tę „Wspó rach Mir i dramatu ankiecie) mego sie w „hum

nych miastach jak trzy umyślnie, w wieczornej plaży/Pośród piasków... kiedy śniaga - fortec? (...)

Widziałem we śnie łód archeologiczną/Gdy obracając wieńcami łopaty/Z podobów krecie konopiste bierz/Grob owerwał jak królowiści porwał.

Wszystkie w głównej kaulumbi przogę/Słonegi ufnę, a gdy kurz już opadł/Słoneżyc miusiły za ciele zdobycze/Kości święte w puszczy otworu.

Nie po to przyszedł. Ale po człowieku/Przydałki próżne, którym obrano Od-

w poczuciu swej inności i niewątpliwie kopolamin-pozytywista w deklaracjach, był w życiu osobistym bałaganierzem niezwykłym. Nie podobał obowiązkom i głowy licznej rodziny, był obok w swoim świecie wyobraźni, nie troszczył się nazbyt o przyziemne potrzeby najbliższych. Cierpiał na życiowe niespełnienie - w małżeństwie, w muzyce. I co najbardziej go bolało - szybko samotność, utracił rolę przywódczą, do której się przyzwyczaili już w chłopcych latach. Odszedł od „pokołowania Współczesności”

dził się 24 stycznia 1934 r. Ojciec, Bronisław, kierował biurem notarialnym i przez czas jakiś prowadził kino. Chłopczyk był tam z dziadkiem ze strony ojca, Antonim, który na przełomie wieku jeździł na lokomotywie. On to wywarł wielki wpływ na przyszłego poetę, o czym Szaśka pisał w pamiętniku. Poświęcił mu w „Połowaniu na ciemność” piękną elegię „Działek”.

Malka, Pelagia z Pawelczaków, zajmowała się domem. Szaśka miał starszą o dziesięć lat siostrę Eugenię to dziewczę lat starszego brata Tadeusza, przyszłego prawnika. Rodzinie powodziło się nieźle, stać było na kupno wili z dużym ogrodem. Sielankę przerwała wojna. Wyselektowani w 1939 r. z ówczesnej Rzeszy do Generalnego Gubernatorstwa Grochowiakowie osiedli w Warszawie przy ulicy Hożej 9. Dziesięcioletni Szaśka przeżywał z rodziną Powstanie w piwnicy tego domu, a później, przez obóz przuszkowski, krótki pobyt w Częstochowie, Grochowiakowie powrócili do Leszna, gdzie ojciec podjął pracę w swoim biurze prawniczym. Szaśkiemu pozostał po Powstaniu uraz łokowy - bał się ciemności, spał wtedy przy świecy...

Lata szkolne, aż do matury w 1951 roku, były dla Szaśki pasmem sukcesów. Uczył się świetnie, opanował do tego stopnia łacinę i francuski, że tłumaczył Horacego i Lamartine'a. Uczył się z entuzjazmem, a nie z obowiązku.

## ŚWIĄTECZNA literatura

tam miał nabrać turystycznej sympatii do brzydoty), jako wychowawca w Dołmu Dziecka w Rydzynie i jako urzędnik w rożni lnu w Rawiczu. Był to okres intensywnego samoszkolenia w polonistyce i literaturoznawstwie. Pochłaniał książki Dosztojewskiego, Hamsuna, Witkacego, studiował wersyfikację. Zakochał się w polszczyźnie baroku.

Zaproszenie przez PAX w czerwcu 1953 do Płochowca na „obóz młodych intelektualistów” odmieniło życie Grochowiaka. Poznał wtedy Tadeusza Mazowieckiego, który wkrótce został redaktorem naczelnym „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego” i ściągnął Szaśkę do Wrocławia. Grochowiak prowadził dział literacki, drukował swoje wiersze, opowiadania, recenzje i humoreski, pisywał stały felieton „Lisy Redaktora Rozsądnego” - poradnik dla młodych poetów. Podjął znów próbę studiów polonistycznych, na Uniwersytecie Wrocławskim, ale zrezygnował szybciej niż w Poznaniu, choć przez ten krótki czas nauczył się podziału rosyjskiego i próbował tłumaczenia z Majakovskiego. Przygotował się, ale nie przystąpił do egzaminu w Wyższej Szkole Piastycznej. Zwyciężyła literatura: Grochowiak zaczął działać we wrocławskim Kole Młodych Związku Literatów Polskich i wchodził w środowisko pisarskie.

Grochowiak - poeta skupiony, zdyscyplinowany, Wielkopolanin - pozytywista - był w życiu osobistym bałaganierzem niezwykłym. Nie podobał obowiązkom i głowy licznej rodziny, był obok w swoim świecie wyobraźni, nie troszczył się nazbyt o przyziemne potrzeby najbliższych

nie zdalekim echem „Ody do młodości” młody człowiek winien myśleć przede wszystkim sercem, by mógł zostać społecznym człowiekiem na szaniek. Częstość dochodu do tego, że szaniec raptownie się zmienił, a kamienie porostowały te same.

Grochowiak zaczął propozycje nienowogromadzić, w końcu w końcu się do rozdanej nocy. Kolejny apel polityk wistyczny. Gdy zna się biografię Grochowiaka, widać wyraźnie, że odrębnym i bogoczytnym, niejonistycznym ide-

Finalnie młodzieńczej miłości z czasów liceum był ślub Stanisława Grochowiaka i Anny Magdaleny Herman zawarty 27 listopada 1954 r. w leszczyńskim kościele farnym św. Mikołaja. (Z nieznaną już Madzią mieli sześćoro dzieci, najstarszą córkę zaślubił brat Stanisława, Tadeusz). Zamieszkaliby w Wrocławiu w pokoju sublokatorskim. Wrocławską sielankę trwała krótko. W sierpniu 1955 r. nastąpił w PAX-ie rozłam zwany pierw rokoshem, a potem frontu. Trzej działacze: Stefan Bakinowski, Tadeusz Mazowiecki i Ignacy Rutkiewicz wystąpili przeciw władzy Bolesława Piaseckiego w imię odwilży i demokratycznych przemian. Piasecki usunął całą trójkę z PAX-u, a młodych do Warszawy. Nie było to jednak ciężkie zesłanie, skoro ofiarował Grochowiakom domek w Brwinowie i posadę w Instytucie Wydawniczym PAX. Dopiero po publikacji w październiku 1956 „Instytutu państwowego”, w którym Piasecki opowiedział się przeciw Gomulce, a za kontynuację stalinizmu, nawet przy użyciu siły - młodzi PAX-owcy zebrani w nocy u Szaśki w Brwinowie podpisali oświadczenie o wystąpieniu z PAX-u. Wtedy usłyszał o Stanisławie Grochowiaku, katolicko-lewicowym poecie, a wkrótce poznał się w Kole Młodych ZLP.

## Aleksander 21 WIECZOROWSKI Błysk meteoru GAIETA WYBORCZA

„Współczesność” powstała w postaci jednodniówki jesienią 1956 r. jako inicjatywa Leszka Szymańskiego, pościła tajemniczej, na polu nawiedzonej, na polu mianikowej. W czasie wielu po- październikowego w Pałacu Kultury i Nauki z Gomulką Szymański posłał szefowi partii na karteczkę propozycję, aby ten udzielił zgody na wydawanie czasopisma literackiego... i zgodę uzyskał. Pierwszy numer robiła czwórka: prócz Szymańskiego Roman Siwoniak, Jerzy Siewierski i Andrzej Chaciński. Była to udana symbioza grafomanii (drukowano każdy nadesłany materiał) z niespotykaną kolekcją błędów korektorskich. Pieniądze na tę jednodniówkę wyślogrował Jerzy Putrament, partyjny działacz w zarządzie ZLP, członek KC PZPR, literat i publicysta. (W tym czasie Putrament, były piewca socrealizmu, gorliwie starał się przypodobać „młodemu gniewnym”, nie stawiając pismu żadnych warunków politycznych).

W Kole Młodych ZLP zawrzało: był tytuł, drukarnia, pieniądze, brakowało zespołu. Nastąpił masowy akces do „Współczesności”, zgłosiłem się również. Ale pieniądze się skończyły i Szymański oznajmił pewnego ponurego dnia, że na-

dokończenie na s. 22

użytyby się inaczej. Nie było drogiego takiego człowieka, który wśród wielu politycznych meandrow i mecenasów potrafiłby to pismo założyć i doholować... Potem przychodziłem na Wspólną, kiedy „Współczesność” była pod egidą Paxu. Tam spotykałem często Romana Sliwonika, który był jednym z filarów tego pisma, i wschodzącą gwiazdę poezji — Andrzeja Tchórzewskiego, którego bardzo świeże i poruszające tłumaczenia poezji hiszpańskiej (García Lorki, Antonia Machado, Albertiego...) ukazywały się na pierwszych kolumnach „Współczesności”. Nieco później redakcja przeniosła się na Krakowskie Przedmieście vis-a-vis Pałacu Staszica. Tam często można było natknąć się na Kryskę i Grochowiaka — grających zapamiętałe w cymbałach. Bywał tam jako świetnie zapowiadający się poeta jakający się Jerzy Skolimowski. Pamiętam, że kiedyś przyszła wybitna i piękna rzeźbiarka Alina Szapocznikow pytając, czy może dostać honorarium za szkice swych rzeźb — z wielkim zażenowaniem, bo to były grosze. Jedną z najbardziej barwnych postaci w redakcji był Marian Osniowski. Z jego postacią związanych było wiele anegdot. Kiedyś wysłano go do Olsztyna na konferencję w sprawie ochrony lasów. Po wysłuchaniu poważnych referatów naukowców i władz administracyjnych zadał tam tylko jedno pytanie: — Przepraszam panów, czy w tych lasach są wilki? Był to poeta bardzo urokliwy i wiecznia nieobecny.

Tu muszę zwrócić uwagę na coś niezwykle ważnego dla tego pokolenia. Była to sfera obyczajowości, otoczka obyczajowości wokół literatury, sztuki, której nie miały już następne pokolenia. A kiedy redakcja przeniosła się na Kopernika — redaktorem naczelnym był wówczas Stanisław Grochowiak — kolegia redakcyjne odbywały się zazwyczaj w „Harendzie” i kończyły się często biesiadą suto zakrapianą alkoholem. Poetom towarzyszyli muzy. Istniało także ogromne grono kibiców, entuzjastów poezji, oddanych przyjaźni, biesiadników — podobnie jak w tych transmisjach estetycznych w okresie modernizmu. Pewien rys obyczajowy tamtej epoki przeniósł się do tego pokolenia wzmacniany jeszcze obyczajowością paryską epoki Sartre’a i Juliette Greco — o literaturze, sztuce dyskutowało się w kawiarniach, w knajpkach. Dzięki temu literatura nabierała cech ludzkich, nie była literaturą gabinetową. Stałym lokalem „Współczesności” był słynny „Manekin” na Starym Mieście (później „Largactil”). Rolę paryskiej Juliette Greco pełniła Sława Przybylska a naszą poetycką muzą była Maja Wachowiak — bohaterka filmu „Pozegnania” — którą Grochowiak nazywał polską Gretą Garbo. Miejscem poetyckich spotkań była także kawiarnia „Kamienne Schodki”. Tam bywali również późniejsi poeci „Orientacji”. Pamiętne były wieczory: Bar-

any Sadowskiej i Józefa Glieli, czy Edwarda Stachury i Janusza Zernickiego. Pamiętam, że w czasie wieczoru Zernickiego i Stachury na parapecie okna siedział dziwny człowiek o bardzo młodzieńczej twarzy. Człowiek ten co chwila przerywał każdemu z dyskutujących i z niezwykłym zapalem wypowiadał swoje racje. Zapytałem kogoś: — Kim jest ten dziwny człowiek? — To taki wariat z Torunia — usłyszałem — chce tworzyć nową literaturę, coś tam gada o Peiperze, Przybosiu, Awangardzie, ale bardzo niezrozumiale. Spojrzałem w kierunku okna: gdzie siedział ów człowiek i zapamiętałem jego palące się oczy i rozbiegane ręce. Nie wiedziałem, że los połączy mnie z tym człowiekiem na dobre i złe.

Kilka słynnych wieczorów odbyło się także w „Krokodylu”. Pamiętny był zwłaszcza wieczór autorski Andrzeja Brychta i Romana Sliwonika. Dyskusja była wtedy tak zażarta, że trzy razy podjeżdżała karetka pogotowia.

P. D. Obyczajowość tego okresu wpływała na pewno na charakter prasy literackiej, społeczno-kulturalnej, miała w niej swój obraz.

Z. J.: Obok pisarzy i poetów ton nadawali prasie felietoniści. Niedawno Passent w „Polityce” napisał o tzw. turnieju polskich felietonistów. Zaledwie napomknął tam o Haimiltonie, który był najbardziej wojującą postacią „Współczesności”. I dlaczego zapomniano o tak znakomitym felietonistcie jak pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia Andrzej Dobosz, który pismu przydawał barwy i splendoru. Ten pospiech myślowy zabija w nas cenne wspomnienia. Felieton Dobosza czytane także dzisiaj są niepowtarzalne. Jak nikt inny potrafił on prawie na posób proustowski zarysować obyczajowość tamtych czasów. Tu przypominam mi się jedna z jego anegdot. Magda Leja — słynna w tym czasie prozaiczka, autorka powieści *Histeryczka* — zaproszona została na przyjęcie do ambasady francuskiej. W pewnym momencie ambasador pyta: — Może pani się czymś poczęstuje? — A Magda Leja odpowiada: — Nie jestem głodna.

P. D.: Twoje osobiste kontakty, przyjaźnie z pisarzami pokolenia 56, których cenileś najbardziej nie tylko za ich twórczość?

Z. J.: Jeszcze przed powstaniem „Współczesności” wielką moją fascynacją poetycką był Sławomir Kryski, który drukował wtedy kilka razy na kolumnach młodych w „Po prostu”. Potem zamieniło się to w przyjaźń. Zaprzyjaźnieni byliśmy kiedyś bardzo z Ernestem Bryllem. Z Andrzejem Gronczewskim jeździliśmy do Otwocka, gdzie Bryll mieszkał w bardzo skromnym pokoiku z żoną Ewą. Biesiadowaliśmy tam często przy domowej pieprzówce do późnej nocy sple-

do Lenka

KULTUR  
1986

**D**obiegają końca prace naukowo-badawcze nad opracowaniem wielotomowej encyklopedii grup literackich w Polsce (okresu powojnia, przetrwania, jedy, nadal sprawa dyskusyjna, na którym roku zamknąć tom ostatni). Będzie to źródłowa dysertacja opracowana pod kierunkiem naukowców — dokumentalistów. Znajdzie się tam także hasło Grupa Literacka „Współczesność”. W kwietniu 1986 roku minie trzydzieści lat, od utworzenia Zespołu Literackiego „współczesność” (taką nazwą przyjęliśmy, a „współczesność” zawsze pisaliśmy małą literą i naśladując futurystów podpisywaliśmy się w druku także małymi literami).

Atakowano nas w prasie często również i za to, małe literki... Boże ty mój, za co nas wtedy nie atakowano? Za wszystko... Za poezję, prozę, krytykę literacką, artystyczną, za próby przybliżania się do deklaracji programowej naszej działalności jako grupy literackiej i za wydawanie i redagowanie dwutygodnika „literackiego” „współczesność” (w winiecie skład tytułu także dawaliśmy małymi literami).

Najbardziej zapiekła, atakowała nas grupa pisarzy i dziennikarzy z formacji pośia J. Frankowskiego z „Za i przeciw” (co nie przeszkodziło mu później w złożeniu nam ustami, przemiłej, Basi Eysymontt propozycji finansowania edycji naszego dwutygodnika przez Instytut Chrześcijański i grupę „Za i przeciw”). Kiedy naszemu dwutygodnikowi groziła plajta, zwróciłem się o opiekę nad nim i podporządkowanie go jakiejś instytucji państwowej lub spółdzielczej — ówczesny kierownik Biura Prasy odmówił.

Zrozpaczony brakiem środków materialnych, Marianek Ośnialowski zwrócił się do mnie: — słuchaj, Jurku, a może byśmy poszli do PAX-u na garnuszek, może on finansowałiby wydawanie pisma?

I tak też się stało. Po moim telefonie do centrali Stowarzyszenia, Mieczysław Kurzyński przyjął mnie oraz Leszka Szymańskiego redaktora naczelnego i prezesa grupy literackiej „współczesność”. We trzech zawarliśmy porozumienie, iż Stowarzyszenie „PAX” zgadza się od 1 lutego 1958 roku finansować wydawanie dwutygodnika literackiego „współczesność”.

Zgrany dotychczas zespół redakcyjny „współczesności” i cała grupa literacka „wpadła” w ul sporów i polemik, w związku z tą decyzją. Ale wróciliśmy do punktu wyjścia.

Jak doszło do utworzenia zespołu literackiego „współczesność”, co zdziałaliśmy przez trzy lata istnienia grupy i pisma, jak doszło do prób niszczenia nas?

Być może wiele nam można było zarzucić, zarówno jako grupie działającej

najbardziej uprzywilejowana w naszych działaniach była sztuka wszystkich królów, czyli poezja. Nowa poezja polska. Był to najpiękniejszy okres naszego życia. Przerywaliśmy naukę w liceach (swoją), na studiach, porzucaliśmy pracę zarobkową, bydziałali (dokładnie do wydawania dwutygodnika literackiego Zespołu Grupy Literackiej „współczesność”).

Zjazdiki, festiwaliki, sesyjki krytyczno-literackie, dyskusyjki, polemiki i niebawem wielkie polemiki, tak na łamach macierzystej „współczesności”, jak i na gościnnych łamach starych czasopism (gdzie niekiedy raczono nas dopuścić z naszymi tekstami).

„Filarowi „współczesności” ojców, ości” — zadedykował mi swoją książkę Julian Przybóś. Filarowi organizacyjnemu, propagandyście niezmordowanemu w upychaniu piszących kolegów po wieczorach autorskich i spotkaniach, gdzie się tylko dało. Za honoraria i bez. Ze zwrotem kosztów podróży i nie. Nikt z tego nie robił problemu, jeśli nawet (jak Andrzej Brycht) musiał wracać po ciagiem „na gapę”.

Aż oto pewnego pięknego dnia przyszło autentyczne objawienie. Za-

latach przecież stalinowskich... aż ta nasza przygoda intelektualna, literacka, teatralna, plastyczna, muzyczna-kompozytorska (Olkuśnik, Fotek, Penhershki, Pruszyński, Konowski, Wysocki), poczęła ściągać istne na nas nagonki. Polityczne, prasowe, paszkwilantkie. I dobrze, iż tak było. Sami przecież publikowaliśmy artykuły — paszkwile. Celowali w nich najbardziej Zbyszek Irzyk i Jan Zbigniew Siojewski oraz inni pod pseudonimami lub nie.

Aż dobrało się do nas Biuro Prasy nie na żarty. Zabawa w literaturę zaczynała się kończyć. Ku końcowi miały się nasze żarty w kabaretach, i „togi” i „koturny” i „profesor-skie” moralizatorstwo w szkiecach krytycznych...

Zaczął nadciągać koniec. A tak naprawdę to dopiero wówczas wszystkiego się uczyliśmy. Życia, sztuki, literatury, pracy, społecznikostwa.

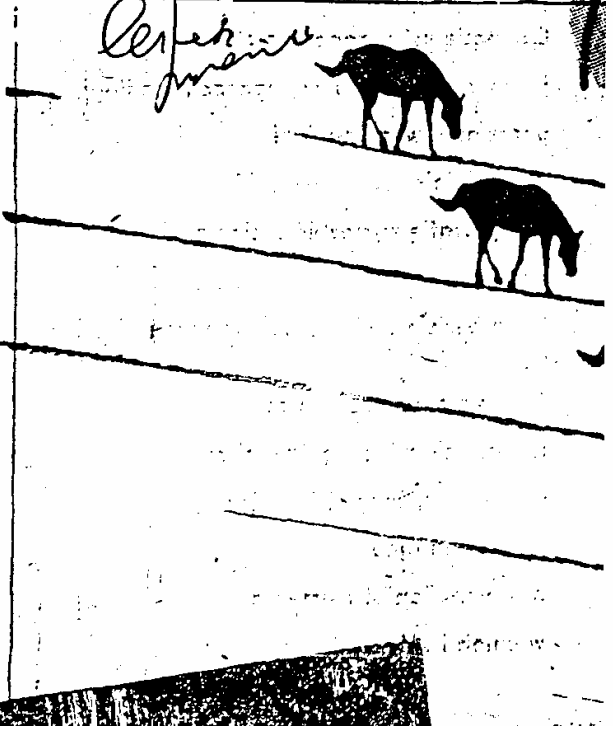
Wyrośnięci podówczas młodzieńcowcy, staraliśmy się być wobec wszystkich rycerscy. Gra, zabawa, aktorstwo, przekora, chęć platania psikusów i figli zgola proveniencji sztubackiej... rychło miały trafić na łamy pism, atakujących Brychta i Sliwonika za ich pozy. Ale z tych

na nas, lub na okiem z torów p czesność litr wó karskiej gotowe, karską dowaliś mery sy to ra d bami p ulicach W ad mę nie! megafor „współc I oto t nistów, co i ki dogował my je, literack torskic my wte Siemion jego up ezji m w stał licznyc czas wi zryli st

Jerzy  
Stanisław  
Czajkowski

Nieoceniony pismo em  
Rozprawy i felietony  
Alfonsa Wpółczesności

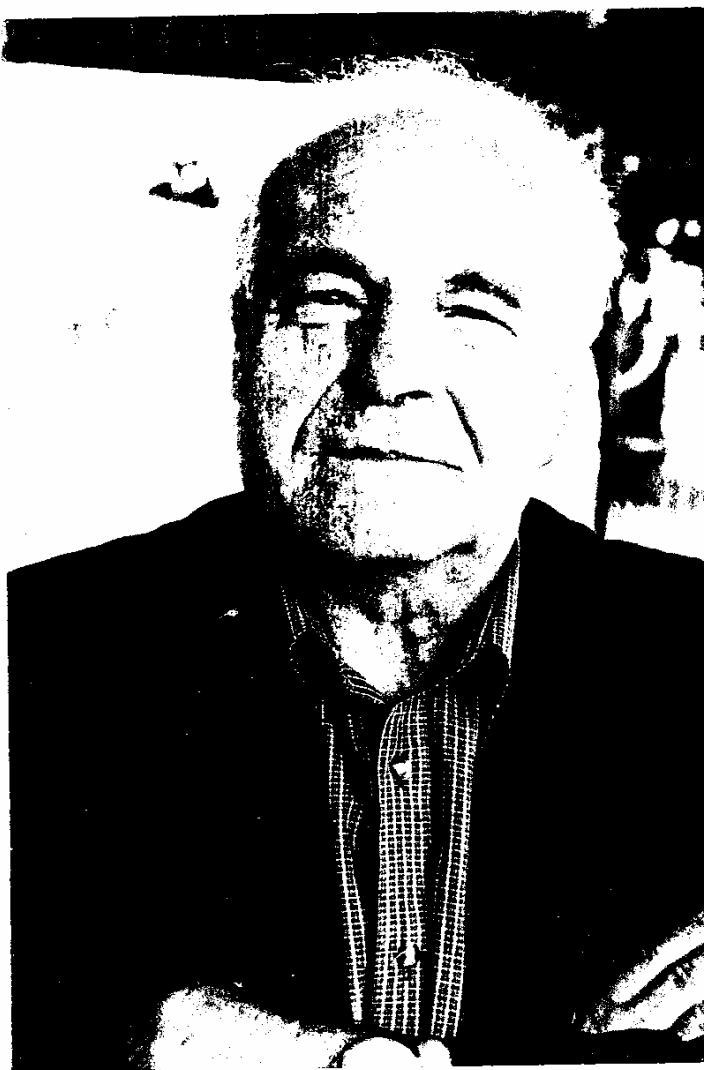
współczesność



upominałby się o polskich twórców starszego pokolenia i tych, którzy nie przystają do chóru większości. Chodzi o podtrzymanie wysokiej rangi i godności literatury, zwłaszcza jej nurtu patriotycznego w świadomości naszego społeczeństwa.

- Sam wiem, że niektórym zasłużonym, żyjącym i opozycyjnie nastawionym redaktorom pisma należą się dziś odznaczenia i nagrody. Myślę nawet, że na Ludnej 4 w Warszawie powinno wmurować się płytę marmurową w rocznicę 50-lecia powstania „Współczesności”. Leszek Szymański, który tam mieszkał, zupełnie zgadza się z tym pomysłem. Co ty o tym sądzisz?
- Zawsze byłem przeciwny wyłącznie odświętnemu i rocznicowemu traktowaniu literatury; najważniejsze jest zachowanie jej trwania. Ale pod tym względem rola Leszka Szymańskiego jako pierwszego redaktora naczelnego pisma, Jerzego Siewierskiego, Romana Śliwonika i pierwszych redaktorów pisma, jest niezwykle ważna i trudna do przecenienia, gdyż potrafili bakcylem literatury zarazić wielu młodych ludzi i zachęcić ich też do uprawiania twórczości o wybitnych walorach artystycznych i poznawczych. Wolałbym nie tyle wmurowania tablicy pamiątkowej, ile to, żeby o znakomitych twórcach tego okresu pamiętano z należnym dla ich dorobku szacunkiem.
- A ja jednak uważam, że pewne formy upamiętnienia powstania „Współczesności” i nagrodzenia jej twórców to już dla dzisiejszego pokolenia Polaków obowiązek. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Stanisław Stanik



- Przeszedłeś po okresie pracy we „Współczesności” do PAXu. Dlaczego i w jakich okolicznościach to nastąpiło? Co przeniósłeś z tamtego pisma do nowego?
- Zostałem w końcu 1959 roku wraz z całą grupą redaktorów zwolniony ze „Współczesności”. Wtedy o tym fakcie dowiedzieli się Anka Kowalska i Mikołaj Rostworowski i zaproponowali współpracę z działem literackim „Kierunków”. Anka Kowalska dała mi wówczas do zrecenzowania wydane tomiki wierszy Andrzeja Piotrowskiego, Józefa Szczawińskiego, Zdzisława Łączkowskiego. Dały mi asumpt do artykułu „Sylwetki poetów”. Do nowej pracy przyszedłem na miejsce Andrzeja Brychta i objąłem jego biurko, w którym znajdowały się jeszcze butelki po piwie i stare koszule (Andrzej wynajmował przygodnie mieszkanie w Warszawie). Spotkałem się z bardzo życzliwym przyjęciem i odtąd aż do rozwiązania „Kierunków” byłem redaktorem działu, a przez ostatnie 10 lat po Zdzisławie Umińskim, bardzo mi zawsze życzliwym, kierownikiem literackim w piśmie. Czas ten zaowocował możliwością poznania się ze znakomitymi pisarzami i krytykami takimi jak Melchior Wańkowicz, Jan Dobraczyński, Wojciech Żukrowski, Teodor, Parnicki, Kazimierz Truchanowski, Aleksander Rymkiewicz, Alfred Łaszowski, Aleksander Rogalski, Zygmunt Lichniak. Moimi przyjaciółmi i bliskimi kolegami stali się odtąd Zdzisław Umiński, żołnierz Powstania Warszawskiego, i Józef Szczypka, autor pierwszej książki o Janie Pawle II „Droga do Rzymu” oraz „Jan Paweł II – Rodowód”, o czym niewiele pamięta, a z młodszych moich kolegów – Stefan Jończyk, Ewa Szonert, Zdzisław Łączkowski, z którym wspólnie dzisiaj w Łomiankach w tamtejszym Domu Kultury prowadzimy wieczory wspomnień o znanych i bliskich nam autorów, a z młodszych – Stanisław Stanik i Stefan Jurkowski. Moje pamphletyczne tendencje zaowocowały potem książką wydana przez IW PAX „Królestwo literatów”, gdzie atakowałem oportunistów i dyspozycyjność niektórych twórców. Przy okazji chciałbym podkreślić ogromne zasługi tej świetnej oficyny dla polskiej kultury, o czym obecnie często się zapomina.
- Korespondowałem, i to długo, z pierwszym naczelnym pisma, Leszkiem Szymańskim, dziś mieszkającym i pracującym w USA (od lat). Uważa, że nie docenia się „Współczesności”, przecenia zaś „Wiadomości” londyńskie czy paryską „Kulturę” za granicą.
- Jak faktycznie komparatystyka ustawia miejsce i pozycję „Współczesności” w dorobku kultury polskiej ostatnich dekad lat?
- Niewątpliwie „Współczesność” odegrała ogromną rolę w dorobku polskiej literatury minionych 50 lat, zwłaszcza w pierwszym okresie, kiedy była pismem młodych twórców. Na jej łamach debiutowali -bądź zamieszczali swoje teksty - tak znakomici twórcy (tzw. „spóźnieni debiutanci”) jak Miron Białoszewski, Sławomir Czachorowski, Zbigniew Herbert (przedstawiciele pokolenia wojennego), Stanisław Grochowiak, Ireneusz Iredziński, Edward Stachura, Jerzy Harasymowicz, Tadeusz Śliwiak, Andrzej Brycht, Barbara Sadowska, Jan Himilbach, Władysław Lech Terlecki, Bogdan Wojdowski, Jerzy Krzysztoń, Ernest Bryll – słowem, najwybitniejsi przedstawiciele tej generacji. Poza tym że „Współczesność” upominała się o inną hierarchię wartości w literaturze XX wieku, szukała otwarcia w stronę nowych komercji artystycznych i myślowych. Szukała tego, co uniwersalne, odkrywała literaturę przekraczającą obszary wąskiej twórczości socjalistycznej. „Współczesność” była w pierwszym okresie swego istnienia swoistym fenomenem w życiu PRL, poza tym że była przez jakiś czas pismem prywatnym, nie podlegającym dyktatowi władzy, stała się trybuna młodych twórców, upominała się także o kontakt z literaturą światową, zarówno w zakresie tradycji europejskiej oraz światowej, jak i literatury współczesnej. Ukształtowała całe pokolenie ludzi wchodzących w życie w połowie lat 50-tych, pozbawionych ciągłości w literaturze polskiej i obcej. Szkoda, że dzisiaj takiego pisma nie ma w III Rzeczypospolitej, gdyż potrzebny jest periodyk, który

pisma młodych - interesujący esej o Lwie Tolstoj, który autor książek wydanych w PAXie napisał w czasie naszej dwugodzinnej rozmowy w jego mieszkaniu na Starym Mieście). Było to znaczne poszerzenie kręgu autorów – odbyliśmy w tym czasie m.in. podróż do Krakowa, gdzie poznaliśmy naszych kolegów poetów i plastyków z tego miasta (m.in. zetknęliśmy się po raz pierwszy z Ireneuszem Iredyńskim, z Andrzejem Bursą, z którym podczas spotkania w Halinie nad Liwcem założyliśmy się, kto zje więcej bitej śmietany). Andrzej Bursa, ponieważ nie mógł spać, pożyczył ode mnie „Dołę człowieczą” Maïreaux i dopiero w Warszawie zwróciłem się, żeby mi oddać, a on: „Szkoda, że pamiętałeś, bo książki nie przeczytałem”. Do tej pory jest mi jakoś smutno, że przeze mnie tej książki nie dokończył. Upłynęło parę miesięcy i Andrzej zmarł. W czasach paxowskich poświęciłem we „Współczesności” wierszom Bursy całą rozkładówkę. W tym czasie poznałem się też z Andrzejem Brychtem, którego pierwsze opowiadania drukowałem we „Współczesności” jak „Blit”, „Balbina” i „Cygan” oraz reportaż „Ulica Piotrkowska”, zapowiadające talent na miarę Hłaski. Słowem, był to okres poszerzenia kręgu naszych tematycznych poszukiwań i pozyskiwania ciekawych autorów. Władze partyjne bały się, że młodzi wymkną się spod kontroli i doszły do wniosku, że gdy Pax zawłaszczy sobie młodych twórców, stanie się konkurencyjny ze środowiskami partyjnymi, w związku z tym nastąpiło przejęcie przez „Ruch” pisma i właśnie od jesieni 1958 roku redakcja znalazła się na Krakowskim Przedmieściu (w Pałacu Zamoyskich). Część zespołu odeszła (m.in. Roman Śliwonik i Jerzy Siewierski), pozostała część została pod koniec 1959 roku usunięta – jako domniemana frakcja inteligencka. W okresie paxowskim zaczęliśmy bardziej zwracać uwagę na treści obywatelskie i patriotyczne zawarte w dziełach polskich pisarzy.

- Kiedy skończył się bojowy, antyreżimowy okres pisma? W jakich okolicznościach wyłonił się nowy? Co się potem stało?
- Przez pewien czas – już pod „Ruchem” – redakcję objął Stanisław Grochowiak, i to był z pewnością najwspanialszy okres w rozwoju tego pisma (dołączyli do niego wszyscy właściwie najlepsi twórcy młodego pokolenia). Grochowiak był krótko naczelnym, półtora roku – i zaczęły się znów zakusy pisarzy partyjnych na przejęcie pisma. Pismo wprawdzie wtedy uzyskało status oficjalnego dwutygodnika literackiego, ale straciło najważniejszy atut – młodzieńczy bunt i dołączyło do sielskiego krajobrazu polskiej kultury PRL. Na miejsce „Współczesności” z połączenia z „Przeglądem Kulturalnym” powstała „Kultura”.
- Jak przedstawia się – najogólniej mówiąc – Twój dorobek publicystyczny na łamach pisma? Z jakim przyjęciem się spotkał?
- Przede wszystkim zaznaczyłem się jako pamfletysta, potem dołączył ze znakomitymi rezultatami w tym gatunku Zbyszek Słojewski. Chodziło mi przede wszystkim o wzbudzenie zainteresowania sprawami literatury i zachwiania sztywnych autorytetów i hierarchii w literaturze polskiej. W szkicach pamfletycznych była zakamuflowana pośrednio polemika z rzeczywistością literacką. Ukazało się sporo moich artykułów dotyczących różnych autorów i różnych dziedzin jak i wywiadów ze znanymi pisarzami, w których czuliśmy swoich sojuszników. Do najbardziej komentowanych również za granicą tekstów był mój szkic o Nałkowskiej, esej o markizie de Sade, polemika ze Słonimskim, który o wierszach młodych wypowiadał się bardzo krytycznie i uważał, że piszą i bez sensu, i bez rymu), były też artykuły o literaturze fantastycznej i nazwijmy to – moje polemiki ze współczesnymi młodymi pisarzami – z Moniką Kotowską oraz z Markiem Hłaską, którego – oceniając z perspektywy lat – atakowałem nieco niesprawiedliwie, ale była to w jakimś sensie i zazdrość o jego wielki talent i to, że nie związał się z naszym pismem.

zginął, Jerzego Piechowskiego, mojego kolegę ze studium wojskowego, choć kończył klasykę.

- Na czym polegała opozycyjność, antyreżimowość pisma? Mógłbyś dać przykłady, że tak było?
- Szymański pod tym względem przesadza – buntowaliśmy się głównie przeciw zastanym hierarchiom i wartościom, naczelnym hasłem „Współczesności” była nowoczesność. Przez nowoczesność rozumieliśmy nie tylko to, co nowe, ale i niemieszczenie się w kanonie realizmu socjalistycznego. Mieliliśmy głębokie przekonanie o potrzebie odkłamywania rzeczywistości, temu miały właśnie służyć nowy język i nowe konwencje. Do tej pory szczytem twórczości była literatura realizmu XIX-wiecznego i socjalistycznego – my pragnęliśmy iść dalej. Upominaliśmy się o prawo jednostki do własnego szczęścia, awangardę pojmowaliśmy synkretycznie, bliskie nam było to, co pomijane w tradycji polskiej i europejskiej, bo przez długie lata byliśmy odcięci od niektórej literatury (w prohibicach na Uniwersytecie Warszawskim znajdowały się wtedy nawet dzieła Dostojewskiego). Chodziło – powtórzę – o odkłamywanie rzeczywistości, nie o opozycyjność.
- Czy byli jednak koledzy, którzy wyróżniali się w „niepoprawności” politycznej – w postępowaniu i w druku? Jakie artykuły wzbudziły największe zastrzeżenia u władz?
- Takich autorów „nieprawomyslnych” tekstów było bardzo sporo. Klasycznym przykładem tego był wiersz „Węgrom” Romana Śliwonika, poświęcony rewolucji na Węgrzech. Z jego powodu nawet po 2 numerze „Współczesność” została zawieszona. Po moim szkicu o Nałkowskiej – ponieważ użyłem zwrotu Sowiet, nie Związek Radziecki – pierwsza część nakładu pisma poszła na przemiał, reszta ukazała się z poprawką „na ZSRR” z wypustkami cenzury. W ogóle byliśmy podejrzani, bo upominaliśmy się o przemilczaną literaturę dwudziestolecia międzywojennego. Nawiazaliśmy kontakt z Anatolem Sternem czy Aleksandrem Watem, drukowaliśmy pierwszy komiks poświęcony „Witaj smutku” Francoise Sagan czy pierwszy reportaż o striptizie w „Stodole”, co w naszym przekonaniu stanowiło rodzaj buntu przeciw formom drobnomieszczaństwa. Byliśmy stale na cenzurze i przez długi czas źle o nas pisano (choć faktycznie pismo „Współczesność” na początku było amatorskie), ale za to pojawiły się w niej wielkie talenty i osobowości literackie (zjawili się Brycht, Nowakowski, Ośnialowski, dołączyli Grochowiak, Lech Władysław Terlecki, Ireneusz Iredyński). „Współczesność” stała się pismem ogólnopolskim, drukowali w niej Herbert, Swen Czachorowski, Białoszewski, Poświatowska. To był też czas wielkich lektur – z jednej strony pisarzy egzystencjalistów (Sartre, Camus, Joyce, Kafka), z drugiej autorów „nowej powieści” – Butora, Nathalie Sorraute, a z trzeciej odkrywaliśmy ciekawe zjawiska z literatury światowej (Gide, Joyce, Kafka, Eliot).
- W dziejach pisma pewną pozytywną rolę odegrał PAX. Na czym ona polegała?
- Przez cały czas trwała od 1 numeru walka o przetrwanie dwutugodnika, bo to było pismo właściwie prywatne, a podstawą utrzymania prasy jest papier, lokal, honoraria, więc Leszek Szymański, który flirtował ze Stronnictwem Demokratycznym, nawiązał kontakt z PAXem i ten odniósł się do nas z wielką życzliwością od połowy 1957 roku do lipca 1958 roku (to był okres „paxowski” „Współczesności”), kiedy to „Współczesność” z gazetki amatorów stała się pismem w miarę profesjonalnym. W redakcji otrzymaliśmy po raz pierwszy lokal przy ul. Wspólnej 63, etaty, pensje i – trzeba przyznać – bardzo dużą wolność wypowiedziania się, chociaż w stopce redakcyjnej znaleźli się również przedstawiciele PAXu, nasi koledzy i władze (Augustowski, Szczawiński, Komender, Wójcik, Janicki). Był to też okres, w którym poznaliśmy wielu wybitnych twórców starszego pokolenia, którzy nawiązali z nami współpracę (Rembek, Władysław Jan Grabski), osobiście uzyskałem od Stanisława Cata Mackiewicza – jako przedstawiciel

# "Współczesność" oczami jej krytyka

## Rozmowa z redaktorem pism literackich, Zbigniewem Irzykiem

- Krążą opinie, zupełnie sprzeczne ze sobą, że w 1956 roku najpierw powstała grupa literacka „Współczesność”, potem pismo pod tą nazwą, to znów że odwrotnie. Jak to według Twoich wiadomości było naprawdę?
- Naprawdę to najpierw powstała grupa literacka „Współczesność” i potem dopiero, kilka miesięcy potem, pismo o tej samej nazwie, do którego weszła tylko część osób z tej grupy (Szymański, Czajkowski, Chaciński, Ośniałowski, Sliwonik, Siewierski). Ta grupa – pierwotna „Współczesność” – istniała 2 lata, bo potem musiała wchodzić w układy (z PAXem, „Ruchem”) i zmieniała się. Członkowie tej grupy, warto wiedzieć, wchodzili w skład zespołu jeszcze za redaktorstwa Grochowiaka, byli w nim niektorzy do 1959 roku, a potem doszli do władzy aparatchycy.
- Powstają wywiady, artykuły, wspomnienia, które doskonale i w miarę dokładnie wskazują okoliczności powstania i funkcjonowania pisma „Współczesność”. W jakich warunkach i jakiej sytuacji – powtórzmy – rodziło się ono?
- Jak podaje w swoich wspomnieniach Leszek Szymański, redaktor naczelny pisma, u jego początków – powód narodzin „Współczesności” był prosty: młodzież nie miała gdzie pisać, a starzy nie chcieli jej dopuścić na łamy „Nowej Kultury”, „Przeglądu Kulturalnego” czy „Życia Literackiego”. Taki był zasadniczy impuls, żeby wydawać nowe pismo. Zostało rozwiązane „Po prostu” i wszyscy oczekiwali, że „Współczesność” przejmie jego rolę, a „Współczesność” postawiła na sprawę kultury, literatury. To był rok 1956, a zatem nadeszły też inne oczekiwania wobec sztuki. Pismo spontanicznie powstało w opozycji do socrealizmu i do literatury produkcyjnej. Młodzi chcieli pisać o sobie, nie o partii, nie o ciężkiej harówce. Pisarze partyjni – przyuczani – stwarzali hierarchię wartości, a my podjęliśmy formę buntu (do przyuczanych należeli choćby Mandalian i Szczypiorski). Odtąd „Współczesność” stanowiła bardzo płynny zespół, a jej kolejnymi redaktorami po Leszku Szymańskim, kierującym dwutygodnikiem jeszcze na początku 1959 roku i po Grochowiaku, byli Witold Dąbrowski, Stanisław Kuszewski, Anna Bukowska, Andrzej Lam, Józef Lenart i na końcu sam Jerzy Putrament...
- Kiedy wstąpiłeś do zespołu „Współczesności” i jaką rolę zacząłeś w niej pełnić?
- Podjąłem współpracę ze „Współczesnością” dzięki mojemu koledze ze studiów, Jurkowi Siewierskiemu, który był redaktorem w „Nowych Książkach” i współtwórcą „Współczesności”. Już w 3 numerze pisma z Jerzym Łojkiem złożyliśmy „eseik” „Edgar Allan Poe sfalszowany”. Była to polemika z wyborem opowiadań pisarza amerykańskiego dokonany przez Janusza Wilhelmięgo. Już od numeru 4, będąc studentem polonistyki, wydrukowałem pamflet o młodej Nałkowskiej – to była forma mojej opozycji przeciw obowiązującej hierarchii wielkości (u Nałkowskiej dostrzegałem dworskość wobec kolejnych ekip rządowych, bo przed wojną była ulubienicą władz, a po wojnie gościła w Moskwie). Od tej pory byłem redaktorem „Współczesności” i kierowałem działem krytyki literackiej do końca 1959 roku. Ściągnąłem wówczas do „Współczesności” moich kolegów – głównie z seminarium Jana Kotta i prof. Zofii Szmydtowej, m.in. Piotra Wierzbickiego, który pisał szkice o młodym Mickiewiczu i Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, Zbigniewa Jana Słojewskiego, który zadebiutował słynnym „Egzaminem magisterskim” (uznając studia uniwersyteckie za anachroniczne), a potem m.in. Ryszarda Zengla, świetnie zapowiadającego się krytyka literackiego, który wkrótce tragicznie

ezonów ze stemplem «czysty realizm». I sztyto kombinowany derowymi niemi. Dziś esteci chcą rewindykować fraki. żywając tych samych nici. Z remanentu».

o w numerze są interesujące parodie prozy Marka Hłaski ek na *petiti*) oraz Adolfa Rudnickiego (*Niebieskie kartki*. : tu wiersz Ernesta Brylla (*Ballada o obłąkanym*). Są opo- :fa Lenarta (*Hiena*), Leszka Szymańskiego (*Słub*) oraz niżej List ze ściunij). Jest wreszcie ciekawy szkic literacki poła- Jerzego Łojki i Zbigniewa Irzyka: *Edgar Allan Poe sfa-*

i jest, że po oficjalności, nudzie, uproszczeniach wszelkiego : znajdował czytelnik prasy społeczno-kulturalno-literackiej /spółczesność» przynosiła rzeczy całkiem inne, budzące au- nteresowanie, bez względu nawet na stosunek do poszcze- roji: artykułów, szkiców, recenzji, felietonów, opowiadań,

ierze następnym, z lutego—marca 1957 „Współczesność” re- :a czołowiec: 14 stron — tylko 2 złote. Nakład 50 000. : artykuł programowy, tym razem Jerzego Siewierskiego: /kłęta.

rozprawa przeciw niedawnym zakazom publikowania lite- istyczno-pesymistycznej”, wydawanej na „zgnitym Zacho- broni wybitnych twórców Zachodu i ich dzieł, które mimo -ch opisów rzeczywistości posiadają na ogół walory huma- niei. Jak niedługo miała zaświadczyć przyszłość, postulaty : pozytywnie uwzględnione. Czytelnik polski zaznajomił się Camusem, Hemingwayem i Faulknerem, Frischem i Dür- ie licząc wielu innych.

nych ciekawostek — co tu mamy? Krótką sztukę Lecha :ańskiego pt. *Narodziny Afrodyty*, wystawianą w słynnym :ona Białoszewskiego na ul. Tarczyńskiej. Dalej — opowia- : Krzysztonia *Lekarz obozowy*.

nie dość bulwersujący ze względu na swą antypanegirycz- :gniewa Irzyka o twórczości Zofii Nałkowskiej pt. *Szarganie*

ie coś naprawdę rzetelnego. Ogłoszenie, pod rysunkiem po- :tki (ogłoszenie częściowo jest drukowane zdaniem od du- :zęściowo od malej):

ubisz dobrą kawę? Może wolisz wypić lampkę doskonałą : na pewno przepadasz za ciastkami i wyrobami cukierni: Zakładów 22 Lipca, Wedla.

p tylko na chwilę do baru kawo ego :kiej 72 (w pobliżu kina „Ochoła”, a zostaniesz statym :go uroczonego lokalu. Kulturalna atmosfera, sprawną obsłu- :kość ciastek, kawy i win”.

gdzieś są niedyszyjsze śniegi”... Kiedyż to się tak ogłasza- :yły ogólnie dostępne — doskonałe wyroby Wedla. A mała :kosztowała złotych dwa, czterdzieści groszy.

dam następne numery. Wynotowuję z nich materiały, któ- :esujące dla czytelnika przed trzydziestoma prawie laty, ale :roją wartość — nie tylko archiwalną — aż do dziś.

: nie licząc takich faktów jak ukazanie się po raz pierwszy

głównie poezji. Bytu. Świata nie w jego odstręcających, pięknie przejawach, lecz tych najbardziej radosnych, jasnych, jakie : (a przynajmniej wtedy widziała nasza) młodość.

Marian Ośniatowski był przez niezbyt długi czas redaktorem „Współczesności”, następnie wyjechał do Paryża, został tam i po latach pobytu popełnił samobójstwo w Łasku Bułonskim. Jakoś nie :trzymał tego Paryża, w którym ponoć zarabiał na chude życie klejenia pudełek. Pozostawił po sobie zapiski, których fragmenty były drukowa- ne w którymś z czasopism; należałoby je wydać, bo indywidualność tego poety była wielka i trzeba zachować jej ślady. A także, oczywiście, wydać zbiór jego melancholijno-elegijnych wierszy. Pełnych liryzmu, jak- :go nie znajdziesz u dzisiejszych twórców wierszy.

Do grona moich przyjaciół z lat 1955—1960, którzy zmarli :gicznie, przylączył się i malarz-plastyk Olgierd Sawicki (wielbiciel :cznie modnego tasyzmu), który na początku lat sześćdziesiątych :pełnił samobójstwo.

Ale przecież miało być o „Współczesności”. Bo przecież byliśmy u jej samych początków, zbierając się na ulicy Ludnej, gdzie mieszka :główny inspirator powstania pisma Leszek Szymański.

Był on człowiekiem skomplikowanym. Znerwicowanym. Marzył :mu się bardzo wiele. W sensie twórczym raczej był bezpłodny. Ale jak :z niego był organizator! Załatwił wydawanie czasopisma w okresie, kie- :dy nie było jeszcze wiadomo, jaka będzie przyszłość. Kulturalno-litera- :ka — i w ogóle.

W każdym razie „Współczesność” rozbłysła na szarym ówczesne literackim niebie i będąc bulwersująca pod różnymi względami, zadzia- :łała w ówczesnej sytuacji nieczym droidze. Zaczęli w niej drukować swo- :je teksty, mniej lub bardziej dobre, ludzie, którzy przedtem nie mieli :raczej możliwości druku.

Szkoda, że ta pierwsza „Współczesność” nie uchowała się zbyt dłu- :go. Później jeszcze istniała wprawdzie przez lata, pod różnymi kierow- :nictwami (osobiście zaliczam jako pozytywne, kierownictwo Stanisława :Grochowiaka), ale to już było inne pismo, nie to awangardowe, mieniące :się różnymi kolorami swoistych indywidualności drukujących w niej swa :teksty autorów.

Wspominam z niejaką nostalgią wieczory poezji organizowane na :ryнку Starego Miasta, w Klubie Księgarza, oraz w „Largactilu”. Przy- :chodziło dużo ludzi, była gorąca atmosfera, dyskutowano, spierano się :o kształty współczesnej poezji i literatury w ogóle. Wiersze prezentują- :cych się autorów były przyjmowane dobrze lub źle, ale żywo się nimi :interesowano.

To nie było to, co teraz (to teraz obejmuje już chyba ze dwa- :dziesiąt lat), kiedy np. na spotkaniu poetyckie organizowane z okazji :którejs z kolei Warszawskiej Jesieni Poezji przychodzi — często bywa — :zaledwie kilkoro półpiących staruszków...

Sięgam po zachowane egzemplarze pisma. Oto numer 3, ze stycz- :nia 1957 roku. Na pierwszej stronie bojowy artykuł A.J.W. (nieśmudo :domysleć się autora) pt. „Może nareszcie literatura...”, będący sprawo- :zdaniem z VII Zjazdu Związku Literatów.

Autor wyraża swoje rozczarowanie co do obrad świadczących :o zatrzymaniu się postępu przemian w literaturze i kulturze. „Niekiedy :być może myśleli na podstawie

storyczne już teksty, jak sławetny wywiad z ks. Pirożyńskim Zbigniewa Słojewskiego czy szkic Stanisława Cata-Mackiewicza *Tołstoj w krzywym zwierciadle*. A dalej, w numerze z sierpnia i września, jest szkic Jerzego Łojka o cesarzu rzymskim Klaudiuszu (polemika ze słynną powieścią Gravesa) pt. *Psychologiczny mechanizm dyktatury*. Są wiersze Mariana Ośnińskiego i Romana Śliwonika, jest wreszcie fragment prozy Henry Millera *Mademoiselle Claude*.

Nie ma sensu mnożyć dalej wspomnień. Kto zechce, sięgnie po roczniki „współczesności” i „Współczesności”.

Związany z pismem (i z grupą) w latach 1956—1957, a dalej idący już samotną drogą (wykruszyli się jakoś przyjaciele z tamtych młodości lat) pragnę w tej chwili — jako człowiek i twórca już w dojrzałym wieku — powiedzieć, że tamtego czasu nie wyrzekłbym się nie tylko dlatego, że była to moja młodość. Również dlatego, że wpłynął on tak czy inaczej na moją dalszą drogę twórczą, a z pewnością i na drogę wielu innych poetów, prozaików czy krytyków literackich, którzy dojrzeli w tamtym czasie, a którzy później znaleźli własne ścieżki w literaturze.

Oddajmy „Współczesności” (tej wczesnej) sprawiedliwość, jaka się jej należy. Choć nie była wolna od błędów, jak wszystko, co nie jest jedynie marzeniem, a realizuje się w konkretnej rzeczywistości, była czymś żywym i twórczym. Powodującym fermentowanie i owocowanie. Dlatego pamiętajmy o niej nie tylko przy okazji mniej lub bardziej okrągłych rocznic.

\*  
\*      \*

Ogród  
jak zagadka przemijania.

Spadochronik mleczu  
na ścieżki środka  
w woskowym słońcu  
września.

Zapytanie od lat  
do drzew milczących  
do traw sekretom swym wiernym.

Liściu (którykolwiek) powiedz  
kim jesteś i dlaczego  
odchodzisz?

I czy spotkam  
cię jeszcze  
(właśnie ciebie)  
w Innym Ogródzie?

szycie kombinezonów ze stemplem «czysty realizm». I szyto kombinezony grubymi, papierowymi nićmi. Dziś esteci chcą rewindykować fraki. Być może używając tych samych nici. Z remanentu».

Ponadto w numerze są interesujące parodie prozy Marka Hłaski (*Stary człowiek na pętli*) oraz Adolfa Rudnickiego (*Niebieskie kartki. LASKA*). Jest tu wiersz Ernesta Brylla (*Ballada o obłąkanym*). Są opowiadania Józefa Lenarta (*Hiena*), Leszka Szymańskiego (*Ślub*) oraz niżej podpisanego (*List ze ściany*). Jest wreszcie ciekawy szkic literacki połączonych piór Jerzego Łojka i Zbigniewa Irzyka: *Edgar Allan Poe sfalszowany*.

Faktem jest, że po oficjalności, nudzie, uproszczeniach wszelkiego rodzaju, jakie znajdował czytelnik prasy społeczno-kulturalno-literackiej wcześniej, „Współczesność” przynosiła rzeczy całkiem inne, budzące autentyczne zainteresowanie, bez względu nawet na stosunek do poszczególnych pozycji: artykułów, szkiców, recenzji, felietonów, opowiadań, wierszy.

W numerze następnym, z lutego—marca 1957 „Współczesność” reklamuje się na czołówce: 14 stron — tylko 2 złote. Nakład 50 000.

I znów artykuł programowy, tym razem Jerzego Siewierskiego: *Literatura wyklęta*.

Jest to rozprawa przeciw niedawnym zakazom publikowania literatury „nihilistyczno-pesymistycznej”, wydawanej na „zgniłym Zachodzie”. Autor broni wybitnych twórców Zachodu i ich dzieł, które mimo nieraz czarnych opisów rzeczywistości posiadają na ogół walory humanizmu i nadziei. Jak niedługo miała zaświadczyć przyszłość, postulaty autora zostały pozytywnie uwzględnione. Czytelnik polski zaznajomił się z Sartre’em i Camusem, Hemingwayem i Faulknerem, Frischem i Dürrenmattem, nie licząc wielu innych.

A z innych ciekawostek — co tu mamy? Krótką sztukę Lecha Emfazego Stefańskiego pt. *Narodziny Afrodyty*, wystawianą w słynnym teatryku Mirona Białoszewskiego na ul. Tarczyńskiej. Dalej — opowiadanie Jerzego Krzysztonia *Lekarz obozowy*.

Następnie dość bulwersujący ze względu na swą antypanegirycznąność szkic Zbigniewa Irzyka o twórczości Zofii Nałkowskiej pt. *Szarganie świętości*.

Wreszcie coś naprawdę rzetelnego. Ogłoszenie, pod rysunkiem powabnej brunetki (ogłoszenie częściowo jest drukowane zdaniami od dużej litery, a częściowo od małej):

„Czy lubisz dobrą kawę? Może wolisz wypić lampkę doskonałego wina? A już na pewno przepadasz za ciastkami i wyrobami cukierniczymi produkcji Zakładów 22 Lipca, Wedla.

Wstąp tylko na chwilę do baru kawowego przy ul. Grójeckiej 72 (w pobliżu kina „Ochota”, a zostaniesz stałym bywalcem tego uroczego lokalu. Kulturalna atmosfera, sprawna obsługa, wysoka jakość ciastek, kawy i win”.

„Ach, gdzież są niegdysiejsze śniegi”... Kiedyż to się tak ogłaszało. Kiedyż były ogólnie dostępne — doskonałe wyroby Wedla. A mała kawa (dobra) kosztowała złotych dwa, czterdzieści groszy.

Przeglądam następne numery. Wynotowuję z nich materiały, które były interesujące dla czytelnika przed trzydziestoma prawie laty, ale zachowały swoją wartość — nie tylko archiwalną — aż do dziś.

A więc: nie licząc takich faktów jak ukazanie się po raz pierwszy utworów Mirona Białoszewskiego czy przekładów Carla Sandburga, fragmentu *Nagich i martwych* Normana Mailera, opowiadania *Dawni ludzie* Williama Faulknera (nr 6, maj 1957), są w innych numerach wręcz hi-

głównie poezji. Bytu. Świata nie w jego odstręczających, piekielnych przejawach, lecz tych najbardziej radosnych, jasnych, jakie widzi (a przynajmniej wtedy widziała nasza) młodość.

Marian Ośniałowski był przez niezbyt długi czas redaktorem „Współczesności”, następnie wyjechał do Paryża, został tam i po trzech latach pobytu popełnił samobójstwo w Lasku Bulońskim. Jakoś nie wytrzymał tego Paryża, w którym ponoć zarabiał na chude życie klejeniem pudelek. Pozostawił po sobie zapiski, których fragmenty były drukowane w którymś z czasopism; należałoby je wydać, bo indywidualność tego poety była wielka i trzeba zachować jej ślady. A także, oczywiście, wydać zbiór jego melancholijno-elegijnych wierszy, pełnych liryzmu, jakiego nie znajdziesz u dzisiejszych twórców wierszy.

Do grona moich przyjaciół z lat 1955—1960, którzy zmarli tragicznie, przyłączył się i malarz-plastyk Olgierd Sawicki (wielbiciel ówczesnie modnego tasyzmu), który na początku lat sześćdziesiątych popełnił samobójstwo.

Ale przecież miało być o „Współczesności”... Bo przecież byliśmy u jej samych początków, zbierając się na ulicy Ludnej, gdzie mieszkał główny inspirator powstania pisma, Leszek Szymański.

Był on człowiekiem skomplikowanym. Znerwicowanym. Marzyło mu się bardzo wiele. W sensie twórczym raczej był bezpłodny. Ale jakim z niego był organizator! Załatwił wydawanie czasopisma w okresie, kiedy nie było jeszcze wiadomo, jaka będzie przyszłość. Kulturalno-literacka — i w ogóle.

W każdym razie „Współczesność” rozbłysła na szarym ówczesnie literackim niebie i będąc bulwersująca pod różnymi względami, zadziałała w ówczesnej sytuacji niczym drożdże. Zaczęli w niej drukować swoje teksty, mniej lub bardziej dobre, ludzie, którzy przedtem nie mieli raczej możliwości druku.

Szkoda, że ta pierwsza „Współczesność” nie uchwalała się zbyt długo. Później jeszcze istniała wprawdzie przez lata, pod różnymi kierownictwami (osobiście zaliczam jako pozytywne, kierownictwo Stanisława Grochowiaka), ale to już było inne pismo, nie to awangardowe, mieniące się różnymi kolorami swoistych indywidualności drukujących w niej swe teksty autorów.

Wspominam z niejaką nostalgią wieczory poezji organizowane na rynku Starego Miasta, w Klubie Księgarza, oraz w „Largactilu”. Przychodziło dużo ludzi, była gorąca atmosfera, dyskutowano, spierano się o kształty współczesnej poezji i literatury w ogóle. Wiersze prezentujących się autorów były przyjmowane dobrze lub źle, ale żywo się nimi interesowano.

To nie było to, co teraz (to teraz obejmuje już chyba ze dwadzieścia lat), kiedy np. na spotkania poetyckie organizowane z okazji którejś z kolei Warszawskiej Jesieni Poezji przychodzi — często bywa — zaledwie kilkoro półśpiących staruszków...

Sięgam po zachowane egzemplarze pisma. Oto numer 3, ze stycznia 1957 roku. Na pierwszej stronie bojowy artykuł A.J.W. (nietrudno domyśleć się autora) pt. „Może nareszcie literatura...”, będący sprawozdaniem z VII Zjazdu Związku Literatów.

Autor wyraża swoje rozczarowanie co do obrad świadczących o zatrzymaniu się postępu przemian w literaturze i kulturze. „Niektórzy być może myśleli na podstawie zakorzenionego nawyku myślowego, że Zjazd Literatów opracuje nowy model obowiązującego «munduru i literatury». Tak jak Zjazd Krawców ustala najmodniejsze stroje. Poprzedni Zjazd Krawców w Szczecinie zalecił przecież pod sankcją milczenia

hercki, Pruszyński, Konowski, Wilna, Wysocki) poczęła rola nas nagonki. Polityczne (ukryte Putramenta, Starewicz, Lemański, Paszkiewicz). Celowali w nich najbardziej Zbyszek Irzyk i Zbigniew Stojewski.

Wreszcie dobrało się do nas Biuro Pras. Zabawa w literaturę zaczęła się kończyć.

Miało wkrótce „wybuchnąć” pokolenie „Współczesności”, już duże „W”, ale bez członków Zespołu Grupy Literackiej „Współczesności”. Nasz dwutygodnik rychło mieli przejąć rudyńskie dziennikarszyzna. Na dołkę Leszek Szymański ułknął wraz z azyłem i żoną w Indię. A za rok miał wrócić z prozą o Indiach.

Po moim debiucie zagranicznym dziewczęciami wierszami na piśmie londyńskich „Wiadomości Literackich” u Mieczysława G. rektora Biura Prasowo-Wydawniczego „Ruch” p. Ostrowskiego, byłam delegacją na festiwal do Awignonu. Naturalnie, z dumą pokornym pismo Grydzewskiego o pokroju kosztów mego pobytu we Francji i honorarium za moje wiersze. Za parę tygodni otrzymałam powiadomienie z redakcji „Współczesności”.

Nie da się ukryć. Miałem zagranicę zaisie „współczesności”. Zorganizowawszy Państwowe Wydawnictwo „Współczesność” (dyrektorem „Ruchu” Herbst i naczelny redaktor P. Kornatowska podpisali zgodę) opublikowałam sam sobie tomik poetycki *Zadymione* i Leszek Szymański. Byłem jego „prawą ręką” i wszystkie jego rokroczne spehniałem bez znużenia powieki).

Sam sobie przyznałem nagrodę (symboliczną i fikcyjną) we „Współczesności”, koledzy ją w Grupie „W” zatwierdzili, a nawet Irzyk ukazał... i podał do druku jakieś podziękowanie czy uznanie dla mnie z okazji...

Pora kończyć te wspominki. Zabawa we „Współczesność” dała mi się skończyła. Pozostało później nuda czasopiśmiennicza, które ukradło mi tytuł, przywłaszczyło go sobie. Nam pozostała satysfakcja.\*

JERZY STANISŁAW CZAJKOWSKI

\* Nikt tu niczego nikomu nie ukradł. Autor zapomniał o „Współczesności” i w „Współczesności” czasie dwutygodnika. (dop. red.)

W. administracji „Ruch” udawało się niktędy wycygnąć

było. I oto bez dopłat, dotacji, bez planistów, księgowych, bez ogólności co i kiedy będzie drukowane... redagowaliśmy pismo, kolportowaliśmy je, umożliwiając debiuty i starty literackie, plastyczne, a nawet Siemion nas odkrył. W każdym razie jego upór w towarzyszeniu i w czasie licznych wieczorów poezji w Warszawie. Najczęściej towarzyszyli nam debiutanci podczas wieczorów autorzy aktorzy: Dama Radymnińska.

I Tadeusza Kantora obrazy (reprodukcje) rozsławialiśmy (po jego debiucie w galerii „Kryształy”), i Artura Sandauera, umożliwiając mu i już wówczas akademickim wywiadem dla „Współczesności”. San-ur retorycznych tak zmyślne, iż czytało się to z nabożeństwem dla erudycji, znajomości greki i łaciny, jidysz i innych języków i kul-

Aż oto pewnego pięknego dnia przyszło autentyczne obławienie i oświecenie. Zatakwowało nas „Życie Literackie” w sławnym wtedy i w „Współczesności” czyli pokolenie płaskie płać krakowskiego i Jerzego Kwiatkowskiego. „Kości zostały rzucone”. Obwołano z dnia na dzień pokoleniem literackim. Wprawdzie z brakami, nie było jeszcze dojrziałym, jeszcze tylko się zaledwie dobrze zapowiadającym, ale mającym już coś do powiedzenia w literaturze. Jan Ambek, Artur Sandauer, Jerzy Zawieyski, Ludwik Hieronim Morstin spieszyli nam z intelektualną „przynką”.

Zaprawdę, zaprawdę nie wiedzieliśmy wtedy, co to w ogóle jest literatura i sztuka. Wyrosnąć podówczas młodzieżowcy naprawę starania się być wobec wszystkich ryercy. Gra, zabawa, aktorstwo, przebiegło miały trafić na łamy pism, atakujących nas za różne pozy. Udawaliśmy i naśladowaliśmy futurystów (ja — imaginistów).

zaczęła zaproszenia imienne na półroczne stypendia pobytowe w Italii i pałacu w... A. Stern odradził mi wyjazd na to stypendium, a sam i onśki. Pani Marinetti przysłała na nasze wieczory w „Kamienicy” członka Rzymskiej Akademii Sztuki, znanego tłumacza dramatów, wydrukował i przysłał zupełnie przyzwolone honorarium we włoskich walorach. Przyszło nowe zaproszenie na pobyt do Italii i w Avigno-

Euforia szybko miała przeminać po lekturze całej serii atakujących nas artykułów. Za podpisywanie się natym literami, za naśladowanie literacką, za „szarganie świętości”, za wiersze, za prozę, za krytykowanie drobnonieszczęśliwego kofunista, bigoterii, fałszu, obłąd-

Zaczęły nadciągać smętne dni, kiedy autentyczna zabawa młodopiętna w literaturę, ta wspaniała przynęta...

Poety 1986, nr 12, s. 47-50  
Zbigniew Dolecki



## WSPOMNIENIE O WCZESNEJ „WSPÓŁCZESNOŚCI”

Zamierzałem zacząć następująco: kiedy przeglądam stare, pozółkłe numery młodej, wczesnej „Współczesności”...

Jednak te dziewięć numerów z lat 1957—1958, które się uchowa- w moim archiwum, wcale nie są pozółkłe. Wyglądają tak, jakby uka- dy się spod prasy przed chwilą. Widocznie wtedy papier był inny. Za- nował się. Przetrzymałem blisko trzydzieści lat te numery pisma dla- go, że były w nich moje wiersze, opowiadania, recenzje.

W roku 1955 poznałem kilku chłopaków pretendujących do miana arczy, głównie próbujących swych sił w poezji. Byli to Zdzisław Jerzy olek, Marian Ośniałowski, Zbigniew Zalewski. Chodziliśmy z jakimiś iewczynami do późnych wieczorów po Warszawie, ówczesnie nie tak dnej jak dziś i nie zatłoczonej samochodami, i rozmawialiśmy o poezji, sztuce w ogóle (przyłączył się wtedy do nas malarz Olgierd Sawicki), filozofii, jak żyć, co robić, co tworzyć, aby życie było pasją, a nie we- etacją.

Najwięcej poezji miał w sobie Zdzisław Jerzy Bolek, piszący wier- e, całkiem dobre, ale głównie lubiący dyskusje i — czerwone wytraw- e wino. (Wydał on dwa interesujące tomy wierszy, na krótko przed- wą tragiczną śmiercią; jedenaście czy dwanaście lat temu. W tym sa- ym czasie był działaczem polityczno-kulturalnym).

Najbardziej chyba fascynował mnie Marian Ośniałowski. Bieda- zyna boży, abnegat, nie bardzo mający z czego żyć, wędrujący po pod- arszawskich lasach, szukający natchnienia w przyrodzie, ale i rozu- iejący zawilóść ludzkich przeżyć, losów i wyrażający je w swoich ma- ych całkiem własny, specyficzny urok wierszach.

Pamiętam, jak któregoś dnia szedłem z nim i z Bolkiem ulicą Ho- i zatrzymaliśmy się na rogu Mokotowskiej, gdzie była kwaciarnia stniejąca do dziś). Marian powiedział: „nie mam pieniędzy, żeby coś upić, ale muszę wejść na chwilę, aby powąchać zapach ziemi i kwia- y”. Weszliśmy i budząc niejakie zdziwienie sprzedawczyni, napawa- śmy się ową charakterystyczną wonią, na którą składają się rozmaite atunki kwiatów... Marian często cytował wiersz Baudelaire’a: „Trzeba yć zawsze pijanym. Czym? Winem, poezją, modlitwą. Czym chcesz”...

Na wino nieczęsto mieliśmy pieniądze. Miłość? Dotyczyła wtedy